

Kod dostępu
do **Wyborcza.pl**
na weekend



FOT. OLEG NIKISHIN/GETTY IMAGES

JONATHAN LITTEL
wraca do Syrii po 13 latach
Czujesz nienawiść
za wszystko, co ci zrobili? ▶4



**WYSOKIE
OBCASY**
**Ratuje
Nepalczyków**
zwabionych do Rosji

MAGAZYN

wyborcza

NIE MA WOLNOŚCI BEZ SOLIDARNOŚCI

ADAM
MICHNIK

Głosujmy

żeby nie oddać
częstki swoich
losów w ręce ludzi
niegodnych ▶10

RYS. ALICJA KOCUREK

ISSN 0860-908X

9 770860 908167

19>

Rodzice
wystawiają
dzieciom walizki
za drzwi ▶28



Varga
opowiada psu
O narcyzmie
i rozczarowaniu ▶24

FOT. MATEUSZ SKWARCZEK

**Lewica jest
głupia**
Mówi Slavoj
Žižek ▶20

**Anna
Brzezińska**
O porządnym
szarlatanach ▶22

Agnieszka
KublikLekarzu,
nie boisz się sam

Ja się boję. Boję się, że trafię do lekarza, który się boi, że w każdej chwili może zostać zaatakowany. A nawet zamordowany. Boję się, że taki lekarz myśli o sobie, nie o pacjencie. I to zrozumiałe.

Boję się, że spotkam ratowników medycznych, którzy będą myśleli o własnym bezpieczeństwie, nie o moim. I to logiczne.

Do bluzgów, wyzwisk i rękoczynów przywykliśmy. Do ataków na ratowników medycznych. Oswajamy się z mową nienawiści, z atakami furii. Obojętniejemy. Aż do teraz.

29 kwietnia w Szpitalu Uniwersyteckim w Krakowie został zamordowany dr Tomasz Solecki przez swojego pacjenta.

Lekarze nie mogą uwierzyć, że muszą teraz prosić państwo, by ich chroniło przed... pacjentami.

6 maja podczas protestu, mówili: „Na miejscu Doktora Soleckiego każdego dnia może być ktokolwiek z grona lekarzy, pielęgniarek, ratowników medycznych, sanitariuszek. Jeżeli mamy nadal funkcjonować jako cywilizowane społeczeństwo, trzeba przerwać tę nakręcającą się spiralę agresji. Apelujemy do parlamentarzystów i prezydenta RP o stosowne zmiany w prawie,

które zwiększą ochronę medyków, którzy stają się obiektem często urojonych oskarżeń i pomówień. Apelujemy do wszystkich uczestników debaty publicznej, w szczególności polityków, o obniżenie jej temperatury, która jest często celowo, cynicznie eskalowana. Werbalna, emocjonalna agresja trafiająca

ca z mediów do społeczeństwa czyni ogromne szkody, a docierając do jednostek podatnych do generowania niezdrowych emocji i fizycznej agresji niesie zagrożenia dla nas wszystkich. Czas z tym skończyć dla dobra i bezpieczeństwa nas wszystkich”.

Jak zapewnić lekarzom, pielęgniarkom, ratownikom medycznym poczucie bezpieczeństwa w państwie niepolitycznym? Nie monitoringiem w lekarskim gabinecie! Przemoc, jak wszystko, zaczyna się od słowa. Ryba psuje się od głowy.

Niejaki Braun, kandydat na prezydenta RP i europosel, niestety, powinien poruszać się z policją. Nie dla swojej ochrony, a Narodu przed nim. Braun w swej pysze uznał, że jako europosel ma prawo wparować do szpitala i tam osądzać, kto złamał prawo. Przestępce zrobił z dr Gizeli Jagielskiej, która pomogła kobiecie, którą inni lekarze świadomie szukali, by donosiła zagrożoną ciążę. Ich potępiam, powinni stracić prawo wykonywania zawodu.

Państwo ma obowiązek chronić lekarzy przed niebezpiecznymi pacjentami. Ale i pacjentów przez niebezpiecznymi lekarzami.

Policja podczas akcji Brauna w szpitalu stała i na ataki przyzwalała. Ten obrazek dotarł i do tych, którzy mają jakieś pretensje do lekarzy.

Tak, tego boją się lekarze. A ja boję się o nich. ●

Andrzej rysuje

Otwarcie w Londynie
Są powody, by uciekać w sztukę

„Kąpiący się w Asnieres”, arcydzieło George'a Seurata to jedno z ponad 1000 dzieł sztuki, które od 10 maja można będzie zobaczyć w londyńskiej National Gallery. A ściślej w skrzydle Sainsbury'ego, które po trzech latach gruntownie przebudowane otwiera się projektem „C C Land: The Wonder of Art” śledzącym rozwój malarstwa od XIII do XX wieku. Londyn, 7 maja 2025 r.

Kod dostępu
do Wyborcza.pl

Wiadomości z kraju
i ze świata
czytaj teraz na
wyborcza.pl

**UŻYJ
BEZPŁATNEGO KODU
i bądź na bieżąco
przez cały weekend***

WK992J1

- 1 Wejdź na stronę Wyborcza.pl/magazynkod
- 2 Wpisz kod w polu „Kod promocyjny”
- 3 Podaj adres e-mail, na który przyznamy dostęp
- 4 Aktywuj dostęp w ten weekend

* Oferta tylko dla użytkowników, którzy w ostatnim roku nie posiadali prenumeraty w serwisie Wyborcza.pl. Dostęp do serwisu w dniach 10-11.05.2025 r.

Liczba tygodnia

100

Kardynałów bierze udział w konklawe wybierającym następcę papieża Franciszka. Konklawe nigdy nie było tak liczne.

Lekarstwo na jad węża
Ukaszony dla ludzkości

FOT. CORMAC PRICE/SHUTTERSTOCK

Tom Friede, były mechanik samochodowy z USA, przez 18 lat dał się ukąsić wężom 200 razy i dobrowolnie przyjął 700 zastrzyków z jadu tak śmiertelnie niebezpiecznych gatunków, jak mamba czarna, kobra królewska czy tajpan. Początkowo chciał jedynie wykształcić w sobie odporność na jad jak największej liczby gatunków węży. Ale dostrzegł, że jego osobliwe hobby może mieć szerszy sens. I miało: jego krew posłużyła do stworzenia przełomowej surowicy.

Wytwarzanie surowicy przeciwjadowej polega na wstrzykiwaniu koniom lub owcom małych dawek jadu konkretnego gatunku węża, a następnie na pobieraniu od tych zwierząt przeciwciał. Meto-

da ma poważne wady: czasem układ odpornościowy może źle reagować na przeciwciała inne niż ludzkie i taka surowica nie jest uniwersalna. A na bazie krwi Friedego powstała surowica, która jest remedium na ukąszenia wielu gatunków węży.

Jacob Glanville, dyrektor generalny Centivax Inc. powiedział brytyjskiemu portalowi, że mężczyzna z czasem przyjmował dawki trucizny, które „normalnie zabiłyby konia”. To właśnie ta firma wykorzystwała krew Friede'a, by opracować surowicę nowego typu.

Zespół badawczy stworzył panel testowy z 19 najbardziej śmiertelnych wężami. Naukowcy wyizolowa-

li przeciwciała z krwi Friede'a, które reagowały z neurotoksynami występującymi w jadzie testowanych gatunków węży. Następnie przeciwciała podawano myszom za trutym jadem każdego z 19 gatunków.

Stworzono surowicę, która zapewnia ochronę przed jadem wszystkich węży z panelu testowego, czyli 19 gatunków z rodziny zjadawczych. Teraz Centivax Inc. chce przetestować ją w terenie. Ma być podawana w klinikach weterynaryjnych w Australii psom ukąszonym przez węże.

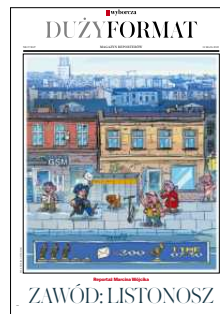
Wyniki badania opisano w czasopiśmie naukowym „Cell”. ●
Robert Jurszo

W poniedziałek w „Dużym Formacie”

Jak zostałem
listonoszem

Mamy sprzedawać cukierki klientom, ale sami je kupujemy – przynajmniej koledzy. – Weźmiesz za 200 zł i na chwilę masz spokój. Ubezpieczenia też pewnie będziemy sprzedawać po rodzinie.

Marcin Wójcik sprawdza, jak pracuje Poczta Polska



Zwrot w kampanii prezydenckiej

Ofensywny manewr Mentzena

Nie tyle drugie mieszkanie Karola Nawrockiego, ile reakcja na aferę dotychczasowego sojusznika PiS może wpłynąć na wynik wyborów.

Wielowieyska



Karol Nawrocki, kandydat PiS w wyborach, podczas debaty w Super Expresie powiedział, że jako zwykły Polak ma jedno mieszkanie. Onet ujawnił, że posiada także kawalerkę, którą przejął w 2011 roku, zawierając umowę ze schorowanym starszym człowiekiem Jerzym Ż. Przełał w jego imieniu 10 proc. wartości mieszkania komunalnego. Następnie podpisał z nim przedwstępłą umowę, w której zadeklarował, że zapłacił mu 120 tys. zł. Ostateczny zakup mieszkania nastąpił po pięciu latach, ponieważ w razie wcześniejszej sprzedaży nabywca musiałby oddać owe 90 proc. bonifikaty.

Nawrocki i jego sztab kilkakrotnie zmieniali wersję wydarzeń:

Pierwsza mówiła, że Nawrocki przejął mieszkanie komunalne w zamian za opiekę i dostarczenie 12 tys. zł na jego wykup.

Druga, że nie zobowiązał się do opieki, tylko kupił mieszkanie za 120 tys. zł i w akcie notarialnym jest mowa, że pieniądze zostały wypłacone.

Trzecia, że kwota 120 tys. zł nie została jednak zapłacona, a jedynie na przestrzeni 14 lat kandydat PiS płacił czynsz za mieszkanie, w którym pan Jerzy nadal mieszkał.

Interpretacja niekorzystna dla Nawrockiego mówi, że złamał prawo, ponieważ poświadczył nieprawdę w akcie notarialnym, jakoby zapłacił 120 tys. zł. Onet w środę podał, że Nawrocky zawarł umowę sprzedaży sami ze sobą, bo wcześniej mianowali się pełnomocnikami emeryta. W tym kontekście niepokojące jest to, co Jerzy Ż. mówił swojej opiekunce, a mianowicie zaprzeczał, że Nawrocky są właścicielami jego mieszkania. Być może nie był świadomy, że umowa w ogóle została podpisana. Choć opiekunka zastrzega, że miał już wtedy objawy choroby otępiennej.

Dodajmy, że Nawrocki kłamał, twierdząc, że to pan Jerzy wykupił mieszkanie. „Wyborcza” ujawniła, że pieniądze wpłacał on sam. Emeryt był więc „słupem”, gdyż prawdziwym kupującym był kandydat PiS, choć formalnie nie miał do tego prawa.

Z punktu widzenia kampanii najistotniejsze jest to, że Nawrocki wykorzystał starszego człowieka. Przejął jego mieszkanie, prawdopodobnie opłacając przez 14 lat za niego czynsz. Być może początkowo pomagał panu Jerzemu także w inny sposób. Nawrocki twierdzi, że koszty, jakie poniósł, dawno przekroczyły 120 tys. zł. Ale nic na to nie wskazuje, bo spłata czynszu tyle nie wyniosła, a w każdym razie kandydat PiS nie przedstawił na to dowodów. Nigdy więc nie wyłożył za mieszkanie emeryta 120 tys. zł, tymczasem jego wartość wzrosła już do ponad 300 tys. zł.

Można w zamian za opiekę nad starszą osobą po jej śmierci przejąć

mieszkanie, ale w tym przypadku sytuacja była skrajnie niekorzystna dla Jerzego Ż, który żył w nędzy, nie miał co jeść i marzył w zimnym mieszkaniu. Tymczasem, jak wynika z relacji osób zajmujących się nim przez ostatnie lata, Nawrocki nic dla niego nie robił. Nie wiedział nawet, że emeryt znalazł się Domu Pomocy Społecznej na koszt urzędu miejskiego. Zdawał sobie sprawę, że za Jerzym Ż. nikt się nie ujmie, bo w przeszłości nie płacił alimentów, nie dbał o dzieci, pił i awanturował się. Okazała była więc wyśmienita. Mieszkanie można było przejąć, a pod koniec życia emeryta koszty utrzymywania i opieki przerzucić na państwo.

Sztab Nawrockiego, próbując wygasić poważny kryzys, postawił na opowieść, że to służby specjalne niszczą kandydata PiS, podrzucając dziennikarzom kwity. Ale to przecież sam Nawrocki wrzucił do kampanii temat mieszkania, którym wcześniej nikt się nie interesował. Niektórzy politycy PiS suflują mediom, że o problemie w sztabie PiS wiedziano. Jeśli ktoś rozpusza takie wieści, to najprawdopodobniej chce ostatecznie pogryźć szefa sztabu kandydata PiS Pawła Szefernakera. To kolejna odsłona rozgrywek wewnątrz partii. Bo jeśli Szefernaker o wszystkim wiedział, a mimo to nie potrafił przedstawić spójnej wersji wydarzeń, ani przygotować się na kryzys, to znaczy, że nawalił na całej linii. Rzecz w tym, że w kwestii swego drugiego mieszkania Nawrocki oszczędnie gospodarował prawdą w rozmowach z kierownictwem PiS, pomijając istotne szczegóły. Wyznał wszystko, dopiero gdy afery rozkręciła się już na dobre.

W Sejmie Jarosław Kaczyński. – Jesteście funkcjonariuszami politycznymi – rzucił do reporterów sejmowych zirytowany. To oznacza prawdziwy pożar na Nowogrodzkiej. Na Kaczyńskim spoczywa odpowiedzialność za wystawienie kandydata, z którego szafy co chwilę wypadają kolejne trupy.

Sztab, próbując ratować sytuację, wpadł pomyśl: Nawrocki ogłosi, że przeznaczą mieszkanie na cele charytatywne. Jego deklaracja była niejasna – nie wiadomo czy nadal będzie jego właścicielem, czy jedynie na jakiś czas udostępni je organizacji charytatywnej, której nazwy zresztą nie zdradził. Na pytania nie odpowiedział, bo po ogłoszeniu oświadczenia natychmiast wyszedł.

Rzecznik PiS Rafał Bochenek zapewnił mnie, że mieszkanie przekaże „na własność jednej z organizacji społecznych”. Media będą musiały wnikliwie śledzić jego losy, gdyż politycy PiS są w takich sprawach niezłymi kombinatorami np. Daniel Obajtek kupił dwór, oddał na jakiś czas w użytkowanie pewnej fundacji, która pozyskała gigantyczne dotacje państwowe od rządu PiS, aby dworek Obajtka wyremontować. Złoty interes.

Nawrockiego zapowiedział, że „mieszkanie nie zmieni istoty swojego trwania przez kolejne kilkanaście lat” Jak to kilkanaście lat? To przeczy temu, co mówi Bochenek. Najwidoczniej Nawrocki wcale nie zamierza oddać mieszkania, a co najwyżej użyczyć, cała deklaracja to więc ściema. Zobaczmy,



– Jesteście funkcjonariuszami politycznymi – rzucił Jarosław Kaczyński do reporterów w Sejmie. To oznacza prawdziwy pożar na Nowogrodzkiej

jak będzie wyglądać umowa z ową charytatywną organizacją.

Po ogłoszeniu oświadczenia pojawiły się komentarze, że zwrot zdobytych pozyskanej nieuczciwie, nie przekreśla winy kandydata. Oświadczenie Nawrockiego było dość żenujące: gdy opowiadał, że zadba o nagrobek dla pana Jerzego, zabrzmiało to fatalnie, jakby czekał na jego śmierć. Potem rozwodził się nad tym, że ludziom „można pomagać bezinteresownie”. Tyle że sam tak nie działał, skoro tani kosztom przejął mieszkanie schorowanego emeryta.

Afera może mieć poważny wpływ na wynik Nawrockiego, szczególnie w drugiej turze. Deklaracja o przekazaniu mieszkania na cele charytatywne niewiele tu pomoże. Kluczowy może okazać się manewr kandydata Konfederacji Sławomira Mentzena, który ostro zaatakował Nawrockiego, choć wcześniej zawarł pakt o nieagresji.

Mentzen nie gryzł się w język: „Nawrocki zrobił rzecz całkowicie obrzydliwą. Przejął mieszkanie od starszej i schorowanej osoby, nie płacąc za nie. Do tego skłamał u notariusza, że zapłacił. Nie jestem w stanie sobie wyobrazić, jak coś takiego może być akceptowalne dla kogoś z jakąkolwiek wrażliwością społeczną. Tymczasem cały PiS tego broni. I to co godzinę w inny sposób, bo wersje obrony zmieniają się cały czas. Ale nie będę udawał, że nic się nie dzieje, nie będę bronił tego, co zrobił Nawrocki. Może u was w PiS, tak jak w PO, toleruje się dowolne świństwa, tylko dlatego, że zrobił je ktoś od was, ale to nie jest normalne.”

Można to traktować jako otwarte wypowiedzenie wojny. Kandydat Konfederacji uznał, że nie może bierny wobec sytuacji, której obronić się nie da.

„Całą kampanię atakowałem Trzaskowskiego i Tuska, bo sobie na to zasłużyli. Oszczędzałem Nawrockiego,

pomimo tego, że nie wydawał się najlepiej wybranym kandydatem – tłumaczył Mantzen. – Ale są pewne granice, które Nawrocki, a wy razem z nim, przekroczyliście. I nie dam sobie wmówić, że tolerowanie obrzydliwych rzeczy jest dobre dla Polski”.

To ważna deklaracja, ponieważ w drugiej turze kluczem do zwycięstwa będzie pozyskanie wyborców kandydata z trzeciego miejsca. Sztab Nawrockiego usilnie pracował nad tym, żeby nie zrażać sobie elektoratu Konfederacji, tak potrzebnego w finałowej rozgrywce. Pakt o nieagresji miał być początkiem współpracy PiS i Konfederacji – planem na zdobycie władzy i przyszłe wspólne rządzenie. Dziś ten sojusz się rozpadł, a Mentzen natychmiast stał się obiektem ataku ze strony twardego elektoratu PiS. To z kolei wywołało reakcję wyborców Konfederacji.

Sztab PiS liczył na to, że w drugiej turze Nawrockiego poprze 70 proc. wyborców Mentzena z pierwszej tury, 10 proc. zostanie w domu, a 20 proc. poprze Trzaskowskiego. Teraz prognoza może się zmienić: więcej wyborców zostanie w domu. Nie tylko ze względu na mieszkanie Nawrockiego, ale także z powodu składki zdrowotnej. Obóz PiS jest przeciwko jej obniżeniu, prezydent Andrzej Duda zawetował właśnie ustawę w tej sprawie, a spora część elektoratu Konfederacji to drobni przedsiębiorcy, którzy byłiby beneficjentami obniżki. Trudno, aby z entuzjazmem poparli Nawrockiego w drugiej turze.

Sympatyzujący z PiS komentatorzy uważają, że Mentzen popełnił taktyczny błąd, bo pali za sobą mosty. Jednak za jego manewrem może stać pewna kalkulacja. Notowania kandydata Konfederacji zaczęły spadać, ale atak na skompromitowanego Nawrockiego może odwrócić tę tendencję. Wynik Mentzena jest bardzo istotny, gdyż zależy od niego jego pozycja wewnątrz Konfederacji. Frakcja tzw. wolnościowców mogłaby zdominować narodowców Krzysztofa Bosaka. Poza tym Konfederacja jest zainteresowana zakończeniem kariery Kaczyńskiego. Słaby wynik Nawrockiego osłabiłby lidera PiS, a to może oznaczać rozpad tej partii i przejście jej dużej części do ścisłego sojuszu z Konfederacją.

Silny PiS i słaba Konfederacja to układ, którego Mentzen się obawia, bo wie, że Kaczyński przystawki konsumuje. Charakterystyczne jest to, że za koncepcją zdecydowanego odcięcia się od Nawrockiego stoi Przemysław Wipler. Na temat afery mieszkaniowej wypowiada się równie ostro jak Mentzen. Natomiast Bosak jest ostrożny: trochę krytykuje PiS za brak spójnej wersji wydarzeń, ale wstrzymuje się z oceną moralną, bo – jego zdaniem – nie wszystko wiadomo.

Wiele osób związanych z Konfederacją, które marzą o udziale we władzy, wie, że są na czarnej liście u Kaczyńskiego. Nie tylko Wipler, także szef gabinetu prezydenta Marcin Mastalerek oraz prezydencki doradca Łukasz Rzepecki. Żaden z nich nie rozwinie skrzydeł, póki Kaczyński jest mocny. A osłabić go może marny wynik Nawrockiego w wyborach prezydenckich. ●

Dominika Wielowieyska



Przyjedź podczas kolejnej rewolucji



Jonathan Littell
zdjęcia:
Abdulmonam Eassa

„Nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym snajperzy będą chronić demonstrację” – powiedział mi ktoś w Homs. Wróciłem tam po 13 latach, żeby zobaczyć, jak Syryjczycy próbują odbudować swoje państwo.

Pierwszą rzeczą, jaka uderza osobę podróżującą do Syrii sto dni po upadku haniebnego reżimu Baszara al-Asada, jest radość. W taksówce z Bejrutu kierowca mówi mi po angielsku: „W Syrii wolność. Na zawsze!”. No i uprzejmość – na rogatkach brodaty żołnierz zagląda przez szybę i pozdrawia nas: „Modłę się o wasze bezpieczeństwo”.

Ta pomieszana ze zdumieniem radość ze zrzucenia jarzma skupia się we wspólnych momentach. 15 marca, w rocznicę rozpoczęcia rewolucji, dotarłem do Homs, miasta, w którym spędziłem kilka tygodni w styczniu 2012 r., w przełomowym momencie, gdy powstanie militaryzowało się

w odpowiedzi na bezlitosne represje reżimu, a kraj wchodził w etap wojny domowej. Współpracowałem wówczas z licznymi aktywistami, do dziś dotrwało ich niewielu. Ale jeden z nich, Omar Telaoui, dołączył do mnie tego samego wieczoru na iftar – posiłek przerywający post w ramadanie – w dość eleganckiej granatowej marynarce, z długą, islamistyczną brodą i wygolonym wąsem. Czas poorał jego twarz, ale głos – ochrypły, gorący, od razu rozpoznawalny w porażających filmikach, które wówczas niemal codziennie publikował – pozostał niezmienny. Jedząc, streszczał mi te wszystkie lata: swoją ucieczkę do Talbisy, na północ od Homs, gdy sytuacja w mieście stała się już całkiem nie do zniesienia, pięcioletnią tułaczkę od jednej kryjówki do drugiej z nową rodziną i wreszcie decyzję, by chwycić za broń. Ostatecznie wyłą-



Tylko ci, którzy mają łaskę wiary, są wystarczająco silni, by przetrwać wszystko, co nam zgotowano. Dlatego zwyciężyli i przejęli władzę. **Laickość się tu nie sprawdzi**



• **Sprzedawca balonów w ruinach dzielnicy Dżuret Asz-Szajjah w Homs – jej zniszczenie przez siły obalonego w grudniu reżimu spowodowało przymusowe wysiedlenie tysięcy cywilów**

• **Ahmad, 66-letni mieszkaniec Aleppo, ze swoją wnuczką Fatimą, która z rodziną żyje w zrujnowanym Homs. Wszystkie, zdjęcia, które publikujemy zrobiono między 13 a 21 marca 2025 r.**

Wolnej

dował w Idlibie, gdzie otworzył warsztat naprawy sprzętu gospodarstwa domowego. Jego idealizm – wyraźnie to widziałem – przetrwał, a on sam przez lata spędzone w piekle stał się jeszcze bardziej bogobojny: „Zbliżyłem się do Boga, by być gotowym na śmierć”.

Później ruszyliśmy w kierunku słynnego placu z zegarem, gdzie w 2011 r. zbierały się pierwsze masowe demonstracje, zanim reżim zaczął strzelać do protestujących, zmuszając ich, by wycofali się do swoich dzielnic. Dziś trwa tam święto: rewolucja powróciła na plac. Widzimy, jak napływają całe rodziny, dołączając do radosnego tłumu najeżonego tysiącami flag w barwach rewolucji – to dawna flaga syryjska sprzed epoki partii Baas – a z głośników płyną pieśni

rewolucyjne podejmowane chórem przez zgromadzonych. Taka sama radość panowała na demonstracjach, które obserwowałem w 2012 r., lecz dziś jest ona podszyta szczęściem z ostatecznego zwycięstwa. Grupy mężczyzn tańczą w kręgach, kładąc sobie wzajemnie ręce na ramionach. Z boku, oddzielone kordonem uzbrojonych żołnierzy, setki kobiet, część z odkrytymi włosami, większość w białych chustach. Wydają radosne okrzyki, równie szczęśliwe i podekscytowane jak mężczyźni. Na scenę wchodzi dość młody jeszcze mężczyzna z wygolonym wąsem, w jasnoszarym garniturze: to Obaida Aranout, szef dysejkcji politycznej prowincji, były rzecznik koalicji Hajat Tahir asz-Szam (HTC, Organizacji Wyzwolenia Lewantu), która kierowała ostateczną ofensywą przeciwko reżimowi. Włącza telefon, by przeczytać przemowę nowego prezydenta Ahmada asz-Szary w hołdzie niezliczonym męczennikom z Homs: „O, Homs! Zawsze będziemy pamiętać, jak wołałście o wolność i godność!”. Na niebie fajerwerki rzucają czerwone, zielone i żółte refleksy na tłum pogrążony w ekstazie.

Jakiś czas później stoję na szczycie centrum handlowego górującego nad placem, w dużym sklepie z podziurawionymi ścianami trwa remont. Kontempluję to morze ludzi w towarzystwie syryjskich dziennikarzy, kilku rodzin oraz żołnierzy. Tuż obok ekipa uzbrojonych w karabiny snajperów lustruje przez lornetkę okolicę. „Nigdy nie sądziłem, że dożyję dnia, w którym snajperzy będą chronić demonstrację” – mówi Moawuya, dawny rewolucjonista z Ghuty pod Damaszkim, który towarzyszy mi jako tłumacz.

Wcześniej tego samego dnia objechaliśmy rewolucyjne dzielnice miasta: Baba Amr, Chalidijj, Bajadę – te, po których krążyłem w 2012 r. z aktywistami i bojownikami Wolnej Armii Syrii. Wtedy, choć pod stałym ostrzałem snajperów i moździerzy – pozostawały jeszcze stosunkowo nietknięte. Dziś te rozległe dzielnice – sunnickie i proletariackie – są jednym wielkim rumowiskiem: splądrowane, zburzone, unicestwione

przez reżim i jego rosyjskich oraz irańskich sojuszników. Ten sam widok w całej Syrii, od krańca do krańca, na rozległych przedmieściach Damaszk, w części wschodniej i na starym mieście w Aleppo, w dzielnicach miejscowości między Hamą a Idlibem, w nowych „martwych miastach” i w opuszczonych wioskach: kilometry zniszczonych budynków, nagie, betonowe skorupy – spękane, na wpół zawalone. Po masowych atakach bombowych, raketowych, po beczkach z materiałem wybuchowym zrzuconych ze śmigłowców, po wysiedleniu ludności i wywiezieniu w kierunku Idlibu ostatnich członków ruchu oporu dzielnice te zostały przekazane w ręce firm związanych ze słynną 4. Dywizją Mahera al-Asada, brata Baszara. Ogolili absolutnie wszystko, budynek po budynku, szkoły i szpitale, domy prywatne, wynieśli nie tylko meble i sprzęt AGD, ale także drzwi i okna oraz ich ramy, gniazdzka, wyłączniki, kable wyrwali ze ścian. A gdy został goły beton, zaczęli demolować dachy, żeby wyrwać metalowe pręty i je również sprzedać.

Dawniej mieszkały tu miliony ludzi, ale wrócić mogła tylko garstka; gdzieś tam wśród ruin widać było balkon tonący w kaktusach lub kwiatach, okno zasłonięte kocem, wyrwę w murze zabudowaną nagimi pustakami – nieśmiało oznaki wracającego powoła życia. To inna Syria, taka, w której nienawiść oraz rozpacz po zdeptanych losach walczą z radością i nadzieją. Na gruzach Bajady z pomocą mojego fotografa gawędzę z 11-, może 12-letnim chłopcem. Grozi kłódka, wymachując kijem: „W wolnej Syrii tylko łagodnie go strofuję, nie powinniśmy się już bić”. Chłopiec z błyskiem w oku opiera sobie kij na ramieniu i udaje, że ładuje kalacha: „Są jeszcze alawici, którzy próbują wlaść do naszych dzielnic!”.

„Bombą z opóźnionym zapłonem są dla Syrii wszyscy torturowani przez reżim od 50 lat” – tłumaczyła mi spokojnie w jasnym salonie apartamentu w Hamie Fidaa al-Horani, opozycjonistka starszego pokolenia, która spędziła trzy lata w więzieniu, zanim w 2013 r. uciekła i schroniła się we Francji.

Bomba ta, powstrzymywana w pierwszych miesiącach po upadku reżimu, wybuchła w końcu dziesięć dni przed świętem rewolucji. W nadziei, że większość alawitów zaakceptuje nowy stan rzeczy i że to uspokoi społeczność międzynarodową, nowa władza po kilku akcjach przeprowadzonych w grudniu i styczniu szybko ograniczyła środki bezpieczeństwa na syryjskim wybrzeżu uznawanym za bastion alawitów. Alawici to dysydencka sekta, odłam szyizmu, z której wywodzi się klan al-Asadów oraz większość reżimowych oprawców, oficerów armii i wywiadu – słynnego muchabratu, a także szabiha, bandyci ze zorganizowanych gangów wcieleni do milicji.

W połowie lutego Ahmad asz-Szara pozwolił sobie nawet na luksus przejazdu wśród tłumów w Latakii i Tartusie w towarzystwie zaledwie kilku ochroniarzy. Ci, na których Syryjczycy nie mówią już inaczej niż fouloul al-Nizam – czyli niedobitki (albo relikty) reżimu – wykorzystali tę niefrasobliwość. 6 marca uzbrojone po zęby jednostki fouloul po zmasakrowaniu 16-osobowego patrolu sił bezpieczeństwa na południu Latakii przypuściły atak na pozycje rządowe wzdłuż wybrzeża, kończąc dopiero na południu Banijas. Przytłoczony, zmagający się z poważnymi stratami rząd wezwał do powszechnej mobilizacji, przybyli ludzie z całego kraju: nie tylko z HTC i ich bliscy sojusznicy, także bataliony Syryjskiej Armii Narodowej (finansowane przez Turcję, skonfliktowane z HTC), islamistyczni bojówkarze – niekiedy cudzoziemcy – którzy odmówili wstąpienia do nowej, narodowej armii, wreszcie grupy uzbrojonych cywilów, często z miejscowości, które silnie ucierpiały z powodu nadużyć szabihiy Asada, i skorych do wspólnotowej zemsty, zwanej tar. Już po południu 6 marca te nieokreślone przez żadne dowództwo grupy rozprzeczły się po wybrzeżu, biorąc odwet na alawickich cywilach. Portale społecznościowe zostały zalane filmami relacjonującymi upokorzenia i brutalne morderstwa, a wrzucali je nie tylko ci, którzy ocaleli, lecz również rozradowani oprawcy. Zaskoczony rząd ugrzązł w walkach z siłami fouloul i ociągał się z wzięciem odpowiedzialności za nadużycia, do których doszło w jego imieniu. W ciągu dwóch dni, do odzyskania kontroli i przywołania do porządku rozbewzwojonych band, liczba cywilnych ofiar przekroczyła 1 tys. osób.

Nocą 8 marca Ahmad asz-Szara – znany z tego, że nigdy się nie spieszy z podejmowaniem decyzji – wyszedł z ukrycia i rozkazał swoim siłom, by w imię „nowej Syrii” chroniły alawickie rodziny i dobrze traktowały wziętych do niewoli fouloul. Na drugi dzień po porannej modlitwie ubrany w prostą, skórzaną kurtkę zjawił się w meczecie w rodzinnej dzielnicy Mezzeh w Damaszku, by oświadczyć: „Wiem, że możemy żyć razem w stanie wewnętrznego pokoju. Przed nami duże wyzwania, ale im sprostamy”. Wreszcie 9 marca wieczorem ogłosił, że utworzy komisję złożoną z siedmiu sędziów, w tym jednego alawity, by przeprowadzić śledztwo w sprawie popełnionych zbrodni i ukarać winnych. Lojalne wobec rządu siły otoczyły alawickie dzielnice i miejscowości, a rządowe media rozpowszechniały zdjęcia mężczyzn doprowadzanych w kajdankach przed komisję. Walki z fouloul trwały jeszcze co najmniej dwa tygodnie, ale rzezie zostały przerwane. Szkody – trwałe zmacony wizerunek rządu, osłabione zaufanie mniejszości wobec zmian – są odczuwalne do dziś.

Kilka dni przed przyjazdem do Syrii zająłem do Berlina, by spotkać się z przyjacielem Orwą Nyrabią, syryjskim reżyserem i aktywistą przebywającym na wygnaniu. Poznałem go w 2012 r. w Bajadzie, gdy kręcił pierwsze kadry filmu „Powrót do Homs”; filmował zwłoki dziesięcioletniego chłopca o imieniu Taha, zastrzelonego godzinę wcześniej przez reżimowego snajpera. Parę miesięcy później Orwa został aresztowa-



ny – tylko dzięki międzynarodowej mobilizacji udało mu się wyjść na wolność i wyjechać z kraju.

Orwa miał wiele do powiedzenia na temat nowej władzy: „Ci goście są znacznie silniejsi od tradycyjnej syryjskiej opozycji. Trzeba porównywać Asz-Szarę raczej do Macrona niż do Chomeiniego. Nie zgadzamy się z nimi w tak wielu kwestiach, ale modlimy się, by im się udało!”. Uważał tak jak ja, że Homs jest jak soczewka, w której skupia się dziś sytuacja Syrii: „Napięcia są tam bardzo silne, nie ma mowy o stabilności. Homs to jeden z najważniejszych testów przyszłości kraju”.

Gdy 6 marca zapłonęło wybrzeże, najbardziej obawiano się, że przemoc rozleje się właśnie na prowincję Homs, na drugą stronę al-Helou, „góry alawitów”, na historyczne lenno tej mniejszości, którą reszta muzułmanów uznaje często za heretyką. Dopiero po zamachu stanu przeprowadzonym przez Hafiza al-Assada w 1971 r. reżim zaczął nakłaniać ich do opuszczania rodzinnych wiosek i osiedlania się w tradycyjnie sunnickich miastach na wybrzeżu oraz w Homs, w dużych, nowo wzniesionych dzielnicach, takich jak Zahra, Nouzha czy Akrama. Ten tygiel etniczny i wyznaniowy – w centrum żyje też liczna i stara wspólnota chrześcijańska – przetrwał do dziś mimo zniszczenia rebelianckich dzielnic. Zatem już 6 marca wieczorem nowa władza rozmieściła tam wojsko, by zapobiec rozlewaniu się przemocy. Spontanicznie wsparli ich cywile: liczni wolontariusze, tacy jak Omar Telaoui, udali się do alawickich kwater, gdzie filmowali kordony i publikowali – na Facebooku lub Instagramie, by uspokoić nastroje – relacje, na których widać czasem, jak żołnierze w kominiarkach rozkazują uzbrojonym sunnitom, by odeszli, a niekiedy – jak strzelają w powietrze.

Któregoś wieczoru w knajpie z pieczonym baranem spotkałem jednego z takich

młodych wolontariuszy. Amir Abdel Baqui był dziennikarzem, długo jeździł za Abd al-Basitem as-Sarutem, dawnym bramkarzem piłkarskim z Homs, który poległ w walkach w 2019 r. i odtąd stał się ikoną bojowników rewolucji. Amir z dumą pokazał nam kilka relacji w serwisach społecznościowych – na jednej sam, nad wyraz elegancki, w liliowej marynarce i z włosami zaczesanymi do tyłu, udaje się do Baba Amr, bo gruchnęła plotka, że tamtejsi mieszkańcy przygotowują broń, by dokonać rzezi alawitów. Chciał pokazać na żywo, że owi mieszkańcy piją sobie herbatę w domach albo już śpią. „Miałem 153 tys. wyświetleń! – wykrzyknął. – Patrz na komentarze! – dodał. – Setki alawitów dziękują mi, że ich uspokoiłem”.

Omar Telaoui chciał nam załatwić spotkanie z mukhtarem – kimś w rodzaju mera czy też szefa dzielnicy, w tym wypadku Zahry. Umówił się z nami przed tym samym sklepikiem, w którym w listopadzie 2011 r. omal nie zginął w zamachu przeprowadzonym przez grupy szabihiy – stracił w nim dwóch przyjaciół. Na ulicy panuje zgiełk, ludzie robią zakupy na wieczorny iftar, mijamy też kobiety z odkrytymi włosami, prawdopodobnie chrześcijanki. Wyżej stoi kościół, a za nim meczet. Tuż obok znajduje się żelazna brama budynku Omara okolona zdjęciami jego dwóch sąsiadów poległych w walkach. Omar najpierw oprowadza nas po mieszkaniu. Rozmawiałem tu z nim i jego przyjaciółmi w styczniu 2012 r.: teraz to osmalona ogniem ruina. Stąd też szabiha wyniosła wszystko, a została napisy na ścianach: „Jesteście świniami” i „Chwała syryjskiej armii Asada”. Nadal są czytelne. „Gdy w 2015 r. reżim przejął miasto – opowiada Omar – odciął dostęp do wszelkiej infrastruktury w dzielnicach sunnickich: nie było wody, prądu, punktów medycznych ani szkół. Jeśli chciałeś wrócić do

własnego spładowanego mieszkania, musiałeś mieć pozwolenie muchabratu: gdy się okazywało, że brałeś udział w jakiejś demonstracji, jeśli członek twojej rodziny został zabity, trafiałeś do paki, albo i gorzej. Za to dzielnice alawickie miały wszystko. Szabiha urządziła tzw. targ sunnicki, na którym sprzedawała rzeczy wyniesione z naszych dzielnic; w mieszkaniach alawitów roilo się od naszych mebli. W ten sposób reżim siał ziarno niezgody między społecznościami”. I faktycznie: aleja biegnąca między Bajadą a Zahrą – o szerokości zaledwie 20 m – oddziela ponure pole pylistych ruin od ulic z nietkniętymi budynkami – zgiełkliwych i pełnych życia.

Kontrast jest dojmujący. Na rondzie w Zahrze, tam, gdzie szabiha w 2011 r. rozdawała broń, by atakować demonstrantów, i gdzie wystawiała na widok publiczny ludzi wziętych do niewoli, by później ich torturować, gwałcić albo mordować, czterech żołnierzy trzyma wartę przed sklepikami. Na widok brody Omara jeden z nich rzuca: „A ty co tu robisz?”. „Towarzysze francuskiemu dziennikarzowi”. „Nie wejdiesz, jeśli masz broń”. „Wiem, spokojnie”.

Omar sceptycznie zerka na stan ich uzbrojenia: „Tym się nie obronicie. Jeśli fouloul was zaatakują, z łatwością was zabiją”. Ich szef wzrusza ramionami: „Chcieliśmy urządzić na piętrze stanowisko strzelnicze, ale dowództwo się nie zgodziło. Nie wolno nam straszyć ludności. – Ale to niebezpieczne! – Idź i powiedz to Abu Muhammadowi [to pseudonim prezydenta Asz-Szary].

Mukhtar Mustafa al-Abboud dołącza do nas chwilę później na tarasie nieczynnej restauracji. „Od czasu wyzwolenia jesteśmy po stronie nowej władzy” – oświadcza na wejściu człowiek, którego Omar nazwał al-Koue (Łokieć), bo dokonał zwrotu o 180 st. „Kiedy przyszedłem do niego po raz pierwszy, był w szoku – tłumaczył mi Omar. – Powiedziałem mu, że nie byłoby mnie tu, gdy-



• Funkcjonariusze sił bezpieczeństwa nowej władzy w dzielnicy Zahra, zamieszkałej głównie przez alawitów. To dokładnie w tym miejscu w 2011 r. reżimowe milicje szabihiy rozdawały broń, by atakować demonstrantów w Homs

bym nie opowiadał się za wewnętrznym pokojem. Naszym jedynym problemem są fouloul. Próbuje nakłonić go do wydania tych, którzy jeszcze ukrywają się w dzielnicy”.

Ambitny plan. Mukhtar na wszystkie nasze pytania odpowiada nowomową godną najlepszych czasów partii Baas, która go mianowała: „Abu Muhammad al-Faruk [szef bezpieczeństwa w Zahrze] jest lekiem na rany dzielnicy”. O fouloul rzecz jasna ani słowa; za każdym razem gdy napieramy, Mustafa się miga. Omar zachowuje kamienną twarz, słysząc te wykrety, lecz później komentuje sfrustrowany: „Typ kłamie jak z nut. Udaje, że współpracuje, a tak naprawdę nie zdradził informacji o żadnym składzie broni, o żadnej mogile zbiorowej, nie wydał ani jednej poszukiwanej osoby. Bardzo się na nim zawiedliśmy”.

Omar ma jednak zamiar kontynuować swoje działania z innymi mukhtarami w nadziei, że któregoś dnia złapie nic, która doprowadzi go do kłębka. Lecz jego gniew i w ogóle cały potencjał przemocy buzujący pod skórą tego miasta wypływają na wierzch pod koniec rozmowy: „Jeżeli siły fouloul zaatakują Homs, pozbędziemy się najpierw sił bezpieczeństwa, a potem weźmiemy się do alawitów. I to będzie rzeź”.

– Czujesz nienawiść, Omar, za wszystko, co ci zrobili?

Omar unosi brwi – to jest syryjskie „nie”. „Ale jestem zniesmaczony zachowaniem ludzi takich jak ten mukhtar. Oferujemy im gwarancję bezpieczeństwa, a oni nie chcą współpracować, nie chcą wydawać nam kryminalistów ani przywracać wewnętrznego pokoju. Najgorzej jest z zaginionymi. Każdy z nas ma bliskich, którzy zniknęli. A oni nic nam nie chcą mówić, nie wskazują nam mogił zbiorowych. To trudne i przykre”.

Istnieje też całe pokolenie starszych syryjskich dysydentów. Niemal wszyscy siedzie-



• Dziewczynka z dzielnicy Al-Bayada. Ten rejon miasta Homs był bastionem Wolnej Armii Syrii, został brutalnie spacyfikowany w 2012 r. podczas ofensywy sił rządowych

• Mieszkańcy świętują rocznicę rozpoczęcia syryjskiej rewolucji na jednym z głównych placów Homs

• Bojownicy patrolujący ulice Homs w rocznicę rozpoczęcia rewolucji 15 marca



Bombą z opóźnionym zapłonem są dla Syrii wszyscy ci ludzie torturowani przez reżim od pół wieku



li w więzieniu jeszcze za rządów Hafiza al-Asada, ojca Baszara. Abu Ali Saleh, dawny alawicki bojownik Partii Pracy, jest jednym z nich. Za czasów Hafiza spędził 12 lat w Sajdnaji, w pojedynczej celi, bo obawiano się, że zarazi poglądami resztę osadzonych. Abu Ali jest dziś opanowanym, łysym mężczyzną z sumiastym i siwym wąsem; handluje w Homs chińską fotowoltaiką. Jest też jednym z założycieli działającej od grudnia Inicjatywy na rzecz Pokoju Wewnętrznego (IPC), obywatelskiej organizacji współpracującej z władzą. Chcą zmniejszyć napięcie między wspólnotami i precyzyjnie dokumentować nadużycia, tak by korygować fake newsy, które zalewają portale społecznościowe.

Często interweniują w konkretnych przypadkach, takich jak spór o grunty w mieszanej dzielnicy Wouroud leżącej na północ od starego miasta w Homs: w 2014 r., po przymusowym wywiezieniu sunnitów, bojówkarze reżimu wyburzyli domki biedoty, a na ich miejscu wybudowano bloki z mieszkaniami, które zostały sprzedane. Po upadku reżimu pierwotni lokatorzy powrócili, chcieli odzyskać tereny i odbudować swoje domy, więc przegonili właścicieli mieszkań. „Teraz my prowadzimy mediacje – komentuje Abu Ali. – Tyle że to zajmie nam lata”.

Kluczową kwestią dla Abu Alego i jego przyjaciół pozostaje sprawiedliwość, nawet tranzycyjna, przejściowa, jak ją tu nazywają: „Bez sprawiedliwości sytuacja się nie zmieni. Rany są rozległe. Nie będzie pokoju. Alawickie wspólnoty na wybrzeżu i w prowincji Homs domagają się bezwarunkowej amnestii, próbujemy wyjaśniać im, że amnestia bez sprawiedliwości prowadzi donikąd. Nie możemy zapominać o prawach ludzi, którzy żądają, by ją wymierzono. Dopiero potem będzie można myśleć o amnestii. Trzeba najpierw wiedzieć, kto popełnił zbrodnie”.

Problem w tym, że najwyraźniej nie należy to do priorytetów nowego rządu. „Po trzech miesiącach widać to jasno – tłumaczy mi alawicki adwokat Maan Saleh, inny współzałożyciel IPC. – Należało zająć się tym już w pierwszym tygodniu, a nie sporządzono nawet list już aresztowanych i dopiero poszukiwanych zbrodniarzy wojennych. Więc zamiast sprawiedliwości mamy odwet”.

Sam prezydent Ahmad asz-Szara wydał się zakłopotany tym tematem: „Gdy ludzie mówią, że lekceważymy ich prawo do zemsty – stwierdził w słynnym wywiadzie, udzielonym w grudniu jordańskiemu youtuberowi Joemu Hattabowi – odpowiadam im: »Zwróciliśmy wam całą Syrię«”.

Plotki o specjalnym traktowaniu niektórych grubych ryb dawnego reżimu tylko wzmogły – jeszcze przed eksplozją nienawiści, do której doszło 6 marca – poczucie zagubienia i rozpacz milionów ludzi ocalałych z lat terroru. Nawet po marcowych rzeziach trzeba było zacząć na tymczasową konstytucję, ogłoszoną 13 marca na pięć najbliższych lat, by zyskać obietnicę, że „zostanie ustanowiona komisja sprawiedliwości tranzycyjnej”. Na razie jednak nawet nie mianowano jej członków.

Ostatniego dnia w Homs udało mi się nareszcie spotkać z Obaidą Arnaoutem, tym, który czytał przez megafon przemowę asz-Szary podczas święta. Przyjmuje mnie w dawnych biurach partii Baas, czystych i przestronnych.

„Mamy ściśle rozkazy od prezydenta. Wyzwoliliśmy kraj, by dać ludziom wolność, nie po to, żeby się mścić”. Lecz gdy przytaczam krytykę aktywistów, przyznaje, że problem istnieje: „Naród nie jest żadeny krwi. To są ludzie nastawieni pokojowo. Ale nie mogą zapomnieć terroru i nadużyć. Kwestia sprawiedliwości jest kluczowa”. Dlatego władza zaczęła upubliczniać – za pośrednictwem kont komunikatora Telegram – nazwiska i zdjęcia niektórych aresztowanych zbrodniarzy.

„Problem w tym – zauważa Arnaout – że aby poważnie się tym zająć, potrzebujemy zawodowców. Mechanizmy muszą zostać dobrze uregulowane, w przeciwnym razie nie będzie satysfakcji po żadnej ze stron – ani po stronie ofiar, ani społeczności, do których należeli oprawcy”.

Niestety, w reżimie Asada prawnicy byli jedną z najbardziej skorumpowanych grup zawodowych w całym – i tak przegniłym – aparacie państwowym; wszystko – od dyplomów po wyroki – można było kupić. „Musimy zweryfikować dyplomy wszystkich aktywnych sędziów, wyszkolić nowych, ktoś musi zająć się kwestią rekompensat, zwłaszcza tych najbardziej oczywistych związanych z tysiącami zrujnowanych lub przywłaszczonych mieszkań. Brakuje nam pieniędzy i ludzi. Ale to się będzie stopniowo zmieniać. Na razie musimy przede wszystkim zagwarantować bezpieczeństwo wspólnotom”.

Nie ma jasności, jak ma przebiegać odbudowa państwa. Amjad Kallas, kolejny starszy dysydent, mówi mi o rządzie: „Jeśli zostaną przy swoich aktualnych zasadach, jeśli zapomną o ideologii [islamistycznej], z której się wywodzą, będzie to dobra wróżba na przyszłość. Ale wyzwania są niezliczone. Jakie będziemy mieć państwo? Jaki ustrój? Kręgosłupem państwa jest prawo. Ale jakie prawo?”.

Amjad ma na myśli obawy przed islamistycznymi zapędami nowej władzy, i to nie tylko on. Nikt nie zapomina o dżihadystycznej przeszłości Frontu an-Nusra, którym dowodził asz-Szara, wtedy jeszcze pod wojennym pseudonimem Abu Muhammad al-Dżaulani. Wpadki związane z pierwszymi nominacjami w rządzie – jak choćby użyczenie ministrem sprawiedliwości Shadiego al-Waisi, który w styczniu 2015 r. na zlecenie an-Nusry osobiście nadzorował jako sędzia egzekucję dwóch kobiet skazanych za nierząd – tylko umocniły te obawy.

A jednak w zasadzie żaden z moich rozmówców nie uważa, że islamistyczna przeszłość asz-Szara to wielki problem. Będąc przejazdem w Idlibie, zostałem zaproszony na iftar z Ossamą al-Husainem, byłym szefem rady miasta Sara-kib. Ponieważ nie zgodził się na współpracę z HTC, gdy w 2017 r. przejęła jego miejscowość, musiał uciekać do Turcji. „Od 2020 r. naprawdę się zmienili” – podkreśla ten człowiek, który z bliska śledził ewolucję HTC od chwili powstania. W 2016 r., zerwawszy z Al-Kaidą i unicestwionym Państwem Islamskim w rejonie Idlibu, al-Dżaulani rozpoczął „syryzację” swojego ruchu, która zakończyła się w 2017 r. utworzeniem HTC. „Wszystko naprawdę zaczęło się zmieniać począwszy od 2020 roku [to data porozumienia w Astanie, które doprowadziło do zawieszenia broni w walkach z reżimem i ustabilizowania sytuacji w rejonie Idlibu]. Zaczęli organizować comiesięczne spotkania z NGO-sami, z przedstawicielami różnych krajów. Okazali się prawdziwymi pragmatykami, słuchali każdego i przyjmowali wszystkie rady, nawet jeśli potem robili, co chcieli”. Al-Dżaulani stopniowo odsuwał współpracowników: „W listopadzie 2023 r. prawie wszyscy pierwotni przywódcy HTC – nie tylko ci z pierwszego szeregu, ci z drugiego i trzeciego także – siedzieli już w więzieniu. W sumie ok. 1,2 tys. osób, nawet bardzo bliskich Dżaulanemu. Ostali się tylko Anas Khattab, Abu Qasra i Chibani”. Ci trzej mężczyźni są dziś ministrami – odpowiednio – spraw wewnętrznych, obrony i spraw zagranicznych. „Sądzę, że może im się udać. Brakuje im personelu, ale gdy tylko uregulują kwestię pensji, ściągną z powrotem Syryjczyków z zagranicy i zintegrują ich”. Ossama został zaproszony do rozmów w tzw. dniu dialogu narodowego; jest ostrożnym optymistą: „Dostał się mniej, niż chcieliśmy, ale i tak więcej niż to, czego w ogóle spodziewaliśmy się po Dżaulanem”.



• 56-letnia Samira Suwaihi przed swoim domem, w którym podczas masakry w sunnickiej wiosce Al-Houla na północy prowincji Homs zginęło 45 członków jej bliższej i dalszej rodziny

• Członkowie nowych syryjskich sił bezpieczeństwa w alawickiej wiosce Al-Madabieh na wschodzie prowincji Homs: pilnują studni, w której odkryto skład broni



Jonathan Littell wraca do Homs

**Specjalnie dla gazet
zrzeszonych w LENA**



Kiedy wspólnie z redaktorami dzienników, które razem z „Wyborczą” współpracują w ramach LENA (Leading European Newspapers Alliance), zastanawialiśmy się, u kogo należy zamówić reportaż z Syrii, która od kilku miesięcy próbuje powrócić do życia po latach okrutnej dyktatury i wojny domowej, wszystkim od razu przyszło na myśl to nazwisko: Littell. Każdy bowiem dobrze zapamiętał „Zapiski z Homs”, jego surową, wstrząsającą relację z ryzykownej podróży, jaką odbył na początku 2012 roku do jednego z miast, w którym – jak sam pisze – powszechny opór społeczny wobec reżimu Baszszara al-Asada właśnie się radykalizowa-

wał, przekształcając się w regularną wojnę domową.

Littell urodził się w Nowym Jorku, ale wychował we Francji i pisze swoje książki, reportaże i eseje wyłącznie po francusku. Sławę i uznanie zyskał za sprawą powieści „Łaskawe” z 2006 roku – za tę, dla wielu szokującą analizę nazizmu otrzymał Goncourtów i nagrodę Akademii Francuskiej. Literatura nigdy mu nie wystarczała: pracował dla organizacji humanitarnych m.in. w Kongo i Bośni, pisał reportaże o Czeczenii, Rosji i Ukrainie, regularnie na łamach zachodniej prasy zabiera głos o współczesnych krwawych konfliktach i ich politycznych uwarunkowaniach.

W „Zapiskach z Homs” sportretował dziesiątki ludzi, którzy postanowili zrzucić jarzmo, choć liczyli się z bezwzględ-

mi, śmiercią. Trzydzieści lat później – parę miesięcy po upadku reżimu Asada – próbował odszukać tych, którzy przeżyli, i opisać, w jaki sposób próbują uczynić z Syrii miejsce, które znów mogą nazwać swoim domem, gdzie można snuć plany i myśleć o lepszej przyszłości.

W najnowszej książce, „Kłopotliwym miejscu” o podkijowskim Babim Jarze oraz Buczy, napisał: „Dzieci wczorajszych zabójców mogą stać się bohaterami lub ofiarami dnia dzisiejszego, tak jak wczorajsze ofiary również latwo mogą stać się dzisiejszymi katami”. W Syrii ta obserwacja jest też boleśnie prawdziwa. A jednak dostrzegł tam źródła nadziei – cieszymy się, że mamy jego relację na naszych łamach, wspólnie z „El Pais”, La Repubblica”, „Die Welt”, „Le Figaro”, „Le Soir” i „Tribune de Genève”.

Łukasz Grzymiśławski

Warto dodać, że gdy nareszcie opublikowano deklarację konstytucyjną, uwagę wielu obserwatorów, zwłaszcza w Europie, zwrócił artykuł 3.1: „[...] islamskie orzecznictwo stanowi główne źródło ustawodawstwa”. Część reakcji ocierała się o histerię. A przecież ten artykuł nie wnosi praktycznie niczego nowego w porównaniu z rzekomo laicką konstytucją partii Baas: dodano jedynie słowo „główne”. Na razie nie wiadomo, według jakich zasad zostaną napisane ewentualne nowe ustawy; na razie nie ma nawet parlamentu.

Abu Hanin, dawny aktywista informacyjny z Baba Amr, na którego natknąłem się wśród ruin jego rodzinnej dzielnicy, zbagatelizował ten problem ze znaną mi już brutalną szczerością: „Gdy opuściłem Baba Amr, zrozumiałem, że tylko ci, którzy mają łaskę wiary, są wystarczająco silni, by przetrwać wszystko, co nam zgotowano, wybuchające beczki, gaz... Właśnie dlatego oni zwyciężyli i przejęli władzę. Będą popełniać wiele błędów, a my będziemy za nie płacić. A potem zrozumieją i się umocnią. Ale w Syrii tak to już wygląda z religią, nie można tego zmienić. Laickość się tu nie sprawdzi. Ale ekstremizm też nie, i Szara świetnie to rozumiał”.

Jest jeszcze jedno zagrożenie, bardziej realne i niepokojące: zapędy dyktatorskie. Choć ojciec asz-Szary jest postępowym ekonomistą, wydawał książki o demokracji w Syrii, syn najwyraźniej ma kłopot z tym pojęciem i gdy ktoś wprost pyta go o demokrację, ten odpowiada wymijająco. W dodatku sama deklaracja konstytucyjna nie skłania do optymizmu. „To jest podana w innym sosie konstytucja z 2012 r. – ta, którą zaoferował Baszar al-Asad, mając płonną nadzieję, że położy kres demonstracjom” – mówi Abu Ali Saleh i wylicza: „Prezydent jest w niej zwierzchnikiem państwa i sił zbrojnych, mianuje wiceprezydentów i rząd, członków sądu najwyższego, jedną trzecią parlamentu i komisję, która będzie mianować pozostałe dwie trzecie... Może jeszcze powinien mianować naród” – kończy gorzko.

Niemniej jednak wszyscy aktywiści są gotowi dać asz-Szarze kredyt zaufania. „Jeśli po tych 53 latach wylądujemy w łagodnej wersji autorytaryzmu – powiedział mi w Berlinie Orwa Nyrabia – będzie to mimo wszystko kolosalna poprawa. Być może nie ma sensu oczekiwać niczego więcej”.

Abu Ali także zachowuje ostrożny optymizm: „Ufam syryjskiemu narodowi. Nie zgodzi się na byle co. Ale trzeba pracować. Owoce nie przyjdą same”.

W ostatnich dniach pobytu w Syrii odwiedziłem chrześcijańską miejscowość Malula, leży w górach 60 km na północ od Damaszku, jest jedną z ostatnich, gdzie mówi się jeszcze po aramejsku, w języku Chrystusa. Monaster był, niestety, zamknięty, więc zesłaliśmy kupić zimne piwo i zwiedzić przepiękny wąwóz, od którego miasto wzięło swoją aramejską nazwę oznaczającą „Wejście”. Podobno utworzył go Bóg, aby pozwolić przejść Jezusowi. Wyłoniło się z niego dwóch mężczyzn; zaczęliśmy rozmawiać. Przypadek sprawił, że pochodzili z Baba Amr, i szybko się okazało, że mamy wielu wspólnych znajomych. Starszy Abu al-Bara pracował dawniej jako aktywista u boku Abu Hanina i został ranny od tej samej rakiety, która 22 lutego 2012 r., kilka dni po moim wyjeździe, zabiła dziennikarza Marie Colvin i Remiego Ochlika. Abu al-Bara pokazał mi w telefonie swoje zdjęcia w towarzystwie reporterki Edith Bouvier, rannej w tym samym ataku, i mojego niemieckiego przyjaciela, filmowca Marcela Mattlesiefena, który otaczał ramieniem jego brata, zabitego wkrótce potem. Odchodząc, rzucił: „Odwiedź nas przy okazji następnej rewolucji!”. Roześmiałem się: „Przeciwko komu będzie ta następna?”. Sposepniał od razu: „Nie powiem. Ale wiedzą, że jesteście gotowi”.

Przełożyła
Magdalena Kamińska-Maurugeon

Galareta od prezesa

„Karol Nawrocki to jest uczciwy człowiek, bardzo uczciwy człowiek”. Pomijając fakt, że przymiotnik zawsze osłabia rzeczownik, należałoby zadać pytanie, dlaczego Kaczyński uważa uczciwość za cechę stopniowalną.



Michał Rusinek

To będzie garść uwag o krótkiej wypowiedzi Jarosława Kaczyńskiego w czasie konferencji prasowej z 28 kwietnia. Poza deklaracjami, że „nie oddamy naszego bezpieczeństwa w cudze ręce” i stwierdzeniami, że „bezpieczeństwo Polski nie może zależeć od decyzji, które zapadają w Berlinie”, prezes PiS wyraził wówczas gorącą wdzięczność dla Andrzeja Dudy, który poparł Karola Nawrockiego. „Prezydent Andrzej Duda pokazał klasę, pokazał, że potrafi stanąć ponad bieżącymi sporami i że wie, co jest naprawdę ważne dla Polski”. To pochwała nieco niefortunna, bo gdyby rzeczywiście stanął ponad sporami, to nie poparłby żadnego kandydata ani kandydatki, tymczasem popierając jednego z nich – właśnie zajął stanowisko w „bieżącym sporze”.

To jednak tylko preludium do kunsztownej wypowiedzi o Karolu Nawrockim, którego kontakty z półświatkiem Kaczyński postanowił zbagatelizować: „To są rzeczy śmieszne. W tamtych czasach wielu ludzi musiało funkcjonować w systemie pełnym patologii. Robienie dziś z tego zarzutu jest nie tylko nieuczciwe, ale też świadczy o braku zrozumienia historii”. Następnie dodał część właściwą: „Krótko mówiąc, proszę nie iść tą drogą. To jest uczciwy człowiek, bardzo uczciwy człowiek, dobry Polak, dobry patriota i rzeczywiście, jak o nim pisze profesor Dudek, człowiek zdecydowany, konsekwentny, odważny – a takiego potrzebujemy prezydenta. A nie jakąś galarete, która tam się wychowała wśród uprzywilejowanych z czasów PRL-u”.

Kunsztowność tej wypowiedzi polega na tym, że, po pierwsze, zawiera ona kryptocytat, który stał się już skrzydlatym słowem, czyli mało kto pamięta jego źródło. Otóż w 2007 roku w Szczecinie, w czasie kampanii wyborczej SLD, Aleksander Kwaśniewski powiedział: „Jarosławie Kaczyński, Lechu Kaczyński, Ludwiku Dorn... i Sabo! Nie idźcie tą drogą”. Przypomnijmy, że Saba była ukochaną sznauerką Ludwika Dorna, bohaterką jego wiersza „Saba i króliczki”: „Saba to pies, jak powyżej rzekłem,/ I suka przy tym (zdania tu nie zmienia!)/ Z mordą głupawą trochę, trochę wściekłą,/ Trochę po-cziwłą. A bito ją w ciemnię!/ Saba sznau- ucerką jest, lecz nie we wszystkim;/ Sznau- uceropodobna – tak twierdzą złośliw- cy,/ Znacwów zniechęca wydłużonym py- skiem,/ Czterdzięści kilo waży, sierść czar- ną ma maść”.

Tak czy owak, o Sabie mało kto już pamięta, choć była „najsłynniejszym psem IV RP”, za to sformułowanie „nie idźcie tą drogą” weszło do słownika skrzydlatych słów. Nie ma się co dziwić, że dla Kaczyńskiego jest to sformułowanie szczególnie bliskie, skoro jego nazwisko tuż przed nim

się pojawiło. Choć przyznać trzeba, że cytowanie przez niego Kwaśniewskiego wydaje się obarczane pewnym skojarzenio- wym ryzykiem.

Po drugie, warto się zastanowić nad se- mantyczną różnicą między stwierdze- niem „to jest uczciwy człowiek”, a „to jest bardzo uczciwy człowiek”. Pierwsze wy- daje się bez zarzutu: oczywiście tylko pod względem logicznym, bo afera mieszkaniowa pokazała, że jednak nie pod wzglę- dem faktycznym. Drugie – zawiera nieco niepokojącą presupozycję. Pomijając fakt, że przymiotnik zawsze osłabia znaczenie rzeczownika, należa- ło by zadać pytanie, dlaczego Kaczyński uważa uczciwość za cechę stopniowalną. Czyżby w jego formacji politycznej były różne poziomy uczciwości? Określenie ludzi mianem bardzo czy bardziej uczciwych zakłada istnienie ludzi uczciwych mniej, ale jednak na tyle, żeby spełniali wymagania stawiane przez Ka- czyńskiego politykom. A my chyba prze- cież wolelibyśmy, żeby reprezentujący nas politycy byli po prostu uczciwi, a nie – jed- ni bardziej, a drudzy mniej.

Po trzecie, Kaczyński stosuje figurę reto- ryczną, a ściślej – dialektyczną, zwaną con- cessio. Polega ona na pozornym przyzna- niu racji swojemu przeciwnikowi. W tym przypadku: profesorowi Antoniemu Dud- kowi. Zwykle jednak w concessio przytacza się słowa oponenta, tymczasem prezes PiS dokonał wysoce kreatywnej adaptacji opi- nii prof. Dudka, który o Karolu Nawrockim bynajmniej nie powiedział, że jest to „czło- wiek zdecydowany, konsekwentny, odważ- ny”, ale że to człowiek brutalny, bezwzględ- ny, i zdeterminowany, żeby odnieść sukces, a także jeden z najbardziej niebezpiecz- nych ludzi, jacy pojawili się w przestrzeni publicznej. O wiele łatwiej przyznać rację przeciwnikowi jeśli, zamiast cytowania je- go słów, imputuje mu się jakieś inne.

Po czwarte wreszcie, wypowiedź Kaczyń- skiego kończy się wprawdzie wyświech- taniem już zarzutem, że Rafał Trzaskow- ski nie poradzi sobie jako prezydent, bo nie zna życia, wychowywany był pod klo- szem, pochodzi z inteligencko-artystycz- nej rodziny, a więc kasty uprzywilejowa- nej; w dodatku uprzywilejowanej w PRL- u, a więc najgorzej. Nowatorskie i warte uwagi jest tu nato- miast użycie metafory galarety. Dosłownie jest to, jak wiemy z lekcji chemii, elastycz- na masa będąca żelem o dużej zawartości fazy ciekłej. Z punktu widzenia frazeolo- gii można (aczk nie należy) „być zgłarecia- łym” lub „trząść się jak galareta”, co prezy- dentowi Rzeczypospolitej w żadnym przy- padku nie przystoi. Galareta kojarzy się jednak pozytyw- nie z polską kuchnią, gdzie zajmuje miej- sce poczesne, a nawet określana bywa mianem „królowej polskich stołów”. W li- teraturze bywała pieszczotliwie nazy- wana „meduzą” (podawaną do „lorne- ty”, czyli dwóch pięćdziesiątek wódki) lub funkcjonowała w parze: „seta i gala- reta” – co przywodzi na myśl nocne ży- cie prawdziwych mężczyzn, szczególnie w Warszawie, sławione przez Hłaskę, Or- łosia czy Nowakowskiego. Tych skojarzeń Kaczyński z pewnością wolałby uniknąć. Skoro więc galareta jest metaforą am- biwalentną, a Kaczyński szukał określenia jednoznacznie deprecjonującego i prze- śmiewczego, to może lepszy byłby budyń, także ze względu na rodzaj gramatycz- ny? Cóż, kłopot w tym, że ta metafora, jak wszyscy wiemy, jest już zajęta. ●

Gnębiciel w dresie Rousseau

Zdjęcie Trumpa w papieskich szatach to jak w szkolnym kontekście kradzież sutanny księdzu i założenie jej przez klasowego dowcipnisia.



Marcin Matczak

W każdym liceum jest taki typ. Król stołówek, cesarz szatni, gość, który myśli, że Jean Jacques Rousseau to marka francuskich dresów, ale rozdaje lepy tak skutecznie, że klasa zamiera w podziwie. To, z braku lepszego polskiego słowa, bully – szkolny chuligan i gnębiciel. Teraz pojawił się w garniturze, z czerwonym krawatem i wygenerowa- nym przez sztuczną inteligencję zdjęciem, na którym wygląda jak papież. Przez całe średniowiecze Kościół i Cesarstwo toczy- ły spór, który dziś nazwalibyśmy walką o prawa do brandu „władzy absolutnej”. Dziś Trump kończy ten spór siłą memu. Pontifex Maximus Ego. Papież i cesarz w jednym. Dyrektor wszechświata.

Bully, nie polityk

Zdjęcie Trumpa w papieskich szatach to jak w szkolnym kontekście kradzież sutan- ny księdzu i założenie jej przez klasowe- go dowcipnisia. Bully parodiuje autorytet, by go zdegradować. Pokazać, że nie istnie- je sacrum, którego nie można uczynić sce- nografią dla własnego samouwielbienia. Przemoc szkolna bywa nie tyle fizyczna, co symboliczna – penis narysowany w ze- szycie, wyrzucony przez okno tornister. Tu też mamy do czynienia z gestem symbo- licznym: „papieżem też mogą być, bo mogę wszystko.” Granice są dla przegranych. Papieskie zdjęcie Trumpa to kolejny do- wód, że mamy do czynienia nie z konser- watywnym politykiem, lecz z chuliganem. Bo gdy zestawić zachowania Trumpa z za- chowaniami bully’ego, okazuje się, że to nie metafora, ale kliniczna zgodność: 1. **Potrzeba dominacji.** Bully nie musi mieć racji, musi mieć ostatnie słowo. Dla Trumpa każda konferencja prasowa, każ- dy post to próba przejęcia narracji, wybi- cia się na czoło, jak w znanym nagraniu, gdy przepycha się wśród współpracowni- ków, żeby być pierwszy. Nie mówi po to, by informować – tylko by zagłuszyć in- nych. 2. **Pogarda dla słabości.** Gnębiciel wy- biera ofiary, które nie mogą się bronić: dziewczynki, chłopców z aparatem na zę- bach, kogoś, kto się jąka. Trump? Naśla- duje dziennikarza z porażeniem mięśniow- ym, kpi z Johna McCaina więzionego w Wietnamie. Bully nie bije silniejszych – to byłoby ryzykowne. Trump też kopie słabszych, a silniejszych omija. Albo po- dziwia, jak Putina. 3. **Lęk przed przegraną.** Trump od wyborów w 2020 prowadzi wojnę o to, by świat uznał, że tak naprawdę nie wygrał. W jego świecie porażka to upokorzenie, a to najgorsza kara. **Naród, który szuka rewanzu** Jaki jest naród, który na prezydenta wy- biera sobie chuligana? I nie chodzi tylko o Amerykanów, ale – być może – Polaków,

którzy na podobnych Trumpowi będą gło- sować w maju. Może taki naród jest jak ci, co siedzą w trzeciej ławce, zawsze lekko przekrzy- wieni, z rechem w zanadru? Wyciągają telefon, kiedy ktoś płacze i wrzucają filmik na grupę. Pierwsi mówią: „ale go zaoral”. Jak chłopaki, które bardziej pragną przynależeć niż wyróżniać się słabością. Wolą śmiać się z ofiary niż być kolejną. I podziwiają siłę, nawet jeśli jest okrutna – bo wydaje się skuteczna. Naród, który wybiera bully’ego, to nie zawsze naród okrutny. Czasem przestra- szony, płytko refleksyjny, pragnący siły, ale nieodważny, by sam ją wyegzekwować. To naród zmęczony złożonością, który za- miast słuchać debat, chce prostych słów i jeszcze prostszych rozkazów. Takich, któ- re nie wymagają myślenia, tylko entuzja- zmu. Bully jest odbiciem jego lęków, znu- żenia i pragnień. To naród, który czuje się upokorzony – przez elity czy media. I który szuka re- wanzu. A bully oferuje rewanz głośny, wi- dowiskowy, satysfakcjonujący. Upokarza w imieniu tych, którzy kiedyś sami czuli się upokorzeni. To także naród, który przestał wierzyć w instytucję, więc zamiast procedur wybie- ra charakter. Zamiast prawa – emocję. I ta- ki, który boi się swojej słabości. Boi się, że zbyt długo był grzeczny, wycofany, naiwny. Że pozwolił innym mówić mu, co jest mor-alne, postępowe, słuszne. I teraz nie chce dyskutować. Chce odzyskać twarz, nawet jeśli musi ją pożyczyć od kogoś, kto nie ma w niej ani śladu współczucia. **Sposoby na dręczyciela** Jak prawdziwy lider, nie chuligan, powi- nien odpowiedzieć na to wszystko? Nie za- spokajając frustracji, tylko pomóc przez nią przejść. Naród, który wybiera bully’ego, nie zawsze potrzebuje siły, ale uznania bó- lu, przywrócenia poczucia sprawczości i odbudowy zaufania. Prawdziwy lider potrafi nazwać cier- pienie bez pogardy. Nie mówi: „jesteście głupi, bo głosujecie na autokratów”. Mó- wi: „rozumiem, że czujecie się opuszczeni i oszukani”. Ludzie nie potrzebują od razu rozwiązania – najpierw chcą wiedzieć, że ich emocje są widziane. Dlatego prawdzi- wy lider mówi „Rozumiem, dlaczego was boli”, otacza ten ból troską i nie oddaje go w ręce tych, którzy chcą go wykorzystać. Taki lider potrafi odbudować zaufa- nie do instytucji, zamiast je osłabiać stron- niczością. Pokazuje, jak reguły chronią, a nie poniżają. Tłumaczy, że bez reguł, sil- niejszy zawsze pokona słabszego. Wresz- cie oferuje wspólnotę zamiast plemion. Nie dzieli ludzi na „wiernych” i „zdrajców”. Przedstawia opowieść, w której miejsce ma i robotnik, i student, i migrant, i senior. Wspólnotę, która nie musi nienawidzić obcych, by czuć się sobą. Jak sobie radzić ze szkolnym dręczycie- lem? Są generalnie trzy sposoby: 1. Nie reagować bezpośrednio – bo bul- ly, jak troll, karmi się reakcją. 2. Uruchomić reakcję instytucjonal- ną – tylko dorosły, nauczyciel, który mówi „nie”, może go powstrzymać. W demokra- cji to sądy czy media, nie politycy, którzy mówią „to tylko żart”. 3. Nie próbować go nawracać, ale za- trzymać. To nie czas na terapię, ale czas na jasne normy. Ale najlepszy jest czwarty – wybrać li- dera, który nie będzie gnębicielem słab- szych. ● śródtytuły pochodzą od redakcji

Wolę słabą demokrację niż silną dyktaturę



Gdybym był szefem służb w Moskwie, codziennie dawałbym na mszę, żeby ani Mentzen, ani Nawrocki się nie przeziębili.

Z ADAMEM MICHNIKIEM
ROZMAWIA
DOMINIKA WIELOWIEYSKA

DOMINIKA WIELOWIEYSKA: Czy te wybory są przełomowe?

ADAM MICHNIK: Mogą takie być. Dostrzegam w nich spór dwóch wizji Polski – o jej miejsce w świecie i Europie – oraz dwa sposoby myślenia o polskości. To nie znaczy, że po jednej stronie są same anioły, a po drugiej same diabły. Niemniej jeżeli się zestawi to, co mówią kandydaci związani z Koalicją 15 Października, z tym, co mówią ich główni przeciwnicy, czyli Karol Nawrocki, Sławomir Mentzen i Grzegorz Braun, to widać w tym głęboką polaryzację. Nie chcę idealizować obozu demokratycznego, media powinny być wobec niego krytyczne, patrzeć władzy na ręce, ale jednak ci, którzy stoją po drugiej stronie, mogą poprowadzić Polskę do państwa niedemokratycznego, autorytarnego, zbudowanego na kompleksach, ksenofobii, mowie nienawiści, populizmie i demagogii.

Oczywiście to nie trwałoby wiecznie, ale na lata może Polskę popsuć, tak jak Viktor Orbán popsul Węgry, Recep Erdogan psuje Turcję, tak jak Władimir Putin dramatycznie popsul Rosję, popychając ją w stronę zbrodni. Mógłbym wymienić więcej przykładów z prawej, ale też z lewej strony, np. Nicolasa Maduro, prezydenta Wenezueli.

Poznałem Orbána w 1989 roku na wielkim mitingu w Budapeszcie poświęconym rehabilitacji ofiar rewolucji węgierskiej z 1956. Odnaleziono groby Imre Nagya i innych zamordowanych. Orbán wygłosił wtedy świetne przemówienie, choć jak na mój gust zbyt radykalne, bo zażądał natychmiastowego wyjścia wojsk sowieckich. A to był czerwiec '89! Ja też chciałem, aby Sowietci wyszli, ale uważałem, że trzeba postępować ostrożniej, bo to wciąż był silny gracz. Uważałem, że nie można łapać niedźwiedzia za wąsy. Ale patrzyłem na Orbána z nadzieją: polityk młody, obiecujący, ulubieniec budapeszteńskiej inteligencji liberalnej.

I ten człowiek teraz wysługuje się Putinowi, byłemu agentowi KGB i zbrodniarzowi, otwarcie rozważa, kiedy trzeba wyjść z Unii Europejskiej. Zdeprawował węgierską politykę, zniszczył demokrację. Są więc powody do obaw, bo politycy PiS nigdy nie kryli fascynacji Orbánem i jego polityką.

Kilku kandydatów nie kryje, że powinniśmy wyjść z Unii. Niektórzy mówią o tym jednak w zawoalowany sposób, że Unia jest zła, trzeba ją reformować.

– Rzeczywiście umacniają się środowiska, które może deklaratywnie nie są pror Putinowskie, ale w praktyce takie są. Gdybym był szefem służb specjalnych w Moskwie, codziennie dawałbym na mszę, żeby ani Mentzen, ani Nawrocki się nie przeziębili. W gruncie rzeczy obaj realizują najważniejszy cel polityczny Putina, czyli rozwalenie UE.

Mamy w swojej historii przykłady, kiedy naszą politykę gubiły brak wyobraźni i werbalna megalomania. Polska parę razy płaciła za to najwyższą cenę, więc myślę, że te wybory mogą być czynnikiem albo blokującym tę tendencję, albo jej sprzyjającym.

Karolowi Nawrockiemu niewątpliwie szkodzi afery z mieszkaniem, które pozyskał od schorowanego emeryta. Co będzie jeśli kandydat PiS jednak wygra?

– Już raz w życiu coś prorokowałem – zakonnik na pasach i te rzeczy, więc wolę być ostrożny. Są

dząc z tego, co mówi, jaki ma dorobek życiowy, niczego dobrego się po nim nie spodziewam. Trzeba to uświadamiać ludziom. Mamy do czynienia z formą ducha endeckiego, oenerowskiego, zmutowanego z bolszewickim.

Bezwzględność, brak skrupułów i retoryka, która odwołuje się do frustracji społecznej, dezorientacji i dezinformacji. Niestety, swoją rolę odgrywają tu niektóre środowiska związane z Kościołem katolickim, np. Radio Maryja. To retoryka nasyciona mową nienawiści i głęboko antywangeliczna, a jednocześnie odwołująca się do tego, co w ludziach ciemne, brutalne, dziko instynktowne. I jeżeli przyglądamy się dzisiaj Europie, to Polska nie jest wyjątkiem. Mówilem o Orbanie, ale to samo jest w Serbii, a także we Francji.

W kampanii wyborczej te środowiska zakładają łagodną maskę, taktycznie skrywają pewne poglądy i plany, tak jak PiS zawsze ukrywał np. Antoniego Macierewicza, ale zło tkwi tam głęboko.

Wspomniałeś o Kościele i wydaje mi się, że w tej kampanii jest mniej aktywny, choć ostatnio odezwał się przewodniczący Konferencji Episkopatu Polski abp Tadeusz Wojda, który na Jasnej Górze apelował o głos w wyborach prezydenckich „zgodny z sumieniem i nauką Kościoła” m.in. w kwestii aborcji.

– Trzeba się przyjrzeć przede wszystkim temu, co będą mówili proboszczowie w dniu wyborów.

Widziałam wpis prof. Zdzisława Krasnodębskiego, b. europosła PiS, który na platformie X napisał przed Wielkanocą: „Odwiedziliśmy dzisiaj z rodziną parę kościołów przy Krakowskim Przedmieściu i nie tylko tam, by zobaczyć, jak wyglądają w tym roku Groby Pańskie. Zazwyczaj dużo było odniesień do położenia Ojczyzny. W tym roku nie. Kościół się nie martwi o stan Rzeczypospolitej?”. Był rozgoryczony, a ja się ucieszyłam, że Kościół zachowuje wstrzemięźliwość.

– To krok do przodu. Oczywiście wolałbym, gdyby wyskoki antysemickie Brauna były napiętnowane nie tylko przez jego siostrę, ale również przez choć jednego biskupa.

Masz na myśli to wystąpienie w debacie zorganizowanej przez „Super Express”?

– Judaizacja Polski – co to są za bzdury! Ale tolerować faceta z mainstreamu, bo jest europarlamentarzystą, a przedtem był posłem na Sejm, który mówi rzeczy rodem z dyktatury hitlerowskiej. Co to znaczy?

Braun zgasił gaśnicą menorę w Sejmie, zniszczył wystawę w Instytucie Kultury, zamknął leżarkę na dyżurze, szarpał lekarza, skądinąd byłego ministra zdrowia w rządzie PiS. I jest bezkarny. To świadczy o bezsilności państwa?

– Poczekajmy, na razie wszystko się odbywa w zgodzie z prawem, trzeba przestrzegać procedur. Na tym polega siła i słabość demokracji, że do pewnego stopnia jest tolerancyjna dla swych wrogów. Tym się różni od systemów niedemokratycznych, bo tam Braun już dawno dostałby po mordzie albo siedział w więzieniu. Nie popieram tego, wolę słabą demokrację niż silną dyktaturę. Jestem przekonany, że nie ujdzie mu to na sucho. Właśnie Parlament Europejski uchylił mu immunitet.

Nie wszyscy kandydaci zareagowali oburzeniem na to, co Braun mówił.

– To żaden zarzut.

Prowadzący debatę nie reagowali.

– To była debata o prezydenturze, a nie o Braunie. Gdybym był tam na miejscu, mógłbym uznać, że on sam się kompromituje. Oczywiście zadowolony jestem, że odpowiednio potraktowała go Magdalena Biejat.

Trzaskowski też zareagował.

– Też mnie to nie dziwi.

Jakie masz refleksje po tej debacie?

– Jestem ostrożny, bo to ocena z pozycji wuja, który siedzi na kanapie i pali cygaro. Sądzę, że niewiele zmieni. Byłem pod dużym wrażeniem kandydatów na dalszych miejscach w rankingu – Szymona Hołowni i Magdaleny Biejat. Trzaskowski jak zwykle był dobry, a Nawrocki lepszy niż zwykle.

A nie oburza cię, że ktoś taki jak Maciej Maciak, który podziwia Putina, czy antysemita Braun mają równorzędny głos z innymi?

– Na tym polega demokracja, a jej zawsze będę bronił. Zawsze znajdzie się ktoś, kto orzeknie ex cathedra, że równych praw nie może mieć ten czy ów. To cena, jaką społeczeństwa płacą, gdy chcą żyć w demokracji. Wierzę, że kłamstwom i manipulacjom ulega mniejszość i trzeba ludziom je wskazywać i kontrować, ale nie knebłować usta.

Mamy w Polsce jednak też frakcję otwarcie proputinowską. To, że Maciakowi udało się zebrać 100 tys. podpisów i został zarejestrowanym kandydatem, jest szokujące.

– I niezrozumiałe. Swoją wyrazistą elektorat ma Braun, to ja rozumiem. Natomiast nikt nie wie, kto to jest Maciak. Nagle zebrać 100 tys. „z palca” nie jest łatwo, więc podejrzewam manipulację.

Może media w sprawie Nawrockiego, Mentzena czy Brauna nie odrobiły lekcji? Nie pokazały tych kandydatów w całej krasie?



Na tym polega siła i słabość demokracji, że do pewnego stopnia jest tolerancyjna dla swych wrogów. Tym się różni od systemów niedemokratycznych, bo tam Braun już dawno dostałby po mordzie albo siedział w więzieniu

– Nie mam takiego wrażenia. Pracuję w gazecie, która ujawniła wiele faktów na ich temat. Co możemy zrobić więcej? Widziałem demaskatorski program o Nawrockim w TVN. Media są absolutnie w porządku, jak w przyzwoitym, demokratycznym państwie.

Wyborcom Koalicji 15 Października wydaje się, że nie możemy mieć gorszego prezydenta niż Andrzej Duda.

– Niestety, może być ktoś jeszcze gorszy.

Jak oceniasz te 10 lat prezydentury?

– Bardzo krytycznie. Łamanie konstytucji, kłamstwa, niezdolność do pełnienia urzędu prezydenta, który ma moderować relacje w kraju i być arbitrem. Jedno, czego się nauczył, to przemawiać. Wprawdzie to, co ma do powiedzenia, jest dość żalosne, ale chociaż opanował samą formę występów publicznych, przynajmniej tych w języku polskim. Na plus zapiszę mu to, że był proamerykański i proukraiński.

Czy Nawrocki może być samodzielnym politykiem?

– Nie będzie samodzielny. Został kandydatem z woli Jarosława Kaczyńskiego. Z kim on się zwiąże po Kaczyńskim i czy się usamodzielni, to nie wiem. Duda się nie usamodzielił. Ale oni są różni: Nawrocki to typ macho, bokser, miał kontakty z bandytami, fascynuje się „Nikosiem”, a Duda to raczej grzeczny maminsynek.

Myślisz, że wokół Nawrockiego może w przyszłości powstać partia jeszcze bardziej nacjonalistyczna niż te, które są?

– Oczywiście, Kaczyński pewnych granic nie przekroczył, nigdy nie sformułował projektu Polski skrajnie nacjonalistycznej, która wychodzi z UE. Nie sięgał po zatrutą broń antysemityzmu, Duda zresztą też nie. Natomiast łatwo sobie mogą wyobrazić, że Nawrocki, gdy zabraknie kurateli Kaczyńskiego, te granice przekroczy. Wystarczy popatrzeć na znajomych Nawrockiego zafascynowanych nazizmem. Jarek ma już swoje lata, a ja w PiS nie widzę nikogo innego, kto by miał jakiegokolwiek skrupuły. Kaczyński nie ma ich wiele, ale jakieś ma. Jego droga życiowa jest inna niż niektórych nacjonalistów. Jest cyniczny, kłamie, to wszystko prawda, ale pewnych granic nie przekracza.

Gdy skrajna prawica spod znaku narodowców chciała organizować demonstrację pod ambasadą Izraela, żeby protestować: „Nie oddamy polskiej ziemi Żydom” itp., Kaczyński powiedział, że jeśli tego nie odwołają, to policja ich spali.

To było w 2018 roku, chodziło o słynną nowelizację ustawy o IPN, która pozwala na ściganie każdego, kto wypowiadałby się źle o Polakach w kontekście antysemityzmu. Wojewoda z PiS wydał wtedy zakaz poruszania się w pobliżu ambasady.

– Dziś mamy swego rodzaju paradoks, przyszły smutne czasy dla antysemitów takich jak Braun, bo prezydent USA Donald Trump zakochał się w Izra-

elu i premierze Benjaminie Netanjahu. Oskarża najbardziej prestiżowe uniwersytety amerykańskie – Harvard, Columbię – o antysemityzm. Świat stał więc na głowie, Trump przejął wojnę z antysemityzmem, co dla radykalnej prawicy w Polsce nie jest wygodne.

Twoim zdaniem czerwona linia dotycząca stosunku do Ukrainy, Putina i naszego bezpieczeństwa została przez niektórych polskich polityków przekroczona w imię interesów politycznych?

– Oczywiście, że tak. Przekraczali ją już niejednokrotnie. Najbardziej bulwersujące jest jednak to, że ten konsensus załamał się nie tylko w Polsce, ale także w całym świecie zachodnim. Trump mówi konfrontacyjnym językiem Putina albo uderza w sojuszników i podejmuje decyzje, których najmądrzejsi Amerykanie nie rozumieją, jak te o cłach. Trzeba sobie postawić pytanie, co się w Ameryce dzieje. Ja to nazywam putinizacją Stanów Zjednoczonych.

Polityka zagraniczna i w Stanach, i w Rosji stała się funkcją polityki wewnętrznej. Żeby pacyfikować amerykańską demokrację, Trump potrzebuje niezależnego wroga. I wymyślił, że będzie nim Unia. W tej materii blisko mu do Putina, bo podobnie rozumuje. Putin ma też imperialne cele, ale pierwszą ofiarą polityki Putina jest Rosja, i powiedział o tym słusznie Radosław Sikorski w Sejmie.

Rosja ma olbrzymi teren, którym nie potrafi zarządzać w interesie obywateli. Ma do zagospodarowania tak wiele rzeczy, że wojna o zniszczony Donbas do niczego nie jest jej potrzebna. Putin wywołał ją po to, by terroryzować własne społeczeństwo. Pierwszą ofiarą tej agresji była rosyjska demokracja. Putin przestraszył się arabskiej wiosny, że może stracić władzę, a potem ktoś będzie go rozliczał z przestępstw i korupcji. Jedyne ratunkiem dla niego ma być zniszczenie demokracji. Kierunek na wojnę obrał, jeszcze zanim zobaczył na wielkich demonstracjach w Moskwie i Petersburgu wielkie hasła: „Rosja bez Putina”. Tak mi tłumaczą moi rosyjscy koledzy i mnie to przekonuje. Putin właśnie dlatego zmienia Rosję z państwa autorytarnego w totalitarne. W tym sensie polityka zagraniczna jest rezultatem wewnętrznej sytuacji.

To samo widać w Stanach, oczywiście przy zachowaniu pewnych proporcji i dostrzeganiu różnic. Ale pewne elementy są wspólne – zaburzenie równowagi, uderzenie w sojuszników. Przed wyborami amerykańskimi postawiłem tezę, że jeżeli Trump wygra, to konsekwencje dla równowagi świa-

• **Rafał Trzaskowski i Karol Nawrocki w czasie debaty prezydenckiej zorganizowanej przez „Super Express”. 28 kwietnia br. wzięła w niej udział cała trzynastka kandydatów ubiegających się o najwyższy urząd w państwie.**

FOT. WOJCIECH STROŻYK/REPORTER

towej mogą być takie jak zwycięstwo Hitle-
ra w 1933 r.

Tu chyba przesadziłeś?

– Nie, bo nie mówię o konflikcie zbroj-
nym wywołanym przez USA, tylko o tym,
że wszystko się przewróci do góry noga-
mi i właśnie się przewraca. Oczywiście
jeszcze nie do końca, bo Trump napotyka
opór. Ale nie wiemy, co on wymyśli jutro
czy pojutrze. W każdym razie to stawia no-
we pytania przed ludźmi z PiS. Wychwala-
nie przez Dudę czy Nawrockiego Antonie-
go Macierewicza z punktu widzenia tego,
co tu mówimy, jest bez znaczenia, to jedy-
nie zabawa krasnoludków w brzuchu wie-
loryba.

Co rzeczywiście jest warte namysłu,
również w kontekście wyborów prezyden-
cnych, to sytuacja, w jakiej się znajdziemy, je-
śli zwycięży kandydat niedemokratyczny.
To będzie skutkować permanentną przepy-
chaną na szczytach władzy, a wtedy żad-
nej racjonalnej polityki nie da się prowa-
dzić.

Natomiast zwycięstwo opcji demokra-
tycznej daje szansę, by współtworzyć pod-
miotową Europę. To się nie stanie z dnia na
dzień, będzie to trudny proces, bo Europa
przyzwyczaiła się do amerykańskiego para-
sola. Myślała tylko o tym, żeby ludziom ży-
ło się lepiej, i słusznie. Ale układ na świecie
zmienił się radykalnie. Czuję ogromny nie-
pokój, że w czasach destabilizacji, zagroże-
nia dla jedności wspólnoty euroatlantyckiej
Polacy mogą oddać część swoich losów
w ręce ludzi – użyję słowa nieco staromod-
nego – niegodnych.

Boisz się, że Putin ogra Trumpa?

– Nie to, że się boję, ja jestem tego pewien.
Putin, dobrze wyszkolony KGB-ista, wie,
jak z takimi narcyzami, megalomanami jak
Trump postępować. Sprawnie go rozgry-
wa. Po zamachu opowiada, że się za nie-
go modlił w cerkwi. Ale pobożny się ten
Putin zrobił. Kazał nawet namalować por-
tret Trumpa. Nic, tylko uronić łzę ze wzru-
szenia.

Trump to człowiek niestabilny, wyłą-
cznie reaktywny, jest pod wpływem ostatnie-
go rozmówcy, sam żadnego pomysłu na nic
nie ma. Co chwila zmienia agendę, niczego
nie kończąc (może na szczęście): a to Iran,
a to Gaza, a to Panama, a to Grenlandia,
a to Ukraina, Władimir – jesteś OK, Władi-
mir – niepotrzebnie zbombardowałeś. Te
zwroty następują jeden po drugim.

Ale wokół niego są oczywiście różni lu-
dzie. Przypominam sobie, co mi przed la-
ty mówił Zbigniew Brzeziński: duża część
skrajnej prawicy amerykańskiej jest zinfil-
trowana przez rosyjskie służby.

A jak oceniasz tę wielką uwagę Trumpa dla Netanjahu?

– Oni są do siebie podobni. Netanjahu puti-
nizuje Izrael. Chce unieważnić sąd najwyż-
szy. To państwo oczywiście często prowa-
dziło złą politykę, ale było demokratyczne.
Netanjahu chce zlikwidować demokrację
izraelską. On musi prowadzić wojnę w Ga-
zie, bo jeżeli ją skończy, to może pójść do
kryminału za korupcję.

**Prowadzi wojnę, bo uważa, że byt Izraela
jest zagrożony, i musi ostatecznie
pokonać wrogów. Twierdzi, że unice-
stwienie Hamasu da bezpieczeństwo
Izraelowi. Tylko siła się liczy.**
– Wyciąć ich wszystkich, tak? Dziękuję za
takie myślenie, wielu Izraelczyków przera-
ża ta polityka.

Nawrockiemu pomoże to, że sfotografował się z Trumpem?

– Niektórym wyborcom PiS to się spodoba,
ale Polacy są raczej zaniepokojeni tym, co
robi amerykański prezydent, więc nie są-
dzą, aby to miało znaczenie.

**Wyborca PiS może być rozdarty. Nie lubi
Rosji ani Niemców, czasami Unii, a sły-
szy, jak ludzie Trumpa wychwalają Puti-
na i Orbána, który też kocha prezydenta**

**Rosji. Zwalczanie UE, nieprzyjazna
retoryka wobec Ukraińców, którą
Nawrocki również uprawia, to realizacja
agendy Kremla.**

– Rosyjskie służby specjalne są bardzo pro-
fesjonalne i doskonale orientują się w pol-
skiej polityce. W otoczenie antyunijnych
polityków wysyłają ludzi, których inspi-
rują albo którzy są z nimi powiązani. Pa-
miętam, jak w 1981 r. Marian Jurczyk, li-
der „Solidarności” w Szczecinie, nagle wy-
stąpił z falą antysemitycznych wypowiedzi, to-
talnie kretyńskich: że światem rządzi Ży-
dzi, że w politbiurze też są sami Żydzi, któ-
rzy jedynie pozmieniali nazwiska. Zainte-
resowałem się, co się takiego wydarzyło, bo
wcześniej takich głupot nie opowiadał. I się
okazało, że zaczął mu doradzać pewien ad-
wokat, który był agentem bezpieki. Miał
tak Jurczyka formatować, żeby rozbić jed-
ność opozycji demokratycznej. A ponieważ
pewna część sfrustrowanego społeczeń-
stwa chciała prostych odpowiedzi – wła-
śnie tego typu, że winni są Żydzi – to dosta-
wał oklaski.

Kaczyński nigdy nie sformułował
projektu Polski skrajnie
nacjonalistycznej, która wychodzi
z Unii. Nie sięgał po zatrutą broń
antysemityzmu, Duda zresztą też
nie. Natomiast łatwo sobie mogę
wyobrazić, że Nawrocki, gdy
zabraknie kurateli Kaczyńskiego,
te granice przekroczy

Nie będę więc zdziwiony, jeżeli za ja-
kiś czas zorientujemy się, że w tych skraj-
nie prawicowych kręgach jest sporo ludzi,
którzy są inspirowani z Białorusi czy Mo-
skwy. Dziś tego nie wiem i nikogo nie od-
ważyłbym się oskarżyć, wiem natomiast,
że oni nie będą wprost deklarowali pro-
rosyjskości, bo są na to za sprytni. Będą
szczuli na Ukrainę i Ukraińców. Podsyc-
anie sprawy zbrodni na Wołyniu ma rów-
nież ten cel. Przecież nikt nie mówi, że
tam się nie stało nic złego. Tylko trzeba to
widzieć w tym kontekście, że jedni obywa-
tele polscy zamordowali innych obywateli
polskich. To był Wołyń, a nie Kijów, gdzie
była Ukraina. Wołyń to była wtedy Rzecz-
pospolita.

**Leszek Miller, który nie ma nic wspólnego
z populistyczną prawicą, patrzy na to
inaczej. Ukraińcy mordowali Polaków
i dziś nie chcą stanąć w prawdzie.**

– Nie każ mi się tłumaczyć za słowa Mille-
ra, którego też nie rozumiem. To oczywi-
ste, że są środowiska, które ze względów
rodziny podnoszą ten problem, bo eks-
humacje i pochówki są dla nich ważne. Ale
nagle sprawę Wołynia podchwycili ludzie,
którzy nigdy się nim nie zajmowali. Co się
stało, że ten temat stał się dla nich pierw-
szorzędny? Olśniło ich nagle?

**Podsycanie tych nastrojów to też rosyj-
ska robota?**

– Z całą pewnością. Wszystkie portale legity-
mizowane przez Moskwę walą antyukraiń-

ską propagandę bez przerwy. Putin bezczel-
nie mówi, że w Kijowie rządzi neonazistow-
ski reżim. Na miłość boską, brakuje słów!

**Ukraina wysłała właśnie przyjazny
sygnał, rozpoczęły się ekshumacje ofiar
rzezi wołyńskiej.**

– To nic nie zmienia, zabieganie o ekshuma-
cje to był tylko pretekst do ataków. Oczywi-
ście dla wielu ludzi to była sprawa osobi-
sta, ale to nie oni podsycali atmosferę wo-
kół Wołynia, ton narzucała propaganda
moskiewska. Wiedział to prezydent Lech
Kaczyński. Nad Wołyniem zawisła retory-
ka endecko-bolszewicka, język narodowo-
-komunistycznego stowarzyszenia Grun-
wald, trochę jest w tym PAX-u, trochę mo-
czarowców oraz stary endecki duch Roma-
na Dmowskiego.

**Cokolwiek by mówić, rząd PiS pomagał
Ukrainie, wysyłał sprzęt i dał Ukraini-
com w Polsce pewne przywileje. Jednak
po trzech latach nastroje zaczynają się
zmieniać, są bardziej antyukraińskie.**

wali, że NSDAP stało się największą par-
tią w Niemczech. Te powody warto było
badać, zastanawiać się, jakie politycy an-
tyhitlerowscy popełnili błędy. Niemniej
zwycięstwo NSDAP sprowadziło katastro-
fę na świat i Niemcy. Nie chodzi mi o po-
równywanie kogokolwiek do nazistów, tyl-
ko zwrócenie uwagi, że dojście do władzy
tendencji autorytarnych, a wręcz totalitar-
nych, ma jakieś podłoże, także w błędach
elit. To wymaga od nas najwyższej uwagi.

Mam przekonanie, że po '89 na świe-
cie nie było tak niebezpiecznie jak teraz.
Dla mnie oddawanie głosu na kandyda-
ta obozu antydemokratycznego to niszcze-
nie polskiej podmiotowości – i wewnątrz,
i na zewnątrz. Także w tym sensie zwycię-
stwo kandydata antydemokratycznego mo-
że spowodować w Polsce chaos, a w konse-
kwencji otworzyć bramy do katastrofy.

**Jaka powinna być odpowiedź polityków
demokratycznych na dzisiejsze zagro-
żenia?**

– Szansą dla Polski są dobre stosunki
z Unią, z sąsiadami, budowanie wspólnej
siły militarnej, która zniechęci Putina do te-
stowania art. 5 traktatu NATO. A także roz-
sądna polityka gospodarcza i, co ważne,
społeczna, przy jednoczesnym wygaszaniu
konfliktów wewnętrznych. Jestem rad, że
ani Trzaskowski, ani Hołownia nie mówią
językiem konfrontacji z Kościołem, nawet
Magdalena Biejat nie stosuje retoryki agre-
sywnie antykatolickiej. To cieszy, a tego się
bałem. Moim zdaniem Polska stoi przed
szansą, którą sobie sama wytworzyła, pro-
blem w tym, żeby jej nie zmarnowała.

**Istnieje jednak silna obawa, że dla Za-
chodu – Francji czy Niemiec – groźba ze
strony Rosji jest w gruncie rzeczy dosyć
teoretyczna. W Polsce jednak wciąż po-
kutuje lęk, który ma korzenie w historii
– że tak jak w 1939 r. zostaniemy sami.**
– Coś w tym oczywiście jest. Niemniej, jeże-
li nie chcemy zostać sami, powinniśmy tym
bardziej wchodzić w struktury europejskie.
Albo-albo. Nie postępujemy tak, żebyśmy
sami skazali się na osamotnienie. Pod tym
względem cała strategia PiS i Konfederacji
z punktu widzenia polskiego interesu naro-
dowego wydaje się samobójcza.

**Jaki byłby sens w atakowaniu Unii,
gdyby na końcu nie było planu jej opusz-
czenia?**

– PiS zakłada przemodelowanie Unii we-
dle życzeń Marine Le Pen, Alternatywy dla
Niemiec i partii brexitu. Chcą ją zbudować
wokół środowisk skrajnie prawicowych,
zrezygnować z wartości oświeceniowych,
oprzeć na nacjonalizmie. Problem w tym,
że nacjonalizm zakłada ostrą rywalizację,
wzajemne zwalczanie się państw, co z za-
łożenia niszczy wspólnotę, fundamenty
UE, które polegają na rozwiązywaniu spo-
rów w drodze negocjacji, więc ta koncepcja
oznacza w praktyce koniec Unii.

**Zmienia się ona pod wpływem tego
dyskursu, zaostzona polityka imigra-
cyjna, którą krytykuje wiele organizacji
zajmujących się prawami człowieka.
Odejście od polityki klimatycznej jako
zbyt restrykcyjnej.**

– Trzeba wsłuchiwać się w głos obywateli.
Jeżeli jakaś polityka nie znajduje akceptacji
w społeczeństwach, to władze Unii muszą
się cofnąć, na tym polega demokracja. Słu-
chałem ministrowi z Lewicy Agnieszki Dzie-
mianowicz-Bąk, która mówiła o czterodnio-
wym tygodniu pracy. Przetożnie mówiła,
że nie można robić nic na siłę, bo to nie da
rezultatów. Błędem Donalda Tuska nie by-
ło to, że zaproponował niegdyś wydłużenie
wieku emerytalnego, tylko to, że próbował
to przeprowadzić w zły sposób. Ludzie po-
czuli się zagrożeni, oszukani, nie rozumieli
tej reformy – i to był jeden z elementów, któ-
ry dał paliwo pisowskiej propagandzie.

Istnieje coś takiego jak konserwatyzm
społeczny, który występuje wszędzie.
Przecież większe niż my problemy ze zmia-
nami polityki socjalnej ma Francja. Przy-

kładem bunt żółtych kamizelek. Oczywiście to jest zbrojeckie prawo opozycji, żeby frustrację wykorzystywać. Krzysztof Pomian miał niedawno wykład w Krakowie. Próbu-
jąc zrozumieć proces, który się dziś dokonu-
je, cofnął się do rewolucji w Iranie: to była
pierwsza rewolucja konserwatywna, która
na sztandarach miała nie jakiś nowy ład, tyl-
ko powrót do starego.

W rezultacie jej przesłanie stało się za-
przeczeniem zmiany dostosowanej do
współczesności. Rewolucja dokonywa-
ła się nie w imię przyszłości, ale przeszło-
ści. I coś takiego się w tej chwili dzieje my-
słowo w wielu krajach, np. w USA za spra-
wą Trumpa.

PiS i Konfederacja to nadal silne partie, które intensywnie atakują UE. Twierdzą, że zmierza do jeszcze większej centralizacji, z jeszcze większą władzą Francji i Niemiec. Można skwitować to słowami, że opowiadają głupstwa i definiują zagrożenia nie tam, gdzie są, ale duża część społeczeństwa ich retorykę przyjmuje. Czy demokraci mają na to dobrą odpowiedź?

– Trudno o lepszą odpowiedź niż ta, któ-
rą dają właśnie Tusk, Trzaskowski, Sikor-
ski czy Adam Bodnar. Rzadko składam tak
jednoznaczne deklaracje, ale to powiem: je-
stem bardzo dumny z obecnego rządu, dla-
tego że we wszystkich sprawach kluczo-
wych i aksjologicznych zachowuje się bar-
dzo dobrze. Sikorski w ONZ był świetny.
Potrafi zaatakować, nie tracąc stylu dżen-
telmena po Oksfordzie. Jego przemówienie
w Sejmie o polityce zagranicznej było bar-
dzo trafne.

Ale rząd krytykuje nie tylko prawica, ale też lewica, m.in. za politykę na granicy polsko-białoruskiej, zawieszenie prawa do azylu.
– Na razie do niczego strasznego tam nie
doszło. Na granicy zmieniła się po pro-
stu sytuacja, szczególnie po agresji Rosji
na Ukrainę. Prawo do azylu zostało wymy-
ślone dla ludzi, którzy uciekali od dykta-
tur, a nie dla ludzi, którzy za pieniądze pań-
stwa, które rozpętało wojnę, szturmują pol-
ską granicę.

**Za czasów rządu PiS Władysław Frasyniuk nazywał Straż Graniczną „śmieciami”, choć niewątpliwie już wte-
dy na granicy trwała wojna hybrydowa.**
– Ale Tusk tak nigdy nie mówił. Więcej, sta-
nął wtedy po stronie Straży Granicznej i tłumaczył, że trzeba chronić polską gra-
nicę. Władek nie powinien tak mówić, ale
ma temperament, jaki ma. To wspania-
ły człowiek, odważny, szlachetny, mądry,
zasłużony w piętnowaniu PiS, ale czasem
zbyt spontaniczny.

A nie oburza cię, że aktywiści, którzy znaleźli w lesie imigrantów, zabrali ich

Giertych jest przesiąknięty duchem Talmudu: oko za oko.

Trzeba zachować maksymalną ostrożność, trzymać się procedur. Giertycha po swojemu lubię, bo cenię nawróconych faszystów i komunistów

do samochodu, nakarmili i ubrali, mają za to sprawę karną?

– Służby muszą wykonywać swoje zadania
zgodnie z przepisami. A wyroku na akty-
wistów jeszcze nie ma, jeśli zostaną skaza-
ni, trzeba będzie protestować i ich bronić.
Wierzę, że zostaną niewinnieni. O tym nie
decyduje ani premier, ani minister spra-
wiedliwości, minister spraw zagranicznych
czy prezydent.

**To jednak nadzorowana przez rząd prokuratura zdecydowała, że akt oskar-
żenia trafił do sądu. Nie masz poczucia, że Tusk przyjmuje retorykę PiS w wielu
sprawach – migrantów, polityki klima-
tycznej, repolonizacji gospodarki?**

– Coś w tym jest, ale w sprawie migrantów
Tusk zawsze był ostrożny i trzeba pamię-
tać, że już podczas pierwszych swoich rzą-
dów zmienił front w sprawie prywatyza-
cji i nie był entuzjastą opinii, że kapitał nie
ma narodowości.

Faktem jest, że PZU wróciło wtedy do skarbu państwa.

– Oczywiście. Tusk inaczej rozkłada akcen-
ty, ale ja to kładę na karb kampanii wybor-
czej. On chce uniemożliwić PiS-owi strzela-
nie tymi nabojami. Dlatego też na przykład
ogłosił doktrynę piastowską z okazji tysięc-
lecia koronacji Bolesława Chrobrego, prze-
ciwko której ja nic nie mam, no ale na mi-
ły Bóg...

**Chrobry ci się nie podoba? To odpo-
wiedz na aspiracje i emocje Polaków, którzy szukają opowieści o dumie z wła-
snego państwa.**

– Zachwycony jestem Chrobrym, tylko że
on nie ma nic do obecnych wyborów. Na-
tomiasz PiS chciałby Chrobrego zapisać
w swoje szeregi, co mu Tusk właśnie unie-
możliwił. To zręczny manewr, który z isto-
tą projektu Tuska i tego rządu na Polskę

nie ma jednak nic wspólnego, w każdym
razie nie obciąża go. Tak samo jak patrio-
tyzm gospodarczy, który może znaczyć coś
złowrogiego, ale może też oznaczać więcej
życzliwości dla polskiego biznesu.

W koalicji rządzącej są silne tarcia.
– To są różne środowiska, a i tak jest lepiej,
niż można się było spodziewać.

**Zarzut formułowany pod adresem rządu jest taki, że owszem, próbuje uporząd-
kować bałagan po PiS, ale sam też często
działa na granicy prawa.**
– Na przykład?

**Zmiany w TVP, w prokuraturze, a ostat-
nio odwołanie PiS-owskich sędziowskich
rzeczników dyscyplinarnych przez mini-
stra Adama Bodnara, choć ich kadencja
formalnie się nie skończyła. Dostaję
dużo sygnałów, że to ryzykowne kroki.**
– To masz mój sygnał: ja jestem zachwyco-
ny, że ich wreszcie wyrzucono. Choć może
Bodnar mógł to zrobić trochę wcześniej.
Faceci, którzy na polecenie partii rządzą-
cej specjalizowali się w niszczeniu nieza-
wisłych sędziów, nie mogli zostać na sta-
nowiskach. PiS zabetonował państwo,
aby się chronić przed odpowiedzialno-
ścią oraz zachować wpływy. To samo zro-
bili też w TVP, w prokuraturze i w sądach.
Rozbijanie tego betonu jest trudne, wiąże
się z ryzykiem, ale jest niezbędne. Chwała
Bodnarowi, że próbuje to uporządkować.
A jeśli wybory wygra Nawrocki, gigantycz-
ny chaos w wymiarze sprawiedliwości bę-
dzie trwał nadal. Rozbijanie państwa od
środką będzie trwało.

**Tylko że Bodnar, który próbuje wymiar
sprawiedliwości uporządkować, natrafił
na opór w TSUE czy Komisji Weneckiej,
a na autorytet tych instytucji zawsze
się powoływaliśmy.**

– Dlatego postępuje ostrożnie. Powoli roz-
minowuje terytorium, na którym PiS umie-
ściło masę min. Też chciałbym, żeby ro-
bił to szybciej, ale poczekam, mam do nie-
go zaufanie.

Roman Giertych krytykuje Bodnara, mówi, że rozliczanie idzie zbyt wolno, że prokuratura jest zachowawcza.

– Ale to Bodnar ma rację! Giertych jest po
prostu przesiąknięty duchem Talmudu:
oko za oko. Trzeba zachować maksymal-
ną ostrożność, trzymać się procedur. Gier-
tycha po swojemu lubię, bo cenię nawróco-
nych faszystów i komunistów.

I te połajanki Bodnara mu wybaczyłem
po tym, gdy w Sejmie powiedział do Jarka:
„Mów mi wuju”. Trochę mi było nawet żal
Kaczyńskiego, że został tak ośmieszony, ale
sam się o to prosił. Giertych genialnie go
rozegrał, odpowiadając ironią na agresję.

**W ramach jednej koalicji Szymon
Hołownia najbardziej krytykuje
Rafała Trzaskowskiego.**

– Ale to jest ostrożna kontra, nie atakował-
bym za to Hołowni. W bańce demokratycz-
nej jest tak, że gdy się odchylasz o pół mi-
limetra, to od razu jesteś zdrajcą. Dosta-
ję listy od czytelników czy znajomych: „Ten
Hołownia straszny, on zwariował, jak on
może?”. Nie zgadzam się. On gra o swo-
ją przyszłość w polityce, jest dobrym sho-
wmanem i wykorzystuje swoje atuty. Ho-
łownia i Władysław Kosiniak-Kamysz są
bardzo potrzebni w tej koalicji, przyciąga-
ją do niej ludzi, którzy niekoniecznie chcą
głosować na partię Tuska. I Lewica jest po-
trzebna. Ale różnice zdań istnieją, to nor-
malne.

**Rząd Tuska ma jednak coraz słabsze
notowania w sondażach.**

– Na tym polega cecha rządów demokra-
tycznych, zwłaszcza koalicyjnych, że za-
wsze mają słabe notowania i w tym sensie
można powiedzieć, że są szansą na sukces
dla przeciwników demokracji. Ale to, co ci
przeciwnicy proponują, jest o wiele gorsze
i bardzo niebezpieczne.

**Masz jakieś zastrzeżenia wobec obecnej
koalicji rządzącej?**

– Mam wiele, ale nie chcę o tym mówić,
bo nie ma nic prostszego, niż oceniać lu-
dzi, którzy wzięli na siebie wielką odpowie-
dzialność i którzy pewne rzeczy już zreali-
zowali, a inne realizują. Wiem, że ten pro-
ces jest bardzo trudny, a ta ekipa napoty-
ka wiele przeszkód. Musi na przykład wy-
myślić, co zrobić ze spółkami skarbu pań-
stwa, żeby nie było tam nepotyzmu ani ko-
lesiostwa, a przecież nie da się tego zała-
twić z dnia na dzień. Przeprowadzanie re-
form jest trudne również dlatego, że bloku-
je je Andrzej Duda. PiS Polskę strasznie za-
bagnił i zmiana tego stanu rzeczy musi po-
trwać. ●

JUŹ W ŚRODĘ W WYBORCZEJ DODATEK SPECJALNY:

Wyborcza na wybory

- Co kandydaci na prezydenta sądzą o armii, bezpieczeństwie i polityce zdrowotnej?
- Kto lepiej rozegrał kampanię i co mówią nam sondaże na ostatniej prostej?



NAPRAWIANIE PRZEZ HALSOWANIE

Ewa Łętowska:

Odbudowa konstytucyjnych instytucji jest możliwa, ale łatwo nie będzie.



FOT. SŁAWOMIR KAMINSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

Z **PROF. EWĄ ŁĘTOWSKĄ**, SĘDZIĄ TRYBUNAŁU KONSTYTUCYJNEGO W STANIE SPOCZYNKU, BYŁĄ RZECZNIK PRAW OBYWATELSKICH ROZMAWIA **KRZYSZTOF SOBCZAK**

Czy miało sens uchwalanie ustawy o Trybunale Konstytucyjnym, skoro było wiadomo, że prezydent jej nie podpisze, a potem Komisja Wenecka oceniła, że nie tędy droga, kwestionując między innymi zamiar ustawowego usunięcia wszystkich sędziów?

– Od początku, gdy po wyborach w 2023 roku podjęto działania na rzecz przywracania praworządności, byłam zdania, że strategia porządkowania sytuacji w różnych instytucjach, zdewastowanych przez poprzednią władzę, krok po kroku, ma sens. Zwłaszcza że – również od początku – było jasne, że będą problemy z wykorzystaniem, wydawałoby się, najprostszej ścieżki – legislacyjnych zmian. Poza tym sam koalicyjny charakter rządów wymuszał spowalniające kompromisy.

Sytuacja jest przy tym dynamiczna: nie jest tak, że przebiegniemy ten dystans

w jednym tempie i do tego szybko. Przywracanie konstytucyjnego ładu w tych warunkach to jest raczej halsowanie, przyspieszanie w pewnych sprawach, ale też konieczność zatrzymania się i namysłu w innych. Do tego każda decyzja wywiera wpływ na dalsze, które są na niej budowane. Gdy w danym czasie podejmuje się decyzję, powinna ona być możliwie najlepsza z punktu widzenia aksjologicznego planu przywracania praworządności, ale ze świadomością, że w każdym momencie mogą pojawić się okoliczności zmuszające do korekt.

Uważałam, że nawet mając trudną kohabitację, należy przygotowywać ustawy naprawcze, nawet gdyby prezydent miał ich nie podpisać, by demonstrować swoje ostateczne zamiary. Ale od razu zastrzeżenie: przecież te działania „kropelkami” same w sobie mogą być źle przygotowane albo niemrawo przeprowadzane, już nie wspominając o ich przedstawieniu publiczności. Wracając do pytania: krytycyzm Komisji Weneckiej w tym wypadku wedle mnie wcale nie dotyczy samej strategii, tylko jej konkretnej realizacji. Chodzi o zarzut zbyt-niej schematyzacji działań wobec Trybunału.

Pojawienie się opinii Komisji Weneckiej w sprawie ustawy o Trybunale Konstytucyjnym jest okolicznością zmuszającą do korekty planu?

– Gdy ta ustawa była przygotowywana, na podstawie społecznego projektu opracowanego w Fundacji Batorego i potem podlegającego różnym konsultacjom, wydawało się, że to zamierzenie może być zaakceptowane. Wątpliwości pojawiły się, gdy Komisja Wenecka zaczęła sprawdzać nasze projekty dotyczące Krajowej Rady Sądownictwa i sądów powszechnych, w których pojawia się problem statusu tzw. neosędziów. A potem opublikowana została kolejna opinia dotycząca Trybunału. No i z tego wyłania się pewna myśl i strategia, która może nie podobać się ludziom oczekującym szybkiego i radykalnego załatwienia sprawy, że zaczynamy wszystko od początku, budujemy nowe instytucje na suchej glebie, z której najpierw uprzątniemy gruz instytucji całkowicie zdewastowanych.

Z opinii wyłania się koncepcja bardziej umiarkowana, która w naszych dyskusjach też się przecież pojawiała. Opinia ekspozuje konieczność ochrony kadencyjności sędziów wybranych lege artis (nie-dublerów). Warto pamiętać, jak Małgorzatę Gersdorf najpierw usunięto z Sądu Najwyższe-

go, a potem przywrócono. Tam także legislacyjnym zabiegiem zakończono kadencję. Wtedy chodziło o wiek przechodzenia w stan spoczynku, ale to ten sam problem: poszanowania przez ustawy konstytucyjnej zasady nieodwoływalności sędziów. Komisja nam to teraz przypomniała. Oczywiście, ustawy skracające kadencję mogą być same niekonstytucyjne, a z kolei może chodzić o tzw. sędziów ustawowych, niechronionych konstytucyjnymi gwarancjami. Ale to trzeba byłoby wyraźnie wyartykułować.

Komisja przyznaje, że z Trybunałem Konstytucyjnym trzeba coś zrobić, ale przestrzega przed jednoznacznymi posunięciami?

– U nas mamy tendencję do ocen zero-jedynkowych. Że coś jest albo dobre, albo tak złe, że jedynym wyjściem jest uznanie tego czegoś za nieistniejące i to z mocą wsteczną, od samego początku. Jako cywilistka wiem, że w prawie wadliwość czegoś: czynności prawnej, procedury, powołania organu, może mieć różne postaci, a skutki są wówczas zróżnicowane: ex tunc, ex nunc, deklaratywne, konstytutywne itd. Może też tak być, że unieważniamy jakiś akt, ale skutki pozostawiamy: w imię

trwałości systemu, poszanowania praw innych ludzi itd. Doprowadzenie do sanacji instytucji może odbywać się różnorako. I temu właśnie podejściu hołduje Komisja Wenecka. I nie mówi nam, jak ma być, co czy jak mamy zrobić, tylko wskazuje, jakie mamy punkty graniczne standardu wyznaczonego przez Komisję i jak można różnicować wybór. Za punktami granicznymi leży to, co niedopuszczalne.

I powiedziała: kadencje dwunastu sędziów powołanych zgodnie z konstytucyjną procedurą należy uszanować. – Powiedziała jeszcze coś znacznie ważniejszego. Że nie można dopuścić do sytuacji, żeby powołanie sądu konstytucyjnego oznaczało ustanowienie całego składu przez jedną większość parlamentarną, wskazując na korzyści wynikające z pluralistycznego jego składu. Mnie też bliska była taka koncepcja, by nie wygaszać jednocześnie wszystkich stanowisk, tylko sukcesywnie powoływać nowych sędziów na zwalnijące się miejsca. Mamy teraz trzy wakaty, rychło będzie sześć.

Uwzględnia Pani w tym dublerów? – Jeden dubler już zakończył kadencję, kolejny skończy we wrześniu przyszłego roku, a trzeci z końcem 2026 roku. Powstaje pula miejsc zwolnionych w Trybunale – można ją w dowolnym momencie zapełnić. Ale nie będzie dobrze, na co też zwraca uwagę Komisja Wenecka, gdybyśmy dalej czekali, niejako w przewidywaniu, że wyboru dokona jedna opcja. Ja tylko przypomnę, że w początkach istnienia Trybunału jednak bardziej dbano o reprezentatywność składu.

Tam teraz jest tylko jedna opcja, więc sukcesywne jej równoważenie nie będzie jeszcze groźne. – To prawda, ale w kolejnych etapach tak może być. Szczególnie że co najmniej dwa lub trzy miejsca mogą zostać opróżnione na skutek działań dyscyplinarnych, co może oznaczać przekroczenie połowy składu przez nowych sędziów.

Na jakiej podstawie? Czy te sugestie, że Stanisława Piotrowicza i Krystynę Pawłowicz można odwołać, bo nie spełniali warunków do powołania, mogą mieć zastosowanie? – Jeżeli zarzutem miałoby być, że mają przeszłość jako posłowie, to przecież w przeszłości też powoływano byłych parlamentarzystów i jednak nic się nie działo. Ale można im postawić zarzuty, że nie wyłączali się ze składów, gdy oceniane były ustawy, w których przygotowaniu brali udział i to aktywny. To poważne przewinienie. Można też zastanawiać się nad zarzutami związanymi z tym, co mówią publicznie lub jak piszą w mediach społecznościowych. Jest dość dużo możliwości na tej drodze.

Gdyby to rzeczywiście doprowadziło do wymiany około połowy składu, to już na coś można by było liczyć w Trybunale. – To jest myślenie już kategoriami, przed którymi opinia Komisji Weneckiej przestrzega.

Ale przy całej wciąż niedoskonałości tego stanu skończyłaby się era przewidywalnych wyroków, wydawanych na zamówienie partii, kiedyś rządzącej, dziś opozycyjnej. – To rzeczywiście byłby postęp. Ale trzeba dbać, aby mieściło się to w ramach zakreślanych przez Komisję Wenecką.

Ale o tej ustawie uchwalonej w październiku 2024 roku trzeba zapomnieć? – Ona była przejawem jakiejś strategii zmian, którą – jak widać – trzeba modyfikować. Już wiemy, że koncepcja „zaorania” Trybunału i budowania wszystkiego od nowa, nie zyska akceptacji. Tak jak w odniesieniu do sądów powszechnych i Sądu Najwyższego nie do przyjęcia jest

taka radykalna koncepcja (a już pojawił się w przestrzeni publicznej taki właśnie środowiskowy projekt), że trzeba unieważnić uchwały KRS i wtedy cała ta piramida problemów upadnie sama z siebie. Bo nie upadnie. No i to nie przejdzie w organach europejskich. Dlatego moim zdaniem słusznie robi minister Adam Bodnar, że zasięga opinii Komisji Weneckiej. To ułatwia polemikę z naciskami radykałów wewnętrznych i stwarza argument na przyszłość wobec ewentualnych zastrzeżeń europejskich. Ale są też w tej całej strategii niewykorzystane potencjały i niedoszacowane niebezpieczeństwa.

Jakie? – Według mnie niewykorzystany jest potencjał uchwał sejmowych. One nie mają bezpośrednio charakteru normatywnego, ale uczytełniąją strategię i pozwalają na jej uspojnienie w oczach krajowych aktorów stosujących prawo. Przecież obecnie tych strategii jest wiele i sprawiają wrażenie autonomicznych. Tyle że media kompletnie nie rozumieją znaczenia uchwał sejmowych. Lekceważą je jako coś, co wedle nich nie ma bezpośredniej mocy sprawczej. I szybko o nich zapominają.

A co Pani sądzi o takim pomysłe, podnoszonym przez niektórych prawników, że skoro uchwałami Sejmu powołano złych sędziów, to uchwałami też można ich odwołać? – To raczej bez szans, jeżeli chcemy pozostawać w kręgu legalistycznie ujmowanych źródeł prawa. Mam też co do zasady zastrzeżenia do konstytucyjności działania parlamentu w drodze reasumpcji dawnych uchwał. No a dodatkowo: prze-

wą, ale z uwagi na nieprawidłowość tego składu sprawa spadła. Trudności z wdrażaniem napraw wynikają także z oporów części środowiska wymiaru sprawiedliwości czy prokuratury wobec posunięć sanacyjnych.

Gdy już znamy opinię Komisji Weneckiej, to jaki jest najbardziej prawdopodobny scenariusz dla Trybunału Konstytucyjnego? – Ustawa została skierowana przez prezydenta do Trybunału Konstytucyjnego, z którego już raczej nie wróci do podpisu. Trzeba więc ją opracować na nowo, oczywiście z uwzględnionymi uwagami Komisji Weneckiej. To zapewne przypadnie już na okres po wyborach prezydenckich.

Do wymiany sędziów po upływie ich kadencji, czego chce Komisja, nie trzeba nowej ustawy. – Do tego nie, ale jest konieczność uregulowania wielu innych spraw, na przykład statusu wyroków, które zapadły z udziałem sędziów powołanych na miejsca zajęte. Tu też trzeba uwzględnić sugestie Komisji, że nie do przyjęcia jest podważenie czy unieważnienie wszystkich, lecz trzeba przewidzieć jakąś procedurę ich weryfikacji i uznawania niektórych z nich. Ale też trzeba widzieć problem, jakim byłoby wpuszczanie pojedynczo nowych sędziów do nadal „zainfekowanego” Trybunału. To byłaby bardzo niewdzięczna praca, do której mogłoby nie być chętnych. Oczywiście karierowicze zawsze się znajdą.

Jestem większym optymistą i sądzę, że znaleźliby się poważni prawnicy chcący wziąć udział w misji uzdrawiania tej

go. Choćby podwyższona większość parlamentarna potrzebna do wyboru sędziego. Jest też taki bezpiecznik na rzecz podkreślanego przez Komisję Wenecką pluralizmu, że przy większej liczbie powoływanych sędziów jednocześnie, wybiera się ich na różnej długości kadencje, co zapewni szybszą rotację. Także zwiększona rola zgromadzenia sędziów.

Kompetencje prezesa powinny być ograniczone, żeby nie mógł manipulować składami, o co była oskarżana Julia Przyłębska? – Nie zaszkodziłoby, bo manipulowanie składami jest karygodne. Chociaż to trudne do wyczerpującego zapisania w ustawie, bo przecież choroby i różne wypadki losowe usprawiedliwiają możliwość zmian w składach, tylko idzie o to, by nie była ona wykorzystywana instrumentalnie. Można też w tej ustawie trochę bardziej powiązać wyroki trybunalskie z rozproszoną kontrolą konstytucyjności wykonywaną przez sądy, czego orędowniczką jestem od lat. Można wreszcie jednoznacznie uregulować, co to znaczy „ogłoszenie wyroku” i jak to wpływa na jego obowiązywanie.

Załatwić raz na zawsze problem odmowy publikowania przez premiera? Bo przeżyliśmy raz tę historię osiem lat temu i mamy ją w nowej odsłonie teraz. Komisja to krytykuje i oczekuje jakiegoś rozwiązania. – Przypominam argumentację: krytykowaliście to wtedy, a teraz sami tak robicie. To też trzeba zrobić w ramach naprawiania Trybunału. Trzeba usiąść nad opinią Komisji Weneckiej, ale nie na zasa-

Komisja Wenecka przestrzega przed sytuacją, gdy powołanie sądu konstytucyjnego oznacza ustanowienie całego składu przez jedną większość parlamentarną wskazując na korzyści wynikające z pluralistycznego jego składu

cież sama uchwała Sejmu nie wystarcza, by zostać sędzią Trybunału Konstytucyjnego. A my czekamy na ustawę o sanacji KRS (uchwalona, zaskarżona do TK przez prezydenta). Już nie wspomnę o kwestii ślubowania. Reasumpcja tego typu to wytrych i jednocześnie iluzja legalizmu w dyskursie publicznym.

Prawda, tak zostali powołani dublerzy. – No właśnie. Ale akurat z dublerami nie ma żadnego kłopotu, bo Komisja Wenecka wręcz podkreśla, że w tej październikowej ustawie można byłoby zaproponować ich odsunięcie od orzekania. I powołuje się na orzeczenia strasburskie oraz luksemburskie, które takie rozwiązanie legitymizują. A trzeba też pamiętać, że wciąż „wisi” niezakończona sprawa Wałęsa przeciwko Polsce, której Europejski Trybunał Praw Człowieka nadał pilotażowy charakter, co oprócz satysfakcji dla skarżącego oznacza obowiązek systemowego uporządkowania sprawy sędziów powołanych po 2017 roku. Sąd Najwyższy sprawy nie podjął, legislacyjnie też nic nie zrobiono. Ugrzęzło też w szafach kierownictwa SN zakończenie sprawy z pytania prejudycjalnego dotyczącego sędziego Waldemara Żurka, która z kolei była bardzo ważna dla oceny statusu KRS. Pierwsza prezes nawet wyznaczyła skład do zajęcia się spra-

instytucji. Może niektórzy z prawników aktywnie występujących przeciwko przejmowaniu Trybunału przez partię rządzącą. – Może udałoby się namówić kilku przyzwolonych i dobrych prawników do takiej misji. Trochę straceńczej, bo trudno będzie o spektakularne sukcesy, raczej należy spodziewać się pytań, dlaczego tak mało i wolno. Znacznie łatwiej się protestuje, niż buduje. Poza tym akurat weterani rewolucji politycznej nie zawsze dobrze się odnajdują w roli odnowicieli i budowniczych. Inny temperament, inne role.

Pamiętajmy też o Piotrze Pszczółkowskim, który powołany został przez PiS, a jednak pewną pozytywną rolę w Trybunale odegrał. – Odegrał pozytywną rolę jako autor zdań odrębnych, czasem przeciwstawiał się „partyjnym” wyrokom. Może i teraz, gdyby ten organ zaczął zmieniać swój charakter, znalazłby się ktoś taki z dotychczasowego składu. Ja się zgadzam, że to jest droga do rozwiązania problemu, ale raczej jako jedna z wielu, a nie panaceum. W tej uchwalonej i chyba „zatopionej” przez prezydenta ustawie jest wiele rozwiązań, które w sumie mają złożyć się na przywrócenie konstytucyjnego charakteru Trybunału Konstytucyjnego

dzie, że my tu coś wykreślimy, a tam dopiszemy, tylko ocenić, o co jej chodzi, i spróbować to wprowadzić. I to nie tylko na podstawie tej ostatniej opinii dotyczącej Trybunału Konstytucyjnego, ale też tych dotyczących KRS i sądów powszechnych. Bo one układają się w całość pokazującą, czego wyraźnie nie wolno, jak duży w gruncie rzeczy jest margines swobody ustawodawcy krajowego. Czasem myślę, że niektórzy uczestnicy dyskusji w Polsce wcale nie są specjalnie zadowoleni z tej swobody, byłoby im wygodniej wskazać, że to nie oni, tylko czynnik zewnętrzny coś sugeruje. U nas obecnie problemem jest strategiczna płynność wielu koncepcji naprawczych. Mamy wiele różnych, niespójnych inicjatyw płynących z różnych ośrodków. I mamy fatalną politykę informacyjną – na szczeblu rządu jako całości i na poziomie ministerialnym. Trudno się zorientować, na co się ostatecznie zdecydowano i czy w ogóle się na coś zdecydowano. To bardzo poważny mankament, wręcz niesprawność narracyjna, decydująca o wrażeniu chaosu. Podpis prezydencki nie zastępuje wymanego przez Konstytucję wniosku KRS w procedurze powołania sędziego i nie uzdrawia automatycznie przednich wadliwości procedury wyboru i no-

minacji sędziów. Anachronizm takiej rzekomej prezydenckiej prerogatywy jest rażący.

Także w odniesieniu do Krajowej Rady Sądownictwa i statusu tzw. neosędziów były dyskutowane różne koncepcje. Czy po ogłoszeniu opinii Komisji Weneckiej jest już oczywiste, co i jak trzeba zrobić?

– Nie jest oczywiste. Na pewno do odrzucenia jest teza lansowana przez Kancelarię Prezydenta (i jego samego) o uzdrawiającej mocy decyzji nominacyjnej. Podpis prezydencki nie zastępuje wymaganego przez Konstytucję wniosku KRS w procedurze powołania sędziego i nie uzdrawia automatycznie uprzednich wadliwości procedury wyboru i nominacji sędziów. Anachronizm takiej rzekomej prezydenckiej prerogatywy jest rażący.

Krajową Radę Sądownictwa trzeba przywrócić w wersji sprzed zmian z 2017 roku?

– Trzeba przywrócić konstytucyjny kształt tej instytucji, czyli przede wszystkim wybór piętnastu sędziowskich członków przez sędziów. Ale przy okazji trzeba zmienić kilka rzeczy, które były już wcześniej krytykowane, na przykład żeby skład był bardziej reprezentatywny dla całej struktury sądów.

Kolejne wersje przepisów, które mają uregulować status neosędziów, są konsultowane z Komisją Wenecką. Jeśli powstaną one według tych wytycznych, to już będzie dobrze?

– O nie, ponieważ Komisja Wenecka nie mówi, jak ma być. Komisja wskazuje przestrzeń, którą musi wypełnić decyzja ustawodawcy krajowego. Komisja nie wykluczyła wyodrębnienia grup osób o podobnych cechach i w podobnej sytuacji, ale kryteria podziału i zasady postępowania

Trzeba przywrócić konstytucyjny kształt Krajowej Rady Sądownictwa, czyli przede wszystkim wybór piętnastu sędziowskich członków przez sędziów

nia z każdą z nich to już problem krajowy. Z zastrzeżeniem że sędziemu poddanemu weryfikacji musi przysługiwać sądowa droga odwoławcza.

Więc może znów okazać się, że jakiś projekt zostanie oceniony negatywnie, jak to było z projektem dotyczącym Trybunału Konstytucyjnego. Wychodzi na to, że nasze działania sanacyjne odbywają się metodą prób i błędów. A sytuację pogarsza istnienie – jak wspomniałam – wielości różnych projektów, pomysłów i modeli. Sama Komisja Kodyfikacyjna wręcz szczyści się przygotowaniem dwóch alternatywnych projektów sanacji sytuacji w sądach. Nie wiem, czy ta obfitość to trafna strategia. A przecież równolegle do działań Komisji Kodyfikacyjnej powstają jeszcze projekty ministerialne.

A co z Sądem Najwyższym?

– Tu muszą być pewne różnice w stosunku do sanacji sytuacji w sądach powszechnych, bo nasza Konstytucja stwierdza, że wymiar sprawiedliwości sprawują Sąd Najwyższy, sądy powszechne, sądy administracyjne oraz sądy wojskowe. A to oznacza, że status sędziego jest wiązany z jednym z tych rodzajów sądów i trzeba je

widzieć jako stwarzające odrębne problemy regulacyjne. Trzeba też odrębnie traktować powołania i awanse, a także ewentualne powroty na poprzednie stanowiska (jeżeli sanacja wiązałaby się z takim powrotem), w tych rodzajach sądów.

Prawo do orzekania też ogranicza się do danego rodzaju sądów?

– Tak. Jeśli ktoś został w wątpliwy sposób awansowany z sądu rejonowego do okręgowego, a bywało przecież, że wkrótce do apelacyjnego, to ten awans może podlegać ocenie i weryfikacji, ale cały czas jest on sędzią na podstawie tego pierwszego, niewadliwego powołania przez prezydenta, o ile poprzedził go wniosek legalnej KRS. Inaczej jest, gdy sędzia sądu powszechnego trafił do Sądu Najwyższego lub sądu administracyjnego, wtedy do legalnego orzekania potrzebny jest mu nowy wniosek KRS i powołanie przez prezydenta.

Najbardziej znane przykłady to pierwsza prezes Sądu Najwyższego, która wcześniej była sędzią sądu apelacyjnego i kolejni wiceministrowie sprawiedliwości – sędziowie sądów rejonowych, którzy po pewnym okresie służby w rządzie otrzymali stanowiska w NSA. Nie mają prawa do orzekania?

– Właśnie dlatego przecież mają być poddani sanacji. Ale też, gdy ich status w tych nowych miejscach zostałby podważony, te osoby nie będą miały powrotu do poprzednich sądów, bo one jednak „wyszły” z tamtego rodzaju sądów. To wszystko jednak wymaga zróżnicowanej oceny, a tę – w imię opacznie rozumianej równości – pospiesznie się kwestionuje.

To co będzie z tymi nowymi sędziami w Sądzie Najwyższym?

– Nawarstwienie w ostatnich latach zmian ustawowych dotyczących statusu sędziów

wykreowało nam kategorię „sędziów ustawowych” – w przeciwieństwie do „sędziów konstytucyjnych”, cieszących się pełnią gwarancji konstytucyjnych z uwagi na brak zastrzeżeń co do ich opinowania i procedury awansowej. To dotyczy wszystkich sędziów: tych w sądach powszechnych i tych w SN.

Jeżeli votum do orzekania w Sądzie Najwyższym zostało uzyskane w wadliwy konstytucyjnie sposób, czyli ustawą, to teraz także ustawa może je cofnąć. To nie będzie pozbawienie ustawą sędziego statusu konstytucyjnego, bo on go nie uzyskał w konstytucyjnym sensie. W Sądzie Najwyższym jest jeszcze dodatkowa komplikacja, ponieważ wielu nowych sędziów w „starych” izbach trafiło tam z tych nowych, uznanych za nielegalne, a to przesunięcie nastąpiło decyzją pierwszego prezesa. A więc podwójny brak prawa do orzekania. To wszystko wymaga uporządkowania. I to na drodze ustawodawczej. ●

Szersza wersja rozmowy z prof. Ewą Łętowską ukazała się wydanej przez Wolters Kluwer Polska książce pt.

„Trudny powrót do rządów prawa”.

Znalazły się w niej także opinie Marka Safjana, Zbigniewa Kmiecika, Marty Romańskiej, Włodzimierza Wróbla, Moniki Płatek, Marcina Matczaka, Sylwii Gregorczyk-Abram, Ryszarda Piotrowskiego, Moniki Florczak-Wątor, Ryszarda Kalisza, Jarosława Onyszczyka, Krystiana Markiewicza, Andrzeja Wróbla, Przemysława Rosatięgo, Włodzimierza Chrościka, Radosława Markowskiego.

Od Wydawcy, Wolters Kluwer Polska: wszystkie rozmowy do książki odbywały się od grudnia 2024 do początku marca 2025 r.



OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

Kraj/34373103



Znajdziesz w każdym sklepie



Szukaj na regale z prasą



ŚWIAT



O dezinformacji przedwyborczej

Huragan kłamstw

Pojechałam do Mołdawii, żeby zobaczyć,
jak plotka może rozedrzeć państwo na pół.

Joanna Sosnowska

• Mołdawia.
Restauracja
„Znów w ZSSR”
w Tyraspolu,
największym
mieście
separatystycz-
nego regionu
Naddniestrze

FOT. JOANNA SO-
SNOWSKA / GAZETA
WYBORCZA

Ponoć podróże w czasie są niemożliwe. To nieprawda. Wystarczy bilet na samolot i już po niecałych dwóch godzinach można przemieścić się do początku lat 90. A jeśli jeszcze wsiądziemy w autobus, to po kolejnej godzinie można się cofnąć o kolejną dekadę.

Za, a nawet przeciw

W Kiszyniowie, stolicy Mołdawii, ląduję w dniu targowym. Centrum miasta zasłane jest straganami. Ludzie handlują wprost z ziemi. Ale próżno szukać tam dużych stoisk, gdzie sprzedają np. tysiąc koszulek z Chin. Handlarze to w większości starsi ludzie, którzy wyprzedają swoje życie.

Pani w chustce na głowie oferuje miśsiaprzytulanek, zestaw kieliszków, garnek i trzy pary butów. W ten sposób podreperuje budżet i dorobi sobie do emerytury lub renty. Najwytrwalsi lub najbardziej zdesperowani będą tu stali jeszcze długo po tym, jak inne stragany się zawiną.

Odwiedzam Mołdawię pięć miesięcy po wyborczym maratonie. Na przełomie października i listopada Mołdawianie wybierali prezydenta, głosowali też w referendum unijnym. Ostatecznie na drugą kadencję wybrali prezydentkę, Maię Sandu i opowiedzieli się za wejściem do UE. W obu wypadkach zagłosowali za opcją prozachodnią i proeuropejską. Jednak Sandu została wybrana większością głosów diaspory mołdawskiej, co jej wytykają liczni przeciwnicy, twierdząc, że „nie jest prezydentką zwykłych Mołdawian”. A o akcesji do UE zdecydowały zaledwie 10 564 głosy.

Kraj podczas wyborów był tak podzielony, bo podczas ubiegłorocznej kampanii wyborczej przeżył zmasowany atak dezinformacyjny. Eksperci mówią wręcz o „huraganie” dezinformacji. Chcę tam na miejscu sprawdzić, jak plotka może rozdrzeć państwo na pół.

NO FUTURE

Mołdawia była wielokrotnie rozdzielana na dwie części.

Geograficznie. Kiedyś razem z Rumunią stanowiły jedno państwo. Ale na mocy paktu Ribbentrop-Mołotow ZSSR zażądał Besarabii, czyli terenu dzisiejszej Mołdawii. Powstała tam wtedy Mołdawska Socjalistyczna Republika Radziecka.

Wewnętrznie. Po upadku Związku Radzieckiego od Mołdawii jednostronnie odebrało się Naddniestrze – teren wysunięty najbardziej na wschód, najbardziej uprzedmiotowiony i sąsiadujący z Ukrainą. Nawet Rosja, która wspiera region politycznie, wojskowo i gospodarczo, oficjalnie nie uznaje jego niepodległości.

Spolecznie. W 1989 r. w Mołdawii mieszkało 4,34 mln osób. Dziś 2,5 mln. To jedno z najszybciej wyludniających się państw świata. Powód? Spadająca dzietność oraz fakt, że po upadku ZSRR i odłączeniu się Naddniestrza PKB młodego państwa między 1990 a 1992 r. spadł aż o 35 proc. Kto może, wyjeżdża za chlebem.

Politycznie. W 2019 r. przez kilka dni w Mołdawii były dwa rządy. W efekcie kryzysu konstytucyjnego jednocześnie funkcjonował nowy, koalicyjny rząd Mai Sandu i rząd Pavela Filipa z Partii Demokratycznej, popierany przez struktury starego reżimu i Trybunał Konstytucyjny. Po kilku dniach, z powodu nacisków zagranicznych, m.in. UE, USA, rząd Filipa ustąpił.

Dziś Mołdawia to jedno z najbiedniejszych państw Europy. PKB na mieszkańca w 2023 r. wynosił 3728,90 dol. Średnia pensja to 400-500 euro (1700-2300 zł) miesięcznie. To też najrzadziej odwiedzany kraj Europy. Według Światowej Organizacji Turystyki Narodów Zjednoczonych w 2023 r. przyjechało zaledwie ok. 319 500 turystów.

I to wszystko widać. W Kiszyniowie chodniki są krzywe, popękane. Dziecko w wózku wytrzęsie się niemilosiernie, a wózek z niepełnosprawnym nie przejedzie. Główna ulica została niedawno pięknie odnowiona. Jest przy niej niewielki łuk trium-

falny, modne kawiarnie, budynki użyteczności publicznej z czasów brutalizmu i gigantomanii. W pobliskim parku kafejki z fantazyjnymi lampionami, siedzą w nich wystylizowane zetki, jedzą francuskie wypieki przy dźwiękach francuskiej muzyki.

Ale wystarczy zejść z głównej ulicy i przenosimy się do lat 90. Zaniedbane, sypane się budynki. Dziurawe dachy. Połatane balkony. Wschodnioeuropejska prowizorka.

To, co mogłoby być dla turysty z Zachodu największą atrakcją, czyli socjalistyczne mozaiki albo brutalistyczne i fantazyjne domy, niszczone. Pieniądże na renowację przepięknego budynku cyrku – pierwszego w ZSRR i czwartego na świecie – znalazły się dopiero w 2023 r.

Mozaikę „Kosmiczny oracz” upamiętniającą kosmonautę Jurija Gagarina, na budynku rozpadającym się od 30 lat można zobaczyć jedynie po wspięciu się na płot. Mozaika wewnątrz dworca PKS, zatytułowana – może ironicznie – „Miasto rozkwita i jest budowane”, otoczona jest plastikowymi budami z kurczakiem i tanimi telefonami.

Na utrzymanej w rzymskim stylu kolumnadzie już zamkniętego Stadionu Republikańskiego ktoś wydrapał krzywo napis „NO FUTURE”.

Rodzic 1 i Rodzic 2

Ale politycznie przyszłość widać. Na budynkach użyteczności publicznej wiszą flagi – mołdawska i Unii Europejskiej. Choć Mołdawianie dopiero kandydują do UE i miną lata, zanim dołączą do wspólnoty, już chcą, chociaż symbolicznie, informować o zmianie kierunku.

A to nie wszystkim się podoba.

– W Mołdawii od co najmniej trzech lat nie mówimy o zagrożeniu hybrydowym. Mówimy o wojnie hybrydowej – poprawia mnie Ana Revenco, była ministra spraw wewnętrznych Mołdawii, a teraz szefowa rządowego Centrum ds. Komunikacji Strategicznej (StratCom) i Zwalczenia Dezinformacji. – Rosja stosuje tu zaawansowane i złożone taktyki wojny hybrydowej. W tym oczywiście wojnę informacyjną. I nie mam na myśli dezinformacji – Rosja uruchomiła tu całą machinę wpływu: szantaż energetyczny, pośrednie i bezpośrednie wsparcie dla separatystów w Naddniestrzu, szantaż użycia swoich wojsk tam stacjonujących, kupowanie głosów, szantażowanie polityków. Mogłabym długo wymieniać.

I faktycznie, Rosja uruchomiła w tym niewielkim państwie cały arsenał, żeby nie wypuścić Mołdawii ze swojej strefy wpływów. Szkoliła bojówki młodych mężczyzn, żeby wywoływali zamieszki przed wyborami. Dwóch oligarchów, Ilan Szor i Władysław Platon, za pomocą sieci fałszywych stron rozprzestrzeniających fake newsy przez fanpage na Facebooku siało narracje antyunijne, strasząc osobami LGBT+ i tym, że jeśli Mołdawianie zagłosują za wejściem do Unii, to dzieci nie będą już mogły mówić do rodziców „mama” i „tata”.

– Miałby je zastąpić zwroty „Rodzic 1” i „Rodzic 2” – opowiada Ionela Ciolan, researczerka ds. bezpieczeństwa w think-tanku Wilfried Martens Centre for European Studies w Brukseli. – Albo że Unia narzuci nam progresywne wartości, które przecież są sprzeczne z naszym konserwatywnym podejściem. Inna narracja: że Unia zmusi nas do nadania przywilejów społeczności LGBT, np. parytetów w instytucjach publicznych. To wywołało sporo lęku w społeczeństwie.

Podrobiona herbata z dzikiej róży

Narracja anty-LGBT+ była jedną z najsilniejszych, bo grała na nieufności Mołdawian do mniejszości seksualnych. Z ankiety z 2023 r. wynika, że aż 70 proc. mieszkańców nie chciałoby mieć takiego sąsiada. Inna silna narracja obejmowała przekazy antyunijne. Jeden z fejków zaczął tak silnie rezonować w społeczeństwie, że prezydentka Maia Sandu musiała aż odnieść się do niego w trakcie orędzia noworocznego w grudniu 2023 r.

Zaczął się od nagrania na komunikatorze Telegram – Sandu zapowiadała, że od teraz nie można już będzie zbierać owoców dzikiej róży, z których podczas świąt Bożego



• Mołdawia, Naddniestrze.
Czołg T-34, pomnik Chwały
Wojennej w Tyraspolu



• Przystanki autobusowe w Tyraspolu
wyglądają jak karoce. To nawiązanie do
Katrzyny Wielkiej i informacja, że Nad-
niestrze to rosyjska strefa wpływów

FOT. JOANNA SOSNOWSKA / GAZETA WYBORCZA (3)

**Na Facebooku straszą,
że jeśli Mołdawianie
zagłoszą za wejściem do UE,
to dzieci nie będą już mogły
mówić o rodzicach
„mama” i „tata”**

Mołdawia i Naddniestrze



© GAZETA WYBORCZA

**„Mamałyga nie wybucha”
– tak pogardliwie
powiedział kiedyś
Stalin o Mołdawianach.
A to państwo przeszło
przyspieszony kurs
państwowości**

Narodzenia parzony jest tradycyjny napar. Powód: ochrona środowiska w imię wydumanych zasad UE.

Nagranie było oczywiście fałszywe, wygenerowane przez sztuczną inteligencję, ale tak bardzo poruszyło Mołdawian, że Sandu musiała je prostować podczas orędzia.

To jeden z wielu przykładów wykorzystania sztucznej inteligencji do siania chaosu. Także w grudniu 2023 r. opublikowano kolejne zmanipulowane wideo, w którym prezydentka Sandu miała dziękować George'owi Sorosowi i USA za wspieranie jej rządu. Materiał był częścią kampanii dezinformacyjnej prowadzonej przez strony powiązane z oligarchą Ilanem Szorem – za chwilę do niego wrócimy.

A tuż przed jesiennymi wyborami w sieci pojawiło się zmanipulowane wideo, w którym Sandu rzekomo krytykowała sytuację w kraju i wzywała do głosowania na prorosyjską partię Odrodzenie, powiązaną z zakazaną partią Szor. Wideo wyświetlono ponad 400 tys. razy dzięki płatnej promocji na Facebooku, zanim Meta je usunęła po interwencji dziennikarzy.

Wszystkie drogi prowadzą do Szora

Huragan dezinformacji, który przetoczył się przez Mołdawię, został w dużej mierze zaprojektowany i opłacony właśnie przez Ilana Szorę, byłego mołdawskiego parlamentarzystę, który ukrywa się prawdopodobnie w Moskwie.

Szor kładzie się długim cieniem na historii Mołdawii. W 2014 r., na kilka dni przed wyborami, dokonał spektakularnej kradzieży. Z trzech kontrolowanych przez siebie banków przez skomplikowany system kredytów, firm-wydmuszek i zamorskich spółek wyprowadził miliard dolarów. To była wówczas niemal połowa rocznego budżetu Mołdawii. „W jednej chwili trzy duże mołdawskie banki zostały wydrenowane i utraciły płynność finansową. Pozostało już tylko ogłosić bankructwo. I tak się też stało” – pisze Kamil Całus, analityk z Ośrodka Studiów Wschodnich, w książce „Mołdawia. Państwo niekonieczne”.

Kilka dni przed tą kradzieżą rząd Mołdawii zobowiązał się zagwarantować depozyty banków mołdawskich do sumy ok. 650 mln dol. A kilka lat później ten skradziony miliard został przekształcony w... dług publiczny, który obywatele Mołdawii będą musieli spłacać. Ma im to zająć jeszcze 16 lat.

Szor miał 27 lat, kiedy dokonał tego „sko-ku stulecia”. Trzy lata wcześniej ożenił się z Jasmin (Sarą Manachimową), czyli popularną w Rosji piosenkarką. Ich ślub został okrzyknięty w Mołdawii „ślubem roku”, przyszli na niego byli prezydenci, parlamentarzyści wszystkich opcji. Ceremonia odbyła się w Pałacu Republiki, gdzie w latach 90. rezydowali prezydenci państwa.

Popularna żona pomogła mu kilka lat później w wyborach na burmistrza Orgiejowa. Oczywiście, niebagatelny wkład miał też fakt, że Szor obiecał przekształcić małe miasteczko w „Monako Mołdawii”, kupił lokalną drużynę piłkarską i wyniósł ją do pozycji mistrza kraju, inwestował w infrastrukturę okolicy. Fakt, że już wtedy było powszechnie wiadomo, że to on był architektem kradzieży miliarda dolarów – paradoksalnie – bardzo mu pomógł. Ludzie mieli nadzieję, że skoro tyle ukradł, to może chociaż część zainwestuje w modernizację ich miasteczka. Ostatecznie za kradzież został skazany na 15 lat więzienia. Nie spędził w nim ani dnia.

Zachęcony sukcesem w Orgiejowie w 2016 r. wszedł w dużą politykę i stanął na czele partii, której nadano jego imię. W 2019 r. jego ugrupowanie weszło do parlamentu, a Szor został posłem.

Ale wtedy polityczny wiatr zaczął się zmieniać. W tym samym roku premierką została prozachodnia Sandu, a rok później wygrała wybory prezydenckie. To oznaczało odejście od kursu prorosyjskiego na rzecz drogi do integracji europejskiej, próby odpolitycznienia systemu sprawiedliwości i odebrania chociaż części przywilejów, jakimi cieszyli się w Mołdawii oligarchowie. A to Szorowi nie mogło się podobać.

Bot grozi śmiercią

W 2019 r. Szor uciekł do Izraela – urodził się tam, miał więc podwójne obywatelstwo – i stamtąd w dalszym ciągu zarządzał swoją partią, która zajmowała się głównie organizowaniem protestów antyrządowych. Protesty te nasiliły się między wrześniem 2022 r. a czerwcem 2023 r. Za uczestnictwo w nich Szor płacił benzyną i chlebem.

Skala tego procederu była tak poważna, że wreszcie Sąd Konstytucyjny zdelegalizował jego partię – stwierdził, że protesty były organizowane, żeby obalić działający rząd i zainstalować nowy, prorosyjski. Ale to nie znaczy, że Szor zniknął z lokalnej polityki.

– On zastosował scenariusz hydry: po prostu zaczął wspierać kilka pomniejszych partii, które w międzyczasie przejął i obsadził swoimi ludźmi. W tym momencie Szor dysponuje trzema-czterema ugrupowaniami na terenie Mołdawii – wyjaśniał Kamil Całus w podcaście „Wyborczej” 8:10.

I tak oto docieramy do ubiegłorocznych wyborów. Linie papilarne Szora widać na niemal wszystkich działaniach anty-Sandu. – Szor stworzył sieć działaczy, która miała destabilizować wybory – mówi mi Ionela Ciolan. Ludzie Szora byli odpowiedzialni m.in. za przekupywanie głosujących – przekupili w sumie 130 tys. osób. Oligarcha wydał na to ponad 15 mln dol. Ślad pieniędzy prowadzi do rosyjskich banków.

– Później zaczęli rekrutować starsze osoby i charterować loty do Rosji. Traktowali tych ludzi jak muły – mówi Ana Revenco ze StratComu. – Potem zrekrutowali księży, kilkudziesięciu wysłali do Rosji na udawaną pielgrzymkę. Zorganizowali obozy dla nastolatków – także w Rosji. Starsi ludzie, księża, młodzież – proszę sobie wyobrazić oburzenie społeczne, gdyby służby zorganizowały nalot na samolot pełen księży.

W sumie Moskwa przetransferowała do Mołdawii 40 mln dol. – jak wynika z ustaleń mołdawskich służb. A pieniądze te w ręce Szora nie próżnowały.

– Oplaceni influencerzy i boty promowali w sieci agendę oligarchów i Kremla. To wła-



śnie boty podkreślały przekaz i to dzięki nim mogło się wydawać, że dana narracja dezinformacyjna jest wszechobecna – wyjaśnia Tatiana Cojocari, specjalistka ds. polityki zagranicznej Rosji oraz dezinformacji w organizacji WatchDog w Mołdawii. – Podczas ubiegłorocznych wyborów widzieliśmy też coś, czego wcześniej nie obserwowaliśmy – niektórzy dziennikarze i działacze społeczeni otrzymywali maile i telefony z pogróżkami. Groźby były tak sformułowane, żeby wydawało się, że pochodzą od prezydentki Mai Sandu ubiegającej się o reelekcję.

Cojocari opowiada, że słychać było robotyczny głos mówiący: „Zabijemy cię, jeśli nie będziesz głosować na Maię Sandu”, albo „Wiemy, gdzie mieszkasz, znamy twój adres, znajdziemy cię i zabijemy”. – Widać było, że ktoś wydał na tę kampanię dużo pieniędzy. Mógł sfinansować media, różne kanały, boty.

Oprócz botów i wspomnianych już treści generowanych przez AI Szor sponsorował też całą sieć stron internetowych, na których były fałszywe informacje, fanpage’y – typu „From Moldova with love” albo „Prawdziwe wiadomości z Mołdawii” – a dodatkowo kupował reklamy, które napędzały ruch.

Jak wynika z raportu WatchDog MD, Ilan Szor i inny oligarcha, Waczesław Platon, podczas trzech letnich miesięcy 2024 r. wydali 136 tys. na reklamy na Facebooku, prowadzące do dezinformacyjnych treści. Dla porównania: rok wcześniej Szor wydał 200 tys. dol. na dezinformację na Facebooku – ale przez cały rok.

Szeryf pilnuje Naddniestrza

Nie słychać za to o wpływie Szora w jednym z najsłynniejszych niepaństw świata – w Naddniestrzu.

Tyraspol, stolica tego nieuznawanego – nawet przez Moskwę – separatystycznego regionu leży trochę ponad godzinę jazdy samochodem od Kiszyniowa. W rzeczywistości trochę dłużej – po drodze trzeba przejść „odprawę paszportową” – oddać paszporty pogranicznikom, wejść do ich biura i odebrać dokumenty razem z kwitkiem potwierdzającym możliwość wjazdu.

Jeśli zostaniemy przepuszczeni, to wskazówki zegara cofną się jeszcze bardziej. Co najmniej do czasów Związku Sowieckiego.

Na ulicach witają pomniki Lenina. W Domu Sowietów mieści się ratusz. Budynki z żółtym płotem należą do armii rosyjskiej, która wciąż tu stacjonuje. W mieście jest też Dom Oficerów Armii Rosyjskiej.

W głównym parku miasta na zaszczytnym miejscu zasiada marmurowa Katarzyna II. To właśnie za jej panowania do Imperium Rosyjskiego przyłączone zostały tereny dzisiejszego Naddniestrza i Besarabii, czyli de facto Mołdawii. Tyraspol powstał z jej rozkazu jako twierdza obronna Rosji.

Dziś Katarzyny nie ma, ale Naddniestrze dalej trzymane jest żelazną ręką – Sheriffa.

Tak nazywa się największa i najbardziej wpływowa firma Naddniestrza. Powstała niedługo po oddzieleniu się tego terenu od Mołdawii, w 1993 r. Założycielami są dwaj byli agenci KGB, Wiktor Guszan i Ilja Kazmały. Sheriff to oficjalnie właściciel sieci sklepów pod tą samą nazwą, klubu piłkarskiego Sheriff Tyraspol (grał w Lidze Mistrzów UEFA), producent alkoholu, operator komórkowy i właściciel kilku lokalnych mediów. De facto to gospodarczo-polityczna „matryoszka”, która zawładnęła całym tworem państwowym.

W mediach Sheriffa przedstawiana jest zgodna z linią Moskwy wersja historii: „Mołdawia jest okupowana przez Zachód”, „NATO jest zagrożeniem”, „W Ukrainie Rosja tylko broni swoich interesów” itd.

Fizycznym odzwierciedleniem tej polityki są przystanki autobusowe w Tyraspolu. Z zewnątrz wyglądają jak karoce – kolejne nawiązanie do Katarzyny Wielkiej – ale służą też jako wizualne przypomnienie, że ten teren znajduje się w rosyjskiej strefie wpływów.

A gdyby ktoś zapomniał, to pod sufitem umieszczone są głośniki, które po cichutku, cierpliwie, sączą rosyjski przekaz historyczny.

Gazprom skrupulatnie księguje

W Naddniestrzu została znaczna część przemysłu z czasów ZSRR – elektrownie, huty, fabryki chemiczne. Wszystkie one cieszyły się darmowym gazem z Rosji.

A przynajmniej darmowym dla Naddniestrzan. Gazprom bowiem księguje wszystko jako... dług Mołdawii.

Sielanka została jednak przerwana na początku roku. 1 stycznia Gazprom wstrzymał dostawy gazu do Naddniestrza. Oficjalny powód był taki, że Ukraina nie przedłużyła umowy na tranzyt tego surowca przez swoje terytorium. Rosja mogła dostarczać gaz innymi kanałami, np. z wykorzystaniem TurkStreamu i gazociągu transbalkańskiego. Moskwa stwierdziła jednak, że wybierze

tę opcję wyłącznie, jeśli Mołdawia zapłaci 709 mln dol. rzekomego długu.

Mołdawia odmówiła, więc Moskwa zakręciła kurek z gazem. W Naddniestrzu zaczęło robić się coraz zimniej.

Za to infosfera coraz bardziej się rozgrzewała. – Krążyły u nich informacje, że w Kiszyniowie nie ma prądu ani ogrzewania. Że władze Mołdawii nie udźwignęły negocjacji z Rosją i teraz zostały z niczym – opowiada Taisia Haritonova z organizacji pozarządowej National Democratic Institute, która specjalizuje się w zwalczaniu dezinformacji. – Ta sytuacja została wykorzystana do przekazu, że przecież można było dogadać się z Rosją. „Zamiast tego wybraliście UE, to teraz macie”. Rosja nieustannie wykorzystuje kwestię energii do szantażowania Mołdawii.

„Wywołany przez Rosję kryzys w państwie stanowi w percepcji Kremla sposób na obniżenie popularności rządzącej w Mołdawii prozachodniej Partii Działania i Solidarności (PAS) przed planowanymi na lato lub wczesną jesień wyborami parlamentarnymi – pisze Kamil Całus w analizie dla OSW. – Moskwa liczy, że wzrost cen prądu związany ze wstrzymaniem dostaw gazu do Naddniestrza, wytwarzającego większość energii elektrycznej na potrzeby Mołdawii, oraz możliwy kryzys humanitarny w „republice” zniechęcą elektorat do władz i skłonią go do zwrócenia się ku siłom prorosyjskim”.

Kryzys energetyczny w Naddniestrzu został zażegnany w lutym. Komisja Europejska przyznała Mołdawii bezzwrotną pomoc w wysokości 64 mln euro. Środki te mają być wydane m.in. na kupowanie gazu od innych niż Rosja dostawców i transferowanie ich do Naddniestrza.

Obrzydzanie na platformach

Jest bardzo prawdopodobne, że wpływ Rosji na Mołdawię nie byłby tak silny, gdyby nie opieszałość wielkich platform internetowych. – Rosja chce osłabiać państwa od wewnątrz – wskazuje Taisia Haritonova. – Atak bronią tradycyjną jest bardzo kosztowny. A atak informacyjny jest prosty i tani.

– Platformy w miarę współpracowały. Niestety, nie zawsze ich wsparcie było użyteczne albo na czas. „Na czas” to najważniejsza część tego zdania. Bo TikTok przyznawał, że jest u niego dezinformacja, ale co z tego, skoro usuwał ją np. po miesiącu. A w tym czasie fałszywa informacja zdążyła się rozprzestrzenić. Mleko się już rozlało – wskazuje gorzko Tatiana Cojocari.

Ana Revenco uważa, że platformy muszą zrozumieć, że jesteśmy na wojnie: – Zagrożenia, które się na nich obecnie znajdują, wykraczają daleko poza Standardy Społeczności albo regulaminy. Nie chodzi tu już o poszczególne fałszywe wpisy, tylko o to, jak one wpływają na całe społeczeństwa. I co więcej – jak same platformy są wykorzystywane w wojnie informacyjnej i do podważania demokracji. Teraz platformy same muszą się opowiedzieć, po której są stronie.

– Rosja może próbować podobnych sztuczek w Polsce – przestrzega Ionela Ciolan. – Wykorzystają wasze słabości, polaryzację i będą siać dezinformację na temat NATO i UE, może będą próbowali obrzydzić wam Ukraińców i wojnę w Ukrainie.

Brzmi znajomo? ●

OGŁOSZENIE

Kraj/34374188

O DEZINFORMACJI PRZEDWYBORCZEJ

PRZEMYSŁ
PRANIA
MÓZGÓW



ORGANIZATORZY

wyborcza.pl

wyborcza.biz

OSIĄGNIĘLIŚMY SZCZYT BEZWSTYDU

Europa musi zostać supermocarstwem, inaczej będzie skansenem turystycznym dla Japończyków czy Amerykanów.



• „Porwanie Europy” Bernardo Strozzi, 1630-1644 r., olej na płótnie. Obraz znajduje się w zbiorach Muzeum Narodowego w Poznaniu

ZE **SLAVOJEM ŽIŽKIEM***
ROZMAWIA
MACIEJ STASIŃSKI

Kiedy umawialiśmy się na rozmowę, stwierdził pan, że żyjemy w „gównianych czasach”.

– Bo tak jest. Kryzysów mamy kilka naraz i ta kombinacja naprawdę jest groźna. Kryzys ekologiczny nabiera rozpędu, kryzysy militarne jeden za drugim albo wprost wojna, jak w Ukrainie czy w Gazie, kryzys albo jego groźba w globalnej gospodarce, kryzys demokracji wszędzie...

Rzecz w tym, że to spiętrzenie kryzysów wcale nie musi prowadzić do przebudzenia się społeczeństw.

Może być przeciwnie, skupiając się na jednym, który nas dotyczy, wygodnie zapominamy – jako politycy, przywódcy, społeczeństwa – o innych. Tymczasem te kryzysy mają zasięg globalny i domagają się rozwiązań globalnych.

Czyli wspólnych. Ekologia nie jest problemem lokalnym, lecz światowym. Nie potrzebujemy rządu światowego, żeby sobie z nim radzić, bo taki rząd byłby globalną korupcją, ale na pewno obowiązkowej wspólnej światowej współpracy.

Rok temu mówił mi pan, że jeśli Donald Trump wygra ponownie i USA dołączą do populistów BRICS – czyli grupy państw negujących przywództwo Zachodu, w której prym wiodą Brazylia, Rosja, Indie, Chiny i RPA – to czeka nas katastrofa. No i mamy Trumpa. USA zdradza zachodnią demokrację liberalną?

– Tak. Trump to katastrofa i zdrada. Ale też pełnowartościowa demokracja liberalna zaczęła się sypać już wcześniej. Trump tylko dostrzegł jej kryzys i zareagował.

Liberalna demokracja nie była w stanie poradzić sobie z kryzysem globalnego kapitalizmu. Trump i technokratyczni oligarchowie dostrzegli trafnie, że tradycyjna gospodarka wolnorynkowa się wyczerpała – i zaczęli to wykorzystywać, w dodatku używając potężnej interwencji państwa.

Łapiemy się za głowy, gdy Trump dziś nakłada cła, a jutro je zawiesza. Ale co to jest, jeśli nie interwencja władzy państwa w gospodarkę?

A najlepiej rynek dzisiaj działa w Chinach – także pod kontrolą rządu.

Powojenne socjaldemokratyczne państwo dobrobytu było najlepszym wynalazkiem ludzkiej cywilizacji. Nie było dziełem samej lewicy socjaldemokracji, wszy-

scy je zaakceptowali. Stało się, jak mówi mój przyjaciel filozof Peter Sloterdijk, powszechnym zdrowym rozsądkiem. A dzisiaj to *welfare state*, państwo dobrobytu, wszyscy demontują. Nawet brytyjscy laburzyści to robią!

Więc tak, Trump zdradza demokrację liberalną, przestępuje nad nią i idzie dalej – bo ona już przestała działać.

Ale rozwiązaniem nie jest nowa tyrania, technokracja czy, jak chcą niektórzy, jakaś forma komunizmu, lecz globalna współpraca. Tylko i aż. A jej czempionem powinna się stać Europa. Albo Unia się tego podejmie, albo rozpadnie z powrotem na państwa narodowe.

A czego chce Trump? Nowej dyktatury w USA czy panowania nad światem?

– Trump to katastrofa, ale on nie jest idiotą. Mój kolega Janis Warufakis** uważa, że on prowadzi przemyślaną wojnę. Chce najpierw wprowadzić kompletny chaos, a potem negocjować z każdym krajem z osobna.

Słyszał pan te chamskie uwagi o tym, jak to różne kraje spieszą całować go w dupę? On chce z jednej strony osłabić dolara i przyciągnąć produkcję przemysłową z powrotem do USA. Ale z drugiej – zrobić z dolara światową walutę.

Tylko nie bierze pod uwagę jednego – że dziś potęga finansowa USA to nie jest produkcja towarów jak dawniej, lecz zyski gigantów technologicznych typu Meta, Microsoft, X czy Amazon. To dziś są naprawdę wielkie pieniądze – a one zostają w USA.

W dodatku zagraniczne inwestycje w USA są dziś bardzo pokaźne, na przykład amerykański dług publiczny jest w co najmniej kilkudziesięciu procentach w rękach wierzycieli zagranicznych, od Japonii przez Chiny po Wielką Brytanię.

Więc Trump nie zdoła osiągnąć tego, czego chce. A co osiągnie? Warufakis uważa, że na świecie zapanuje technofeudalizm, który już dobija tradycyjny kapitalizm.

Ameryka już rozpada się na dwoje, jest na skraju wojny domowej. Dlatego wielu przeciwników Trumpa liczy na wstrząsy społeczne, które sprawią, że się opamięta. Ale one go nie powstrzymają. Bo się ich nie obawia, odwrotnie, on uważa, że to go przybliży do porządku dyktatorskiego.

A sytuacja na świecie mu sprzyja – ma mnóstwo sojuszników. Orbán na Węgrzech, Fico w Słowacji, AfD w Niemczech, Le Pen – która od 10 lat siedzi w kieszeni Putina – we Francji, Javier Mi-

lei w Argentynie, Nadżib Bukele w Salwadorze...

Te nowe autokracje czy nowi tyrani in spe, w tym Trump, jednocześnie bratają się z oligarchami korporacji technologicznych i platform cyfrowych.

– Otóż to. Populizm polityczny połączony z oligarchami technokratami to jest prawdziwa zgroza. Widział pan Trumpa w otoczeniu Muska, Zuckerberga, Bezosa.

Trump i ci technokraci chcą zastąpić państwo liberalnej demokracji państwem sieciowym.

Ale takim, w którym sieć będą tworzyli oni. Chcą przebudować społeczeństwo z pomocą wybranego prezydenta dyktatora. Mają pełną gębę wrogości do państwa, ale wykorzystują potęgę państwa do niszczenia i rynku, i demokracji. Chcą swobodnie manipulować społeczeństwem.

I może im się to udać, bo poziom kontroli nad społeczeństwem dzięki technologii, a teraz i sztucznej inteligencji, jest zatrważający – przestajemy być jej świadomi.

A najlepsze, że ludziom takim jak Trump czy Musk ich kłamstwa tylko przysparzają popularności!

Wyborcy Alexandrii Ocasio-Cortes, lewicowej demokratki, głosowali na nią do Kongresu, ale w wyborach prezydenckich na Trumpa. Wie pan dlaczego? Bo uważali, że i ona, i Trump są „autentyczni”, „spontaniczni”, mówią to, co myślą, a nie tak jak ci kulturalnie skrojeni klasyczni Demokraci.

Osiągnęliśmy jakiś szczyt bezwstydu, gdzie przestaje się liczyć prawda. Putin bezwstydnie niszczy cywilną infrastrukturę Ukrainy. Netanjahu robi to samo w Gazie. Trump robi to, co robi, bo może.

I nic się nie dzieje. Ktoś powie, że zawsze tak było, że mówiło się co innego, niż robiło. Ale hipokryzja jest lepsza od bezwstydu i cynizmu, bo to hold, który występki składa cnocie. Jeśli nie przywrócimy poczucia wstydu, jesteśmy zgubieni.

Nie jestem wrogiem rynku, ale rynek pozostawiony sam sobie prowadzi do monopolu. Dlatego potrzebuje kontroli. Tak samo kontroli potrzebuje sztuczna inteligencja.

Jeśli ludzki mózg będzie połączony z komputerami, to może za 20-40 lat już nie będziemy ludźmi w takim sensie jak dotąd.

Takie pytanie zadaje choćby Juwal N. Harari.

Sfera publiczna stała się pozornie demokratyczna jak nigdy wcześniej, każdy ma do niej dostęp. A jednocześnie jest podatna jak nigdy wcześniej na sterowanie, bo oligarchowie ugniatają opinię publiczną jak plastelinę adresowanym za pomocą algorytmów potokiem kłamstw, agresji, propagandy. Przecież Musk wygrał dla Trumpa wybory, wykorzystując platformę X do przekazu, że Kamala Harris to komunistka, a Trump ocali Amerykę.

– Demokracja działa pod warunkiem, że wszyscy akceptują jej reguły. Trump reguł nie akceptuje. To jest najpoważniejszy problem. Demokraci, zwłaszcza ci radykalni, nie są bez winy, bo oni też gwałcili przyjęte reguły tym szaleństwem kultury woke i cancel.

Kiedy w USA rywalizowali Al Gore i George Bush, obaj oprotestowywali wyniki, szło o garść głosów. Ale ostatecznie obaj je zaakceptowali. A Trump cztery lata temu swojej porażki nie zaakceptował. Jeśli się odrzuca wspólne reguły gry, jesteśmy zgubieni.

Scena publiczna też się rozpada. Wciąż jest publiczna, ale coraz bardziej zdeintegrowana.

To chaos, ale kontrolowany – bo uważnie zarządzany przez feudalnych technokratów. Trumpa nie byłoby bez Muska czy Zuckerberga.

Musimy zregenerować sferę publiczną i poddać ją państwowej regulacji. Sfera publiczna stała się obojętna na prawdę

Demokraci, zwłaszcza ci radykalni, nie są bez winy, bo oni też gwałcili przyjęte reguły tym szaleństwem kultury woke i cancel

i rządzi się plotką. A prawda nie jest żadnym konstruktem. Prawda istnieje.

Jak temu dwugłowemu smokowi Trump-Musk można się przeciwstawić?

– Musi nadejść kryzys, także ekonomiczny, a my musimy umieć go wykorzystać.

Kiedys Stalin rozmawiał z Georgim Dimitrowem, liderem bułgarskich komunistów, który go podziwiał za ogromną popularność i charyzmę. Powiedział Bułgarowi: – Towarzyszu, ależ w latach 20. o wiele popularniejszy ode mnie był Trocki. Co więc zrobiłem? Mianowałem na stanowiska tysiące osób. Wierne kadry są wszystkim.

Trump wyciągnął lekcję ze Stalina i przez cztery lata, kiedy nie miał władzy, wypromował na stanowiska w Partii Republikańskiej oraz organizacjach społeczeństwa obywatelskiego tysiące wiernych i teraz ich ma na każde zawołanie.

Demokraci w USA i my, demokraci z Europy, musimy postąpić podobnie.

Równolegle toczy się jeszcze inny proces: supermocarstwa i mocarstwa nie próbują podzielić między siebie świata. Chcą nowego koncertu mocarstw, jak na kongresie wiedeńskim po upadku Napoleona?

– Owszem, wylaniają się supermocarstwa imperialne – Ameryka Trumpa chce zawiadnąć Grenlandią, Panamą, Meksykiem. Rosja chce zawiadnąć nie tylko Ukrainą, ale także innymi ościennymi krajami, no a Chiny, to wiadomo. A Europa tu zupełnie nie pasuje. Bo nie jest już kontynentem potęg imperialnych. Jeśli świat się ześlisgnie w ten neoimperializm, jesteśmy zgubieni.

Dlatego jestem Europejczykiem jak nigdy przedtem. Musimy pozostać wierni dziedzictwu Europy, bo jest bezcenne. Europa jest z gruntu samokrytyczna. Z tego ducha wzięło się wszystko, co najcenniejsze. Europa jest ojczyzną nie tylko faszyzmu czy komunizmu, ale również demokracji i praw człowieka.

Nie wolno nam popadać w pułapkę antyeuropocentryzmu, który lansują lewicowi ideolodzy. Nie musimy sami siebie nienawidzić, wystarczy, że Europy nienawidzą wszyscy wokół. Nienawidzi jej Trump, który już kilka lat temu mówił, że Europa powstała, żeby „dopieprzyć” Ameryce. Nienawidzi Europy Putin, co oczywiście. Nienawidzą jej Chiny i lewica w Ameryce Łacińskiej.

Ja jestem za Europą tym bardziej, im bardziej przegrywa w rywalizacji z mocarstwami. Bo powołaniem Europy jest właśnie stać się supermocarstwem. Musi nim zostać, inaczej będzie nieistotna. Zostanie skansenem turystycznym dla Japończyków czy Amerykanów.

Może potrzebujemy takiego Trumpa? Tylko lewicowego. Jak Franklin Delano Roosevelt.

On też ignorował Kongres i kontaktował się ze społeczeństwem przez radio i telewizję, ówczesne odpowiedniki platform społecznościowych. Ale w czasie wojny wiedział jasno, że wrogiem jest nazizm. I dziś trzeba, żeby ludzie zobaczyli, kto jest naszym wrogiem.

To kto nim jest? Trump mówi, że on tylko chce pokoju...

– Wszyscy autokraci mówią, że chcą pokoju. Jasne, Trump chce pokoju, ale takiego, że-

by Rosja wygrała. Każdy okupant chce pokoju, ale na swoich warunkach.

Putin chce pokoju, jak już opanuje Ukrainę, Netanjahu chce pokoju, jak już Palestyńczycy skapitulują. Niemcy Hitlera też chciały pokoju, jak tylko zajmą Austrię i Czechosłowację.

Moi lewicowi koledzy mówią „stop militaryzmowi”. Albo zbrojenia, albo chleb z masłem. Lewica jest głupia, bo to bzdurna alternatywa. Jak masz agresywne mocarstwo, to musisz mu stawić czoła. Szykować się do wojny. Rosja zmieniła doktrynę wojskową i otwarcie mówi, że skoro jej wroga popierają kraje, które mają broń nuklearną, to ona ma prawo użyć swojej. Ale dla lewicy wróg to zachodni militaryzm!

A przecież wiadomo, że zbrojenia mogą napędzać gospodarkę. USA w czasie wojny światowej, w latach 1941-45, zwiększyły produkcję nie tylko broni, ale także wszystkich dóbr i towarów.

Panu się to nie spodoba, ale w jednym Lenin miał rację, a mianowicie, był internacjonalistą na poważnie i mówił, że jeśli jakiś naród czy mniejszość chce, to powinien mieć własne państwo. O to się zresztą pod koniec życia pokłócił ze Stalinem.

A dla Putina Ukraina to dzieło, wymysł i wina Lenina. On to powiedział publicznie! A jego bohaterem jest Stalin, nie Lenin. Putin chce rosyjskiego imperium i za prowadzi pokój imperialny, kiedy je zbuduje.

Kolegom z lewicy mówię, że jestem umiarkowanie konserwatywnym komunistą, a gdy chcą ich jeszcze bardziej zdernerwować – że stalinistą z ludzką twarzą.

Namawiałbym pana do wstrzemięźliwości w porównaniach. Stalin chciał walczyć o pokój tak, że nie zostanie kamień na kamieniu...

– Wie pan, ja się w szkole uczyłem rosyjskiego i dzisiaj śledzę rosyjskie media. Nie do wiary, jakim językiem propaganda przemawia do Rosjan: „Kogo lepiej zbombardować? Paryż czy może Londyn?”. Rzecz jasna wszystko po to, żeby zaprowadzić pokój.

Co lewica ma dziś ludziom do zaproponowania? I czy podział na lewicę i prawicę w ogóle jeszcze objaśnia dzisiaj świat?

– Znowu pana sprowokuję jako stary marksista. W 1921 r. Lenin napisał tekst o górskiej wspinaczce. Że kiedy w trakcie okazuje się, że sprawy się mają źle, nie wystarczy się za trzymać, ale trzeba się cofnąć, zejść na dół i zacząć od początku.

Lewica ma wszystko zrewidować. Nie ma już klasy robotniczej jako społecznego czynnika wielkiej zmiany. Gospo-

darka nie opiera się na ludziach pracujących w fabrykach na umowach o pracę. Dziś pracujący to prekariat.

Kierowcy Ubera czy pracownicy Amazona to przecież nie są robotnicy, tylko środki produkcji. Oni nie będą się łączyć jak proletariusze, bo ze sobą konkurują.

A co to znaczy dzisiaj wyzysk? Lewica musi na nowo przemyśleć wszystkie swoje kategorie.

Marks pisał, że świat zmierza ku komunizmowi. Dzisiaj świat zmierza raczej do katastrofy.

Nie będzie nią faszyzm? Chyba nie, bo faszyzm to żelazny porządek i hierarchia, gdzie każdy zna swoje miejsce. Więc może liberalny faszyzm? Albo nowy technofeudalizm, jak chce Warufakis?

Na pewno to będzie jakaś mieszanina chaosu i dyskretnego sterowania. Różne nazwy przychodzą do głowy i jestem w kropce.

Ale zgadzam się z wielkim socjologiem, marksistą i teologiem w jednym, Walterem Benjaminem. Ten pociąg historii gdzieś pędzi na łeb na szyję. Trzeba łąpać za hamulec i go zatrzymać!

Jak mówił Marcin Luter: „Hier stehe ich. Ich kann nicht anders”. Tu stoję i inaczej nie mogę. ●

****Janis Warufakis** – grecki lewicowy ekonomista o zacięciu alterglobalistycznym, minister finansów w 2015 r. w rządzie ant-lewicowej Syrizy, podał się do dymisji po nieudanej próbie zablokowania tzw. austerii, czyli narzuconej przez UE polityki zaciskania pasa, która zredukowała zadłużenie Aten, ale spotęgowała bezrobocie i wywołała liczne bankructwa.



Slavoj Žižek

ur. w 1949 r. w Lublanie, socjolog, filozof, filmoznawca. Fan Marksa i Lenina, zjadliwy krytyk postmodernizmu, kapitalizmu, New Age, politycznej poprawności, zdrowego stylu życia, inwigilacji pod płaszczykiem ochrony obywateli – lista jest długa. Nazywany Elvisem filozofii i bratem Marksa, uwielbia paradoksy, dekonstruuje „Kung Fu Pandę” za pomocą Lacana, a marksistów namawia do sojuszu z chrześcijanami. I krytykom, i fanom mówi: „Nie daję jasnych odpowiedzi nawet na najprostsze, najbardziej bezpośrednie pytania. Lubię komplikować problemy i nienawidzę prostych narracji. Są podejrzane”.

Autor kilkudziesięciu książek. W polskim przekładzie ukazały się m.in. „Przekleństwo fantazji”, „Kruchy absolut, czyli dlaczego warto walczyć o chrześcijańskie dziedzictwo”, „O wierze”, „Rewolucja u bram”, „Przemoc: sześć spojrzeń z ukosa”, „Druga śmierć opery”, „Kukła i karzeł. Perwersyjny rdzeń chrześcijaństwa”. Dwie najnowsze to „Kłopoty w raju. Od końca historii do końca kapitalizmu” oraz „Hegel i mózg podłączony”.

wyborcza magazyn wyborczejWOLNA SOBOTA		
REDAKCJA: ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa Telefon: 22 555 66 00; E-mail: redakcja@wyborcza.pl Listy do redakcji: listy@wyborcza.pl Redakcja nie zwraca tekstów niezamówionych oraz zastrzega sobie prawo ich redagowania i skracania. Wnioski i pytania w sprawie ochrony danych osobowych: iod@wyborcza.pl REDAKTOR NACZELNY: Adam Michnik; PIERWSZY ZASTĘPCA, REDAKTOR NACZELNY WYBORCZA.PL: Roman Imielski; ZASTĘPCY: Aleksandra Sobczak, Bartosz T. Wieliński;	MAGAZYN-KULTURA: Agata Żelazowska-Cieśla WOLNA SOBOTA: Mirosław Maciorowski (szef), Marek Markowski (zastępca), Ewa Wiczorek, Jan Cywiński, Łukasz Grzymisławski, Andrzej Kulasek, Grażyna Żabińska GRAFICY: Paweł Kapusta, Jacek Konarowski, Tomasz Lebioda, Agata Łuszcz, Jakub Piotrowski, Łukasz Rudnikowski; FOTOEDYCJA: Marta Błażejowska, Rafał Szczepankowski LICENCJE NA TREŚCI: licencje@wyborcza.pl WYDAWCA: Wyborcza sp. z o.o., ul. Czerska 8/10, 00-732 Warszawa; NIP: 521-403-30-11 DRUK: Wyborcza sp. z o.o. PREZES ZARZĄDU: Wojciech Bartkowiak CZŁONKOWIE ZARZĄDU: Mikołaj Chrzan, Joanna Kwas	Biuro reklam i ogłoszeń: reklama@wyborcza.pl; 22 555 55 55, faks: 22 555 54 44 Rozpowszechnianie redakcyjnych materiałów publicystycznych bez zgody wydawcy jest zabronione.

100 dni Trumpa

SCHODY NAJEŻONE
SZPIKULCAMI

• Zwolennicy duetu Trump-Musk oraz ich metod prowadzenia polityki wewnętrznej i zewnętrznej na pierwszomajowym wiecu w Nowym Jorku (1.05.br.) FOT. REUTERS/JEENAH MOON

„Elon kupi te wszystkie telewizje i zatrzyma kłamstwa”. Rozmawiałem z wyborcami Republikanów.

Maciej Czarnecki

Młody pracownik pizzerii przy dworcu kolejowym w Mineoli przewraca oczami, kiedy zdradzam, że przyleciałem z Polski, by napisać o nastrojach wśród wyborców Trumpa po prawie 100 dniach jego rządów.

– Och, tyle naobiecowałem, miało być tak pięknie! A jest, jak jest, a będzie gorzej. I kto dostanie po kieszeni? Tacy jak my. Wiesz, ci, co za dużo nie wyciągają. Bogaci zawsze sobie poradzą – peroruje, walcząc z moją zagraniczną kartą w terminalu płatniczym.

Połóżona na przedmieściach Nowego Jorku Mineola to bezpretensjonalne miejsce – na stacji postawiono pomnik kobiety z psem, a nie jakiegoś bohatera narodowego.

Kobiety z psami zwykle nie wywołują wyrazistych politycznych emocji, więc pasuje idealnie, bo okręg wyborczy Long Island i Queens, w skład którego wchodzi miasteczko, jest politycznie podzielony i chwiejny. W 2022 roku wybory do Izby Reprezentantów wygrał tu republikański hochsztapler George Santos. W uzupełniających, po wydaleniu go za oszustwa, zwyciężył Demokrat.

Jeśli wierzyć opiniom Google’a, pizzeria jest zwykle oblegana, ale akurat panuje spokój, więc mój znudzony rozmówca, oparty niedbale o kontuar, opowiada, że żyje się tu tak sobie. Niby spokojnie i bezpiecznie, lecz w ostatnich latach coraz więcej wydaje na czynsz, rachunki za zakupy spożywcze to zgroza, a paliwo kosztuje tyle, że przestał jeździć samochodem do pracy, podrzucają go koledzy.

Liczył, że Trump obniży ceny, a przez te jego wojny handlowe będzie jeszcze drożej. – Mówię ci, jeszcze nas to wszystkich zaboli – kwituje, wręczając mi kawałek gorącej margerity.

Czyżby Amerykanie przejrzyli Trumpa? Wystarczyło parę awantur i niespełnionych szybko obietnic, by zaczęli mieć wątpliwości, czy rzeczywiście jest zbawcą narodu?

Wszystko drożeje

Żeby to sprawdzić, zaglądam na wieczorne spotkanie lokalnego koła Partii Republi-

kańskiej w Fox Chapel w zachodniej Pensylwanii. To najważniejszy z tzw. swing states – stanów, które w praktyce przesądzają, kto wygra wybory prezydenckie. W ostatnich trafił do koszyczka Trumpa.

– Nie ukrywam, trochę mnie dziwi, że robią wszystko w takim tempie – mówi czterdziestokilkuletnia Victoria Erwyn.

Zaraz jednak zastrzega, że to dobrze, bo dzięki temu Demokraci nie mają czasu za bardzo joćczyć. Najważniejsze, ciągnie Erwyn, są ochrona granicy i walka z przestępczością. No i oczywiście gospodarka, bo za Bidena wszystko strasznie podrożało.

– Żywność, paliwo, naprawa samochodu... wiesz, o ile zdrożały części zamienne? – załamuje ręce.

Choć Erwyn ma licencjat z zarządzania, to nie pracuje w zawodzie, tylko jako opiekunka 87-latkę z demencją. Parę lat temu opiekowała się rodzicami, więc mimowolnie zdobyła doświadczenie. Chciałaby pracować w jakiejś korporacji, lecz nie bardzo wie, jak się do tego zabrać.

Mocno wierzy, że za Trumpa gospodarka wróci na właściwe tory, przede wszystkim dzięki nowym odwiertom. Nie przeszkadzają jej odnawialne źródła energii, ale grzechem byłoby odrzucać dobrodziejstwa węgla, którego Ameryka ma sporo.

– No, może pewne rzeczy zrobiłabym inaczej niż Trump – rzuca.

– Jakże?

– Zwalnianie tych wszystkich urzędników... Ja bym to robiła stopniowo. Duża liczba ludzi na rynku pracy może spowodować problemy z bezrobociem. Ale ogólnie jestem zadowolona.

Na spotkaniu pojawia się kilkadziesiąt osób, w czym pewną rolę odgrywa zapewne darmowy poczęstunek: kawa, kanapki i roladki z kurczakiem znikają ze stołów jeszcze przed rozpoczęciem oficjalnej części. Położone na przedmieściach Pittsburgha Fox Chapel generalnie jest zamożne, przeważają tu Demokraci, ale w przeszklonej salce miejskiego gmachu natykam się głównie na bezrobotnych i słabiej opłacanych.

Sharon Shepard, która nie pracuje, bo – jak tłumaczy – dochodzi do siebie po skomplikowanej operacji, uważa, że najważniejsze jest „pozbycie się z kraju wszystkich nielegalnych imigrantów”.

– Nie mam nic przeciwko nim, ale niech przyjeżdżają po bożemu. Wtedy można ich odsiewać. Przemoc w tym kraju wyrwała się spod kontroli.

– Doświadczyłaś tego?

– No nie, ale wiem z telewizji.

– A co sądzisz o clach? Nie obawiasz się, że wszystko będzie jeszcze droższe? – dopytuję.

– Słuchaj, Chiny produkują badziewie – lekko podnosi głos. – Trzy lata temu kupiłam lodówkę i już się popsuli. Trzyletni sprzęt! Produkują je w Chinach. Czemu

nie możemy ich sami produkować, żeby były dobrej jakości i wytrzymały tyle, co kiedyś?

Kiedy pytam o Elona Muska, Shepard otwiera szerzej oczy.

Elon, mówi, tropi „wszystkie ukryte wydatki z naszych podatków”. To dar niebios. Tak, zwalnia ludzi, ale przecież jak poprawi się z gospodarką, to będą nowe posady.

– To multimiliarder. Nie zabiera naszych pieniędzy. I nie zetnie rent i emerytur, te fałszywe media i fake newsy trzeba powstrzymać. Mam nadzieję, że kupi wszystkie stacje i zatrzyma te kłamstwa – peroruje kobieta.

– Wtedy nie będziecie mieli wolności słowa – rzucam.

– Wtedy media w końcu zaczną mówić prawdę – nierażona odbija piłeczkę.

Cudowni gnębieni Polacy

– Kocham Elona. Uważam, że to geniusz – wyznaje Betsy Harrison, która z mężem Dave’em prowadzi firmę konsultingową dla branży budowlanej.

Przeprowadzają analizy drgań przed budową mostów, budynków mieszkalnych czy gmachów publicznych. Akurat oni zarabiają nieźle, bo w Pittsburghu sporo się buduje. Macha ręką, kiedy pytam o niekorzystne prognozy ekonomistów.

– Trump sam powiedział niedawno, że czasem musisz wziąć lekarstwo i poczuć się gorzej, żeby potem było lepiej. Jestem gotowa łyknąć tabletkę.

To nie jest odosobnione myślenie. Według sondażu Quinnipiac University 44 proc. Republikanów obawia się, że cla w krótkiej perspektywie zaszkodzą amerykańskiej gospodarce. Ale wciąż ufają prezydentowi, bo 87 proc. uważa, że w długiej perspektywie pomogą.

– On obniży koszty życia. Czytałeś jego „The Art of the Deal”? Na tym to polega. Wszyscy będą chcieli się z nami dogadać. On chce tylko sprawiedliwego handlu. Jest kapitalistą i biznesmenem, więc będzie rządził krajem lepiej niż inni – wtrąca Dave.

Wspomina, jak w 1968 roku jego ojciec przyjechał w interesach na Śląsk. Miał zostać parę dni, a został na długie tygodnie, bo przez interwencję wojsk radzieckich w Czechosłowacji nie mógł wyjechać.

Ponad pół wieku przed tym, jak świat zachwycił się polską pomocą dla uchodźców z Ukrainy, ugościła go pewna rodzina, u której czuł się jak w domu. A na pewno lepiej niż w hotelu, gdzie wpadła do niego służba bezpieczeństwa, by przeszukać bagaż.

Wrócił z przekonaniem, że Polacy to cudowni ludzie, lecz gnębi ich okropny system.

– My teraz przedstawiamy się z gospodarki napędzanej przez sektor publiczny na sektor prywatny. Musimy do tego powrócić, znów produkować towary, zamiast rozwijać tylko sektor usług.

Dorastałem w Anglii i niespieszno mi, by budować tu socjalizm. To dlatego wszyscy tu wyemigrowaliśmy, żeby od niego uciec – wyjaśnia. Przedstawił się jako inżynier, więc pytam, czy nie przeszkadza mu, że Trump gardzi ekspertami i nauką.

– Kiedy chodziłem do szkoły, straszono nas kwaśnymi deszczami. Z czasem odkryłem, że tak zwani obrońcy środowiska wykorzystują to w grach politycznych – odpowiada.

„Mógłbym stanąć na środku 5. Alei w Nowym Jorku i kogoś zastrzelić”.

W badaniu Quinnipiac University z 3-7 kwietnia Trumpa pozytywnie ocenia 86 proc. Republikanów (w marcu 89 proc.), negatywnie 9 proc. (tyle samo, co miesiąc wcześniej).

Sondaż YouGov dla „The Economist” z 5-8 kwietnia wskazuje na 90-procentowe poparcie tej grupy (wobec 93 proc. w marcu). W tym badaniu liczba niezadowolonych wzrosła z 5 do 8 proc. Nadal niewiele.

– Coraz trudniej jest nie nazywać tego kultem – komentuje Jennie Sweet-Cushman, politolożka z Chatham University w Pittsburghu.

Nad naszymi głowami wisi telewizor, na którym całe lobby hotelowe może podziwiać migawki z gry prezydenta w golfa w jego florydzkim kurorcie Mar-a-Lago.

W ostatnich miesiącach pielgrzymowali tam zagraniczni przywódcy, najważniejsi politycy Republikanów, technomiliarderzy trzęsący Doliną Krzemową, a nawet wykłęty przez swoich Demokratów burmistrz Nowego Jorku, któremu prokuratura za Trumpa odpuściła w sprawie zarzutów korupcyjnych.

Otoczony potakiwaczami prezydent zachowywał się jak król, obdarzając ich łaskami. Felietonistka „New York Timesa” Maureen Dowd porównała go do szekspirowskiego Ryszarda III.

– Zastanawiam się, czy w pewnym momencie się to zmieni. Czy nadejdzie jakiś efekt domino? Czy Republikanom w stylu Liz Cheney uda się stworzyć jakieś emocjonalne i psychologiczne uzasadnienie zmiany tego głębokiego uwielbienia? – ciągnie Sweet-Cushman.

Chodzi jej o niegdyś wpływową kongresmenkę z Wyoming, córkę legendarnego „neokona” Dicka Cheney’a, skazaną na polityczną banicję za ostrą krytykę Trumpa.

Przypominam jej słynne słowa Trumpa z 2016 roku, że mógłby stanąć pośrodku Piątej Alei w Nowym Jorku i kogoś zastrzelić, a i tak ludzie by na niego głosowali – odpowiednik naszego przejechania ciężarnej zakonnicy na pasach.

– Okazało się, że to prawda. Cały czas o tym myślę – odpowiada politolożka.

Jak z serialu „Yellowstone”

Odwiedzam wiec i spotkania trumpistów od dawna. Rozmawiałem z nimi jeszcze podczas jego pierwszej kadencji, która przy obecnej wydaje się jedynie przygrywką, i po niej, kiedy rozsierdzony porażką z Bidenem, której nigdy nie uznał, przeczekiwał chudsze lata w Mar-a-Lago,

Dorastałem w Anglii, byłem w Polsce. Uciekłem tu, bo wiem, co to socjalizm – tłumaczy mi przedsiębiorca, fan Trumpa

a niektórym wydawało się, że jego gwiazda przygasa – nim spartaczone procesy karne pomogły mu wrócić na scenę.

Tak naprawdę nigdy się od niego nie odwrócili. Nadal śmiali się z jego dowcipów, kiedy z werwą odgrywał zagubionego Bidena, i kipieli oburzeniem w momentach, w których wypadało kipieć.

Choć popelniał lapsusy częściej niż w 2016 roku i wdawał w dziwaczne dywagacje – pamiętacie te o Hannibalu Lecterze i pacjentach szpitali psychiatrycznych jako terrorystach? – pozostał władcą tłumów, doskonale zarządzając nastrojami.

O te nastroje dbają prawicowe media. W dniach, w których ekonomiści krytykowali Trumpa za rozpętanie wojny celnej z całym światem, a przed recesją ostrzegali nawet przychylni mu miliarderzy i niektórzy Republikanie, cały czas serwowały odbiorcom uspokajający przekaz.

Sean Hannity, gospodarz programów w Fox News i dobry znajomy prezydenta obwieścił, że dzień, w którym ogłoszono cla, „zostanie zapamiętany jako punkt zwrotny i początek, mam nadzieję, że dla każdego Amerykanina, nowego złotego wieku”.

Kanał Newsmax cytował bezkrytycznie słowa Trumpa, że cla rzekomo już przynioszą 2 mld dol. dziennie, choć prawdziwe dane mówiły o 200 mln.

Z pizzerii w Mineoli idę spacerem do biura Granta Lally’ego, naczelnego gazety

„The North Shore Leader” i byłego kandydata Republikanów na kongresmena. Kiedy rozmawialiśmy rok temu, załamywał ręce nad przejęciem partii przez Trumpa i zastanawiał się, czy za pół roku dalej będzie zarejestrowany jako Republikanin.

Tym razem zastaję go w innym nastroju. Przyznaje, że co prawda bez entuzjazmu, ale jednak zagłosował na Trumpa. Jego zdaniem Trump wygrał, bo Amerykanie mieli dość ingerencji rządu w różne sfery życia i „poprawności politycznej”.

– Te wszystkie preferencje rasowe i „nie możesz tak mówić, tak też nie”... wiesz, to nie jest stary świat.

Pewnie jakieś 500 lat temu moi i twoi przodkowie w starym świecie żyli na tej samej ulicy, ale jesteśmy nowym krajem, komercyjną republiką, która potrafi być bardzo brutalna. Tu nie można zmuszać ludzi kijem do określonego sposobu mówienia.

„Komercyjna republika” to nawiązanie do Johna Locke’a, który inspirował amerykańskich Ojców Założycieli, podkreślając znaczenie niezbywalnych wolności, w tym ekonomicznych. Wypisz wymaluj etos twardego Johna Duttona z serialu „Yellowstone”, w którym przegląda się wiejska, trumpowa Ameryka.

Opowiadał Lally’emu, że wychodząc z hotelu na Manhattanie, zauważyłem schody najeżone szpikulcami, by nie mogli na nich spać bezdomni.

– A ja widziałem dziś w telewizji, że jakaś gmina zakwalifikowała spanie na zewnątrz jako przestępstwo. Nie masz domu i ryzykujesz aresztowanie – kręci głową, nagle wskakując w buty zatroskanego nowojorskiego liberała.

Ocenia, że choć Trump jest teraz bardzo mocny, to sytuacja zmieni się, kiedy Republikanie przegrają zaplanowane na listopad 2026 r. wybory do Kongresu.

To dość realne, bo zwłaszcza w Izbie Reprezentantów mają minimalną przewa-

Słynna publicystka Anne Applebaum ostrzega, że przyszłością Ameryki mogą być Węgry Orbana. „Destrukcja amerykańskiej służby cywilnej jest już w toku, rozpoczęła się też presja na prasę i uniwersytety, a wokół coraz częściej słychać o zmianach konstytucji”, pisze w „The Atlantic”.

Sweet-Cushman spodziewa się, że jeśli Demokraci przejmą Izbę Reprezentantów, Trumpa czeka kolejny impeachment. Już dopuścił się rzeczy, które mogą się do tego kwalifikować. Do skazania w Senacie potrzeba 2/3 głosów, czyli współpracy z bardzo umiarkowanymi Republikanami.

Dziś to nie do pomyślenia. Nawet jeśli niedawne głosowanie w Senacie w sprawie zablokowania części ceł na Kanadę, w którym czworo republikańskich senatorów sprzymierzyło się z Demokratami, pokazało, że niektórzy potrafią mu się postawić.

– To głównie ci, którzy nie będą ubiegać się o ponowny wybór, jak Mitch McConnell, były przywódca Republikanów w Senacie. Ci, którzy zostaną wybrani w 2026 roku, będą mieli przed sobą sześć lat, z tego część po odejściu Trumpa, więc może w 2027 roku będzie więcej śmiałych – spekuluje politolożka.

– Ale to wszystko może po midtermach.

Na razie istnieją ogromne obawy, że Elon Musk może dofinansować kogoś, kto rzuci nieposłusznym wyzwanie. Dzięki niemu mają praktycznie nieograniczone fundusze.

Inna sprawa, że jeśli stan gospodarki mocno się pogorszy, to nawet wsparcie Muska może nie zapewnić wygranej kandydatom MAGA.

Jest stary. Liczę na J.D. Vance’a

Zgromadzeni w salce w Fox Chapel machają ręką, kiedy pytam o dywagacje Trumpa o trzeciej kadencji.

– Musisz zrozumieć jego poczucie humoru. Myślę, że on to opowiada tylko po to, żeby obserwować, jak ludzie się burzą. Ja nie chcę, by rządził dłużej. Kiedy upłyną jego cztery lata, liczę na J.D. Vance’a – mówi z bliskim w oku Betsy Harrison, ta od firmy badającej drgania.

Według sondażu YouGov dla „The Economist” tylko – albo aż – 17 proc. Amerykanów uważa, że prezydent powinien spróbować utrzymać się przy władzy po 2029 roku. Większość wyborców Demokratów obawia się, że spróbuje. Większość wyborców Republikanów sądzi, że nie.

Jeśli zgodnie z wolą narodu odda władzę – albo zostanie do tego zmuszony – to zapewne namaści następcę. Naturalnym kandydatem byłby wiceprezydent, czyli Vance. Nie tylko Harrison mówi mi o nim w superlatywach. Takiego entuzjazmu nie budzą ani Donald Trump junior, ani gubernator Florydy Ron DeSantis.

Ci, którzy nie należą do klubu MAGA, są w zdecydowanej mniejszości. Jak informatyk Steve Paff, który zdradza mi, że nigdy nie był przesadnym fanem Trumpa.

– On po prostu rzuca kilka granatów i patrzy, co będzie – kręci głową.

Przyszłedt tu pierwszy raz, bo jego żona kandyduje na radną i potrzebowała wsparcia.

– Poziom chaosu w kwestii ceł na pewno nie pomaga krajowi. Przywódca wolnego świata nie powinien tak podchodzić do sprawy, jeśli chce pozytywnych zmian. Miałem mieszane odczucia co do jego pierwszej kadencji. Na pewno dobrze, że zidentyfikował, jakim problemem są Chiny.

Gdy cytuję mu wypowiedzi Trumpa na temat trzeciej kadencji, odpowiada:

– Nie uważam, by on tylko żartował. Ale kraj na to nie pozwoli, więc na razie są bardzo się tym nie przejmuję. No i on będzie miał już 82 lata – w pewnym momencie musi przecież zejść ze sceny.

– To jaka przyszłość czeka Republikanów?

– Myślę, że stracimy Kongres. Zobaczymy, czy dalej będziemy stawiać na demagogów, czy znajdziemy kogoś bardziej konstruktywnego – rozkłada ręce Paff. ●



Z KRZYSZTOFEM VARGĄ
ROZMAWIA
DOROTA WODECKA
ZDJĘCIE
MATEUSZ SKWARCZEK /
AGENCJA WYBORCZA.PL

SZALEŃSTWO *Hipcia*

Współczesna kultura medialna i poppsychologia to elektroniczna wersja naszych nieustannie pouczających matek.

DOROTA WODECKA: Zastanawiam się, o czym jest twoja najnowsza książka...
KRZYSZTOF VARGA: ...też chciałbym wiedzieć...

...i chociaż pojawia się w niej Ananke, bogini uosabiająca nieuchronność losu, mnie się wydaje, że bohaterem jest również Chronos.
– Opowiadaj dalej.

Czas, który przemija, co u jednych powoduje łapczywe trzymanie się życia, wiare w iluzję miłości, patrz: Tomasz, a u innych wycofanie się z niego, mizantropię i aseksualizm jako filozofię codzienności, którą wynaję Wojtek Borsuk.
– Nie zapominaj, że jest jeszcze pies, którego antropomorfizuję.

Tak, Ziutek, o nim za chwilę. Bardziej mnie bowiem frapowało, ile twoi bohaterowie mają z ciebie.
– Widzę, że ciebie interesuje nie fikcja literacka, tylko prawdziwe życie. A mnie by interesowało, żebyś czytała tę książkę jako wymyśloną przez pisarza opowieść. Tymczasem od literatury wymaga się ścisłego związku z rzeczywistością, kiedy to literatura zawsze była polem fantazji, fikcji i wymyślania innych światów.

Czytanie książek z biografią autora jest jedną z metod krytyki literackiej, chociaż nie mam krytycznoliterackich ambicji.
– Literatura non-fiction sprawiła, że zaczęliśmy uważać, że fikcja literacka jest odzwierciedleniem życia autora, biografizm jest naczelną zasadą pisarstwa i świat przedstawiony w powieści musi się dokładnie zgadzać ze światem realnym.
Otóż nie musi. Żadną miarą nie musi. A nawet często nie powinien. Człowiek biorący wieczorem książkę do łóżka ma odpłynąć w inny świat, wykreowany przez autora, a nie sprawdzać, co on odzwierciedla z rzeczywistości.

Ale po lekturze twojego „Dziennika hipopotama” nietrudno zauważyć, że rozpisujesz albo powtarzasz historie miłości mężczyzny 50 plus do kobiety 30 plus. I czynisz to z dużą bezwzględnością wobec obojga. Śmiałam się niekiedy w głos.
– Już ci kiedyś powiedziałem, że Eros i Thanatos to najważniejsze tematy, którymi warto zaprzętać sobie głowę. Poza tym książka jest własnością publiczną od momentu, kiedy się ukazuje, i każdy ma prawo zinterpretować ją na swój sposób.

„Bogowie olimpijscy mówią prawdę o nas i naszych podłościach” – uważa skądinąd słusznie twój bohater. Tudzież to, że „coś, co dotyczy naszego życia, wydaje nam się wyjątkowe i skomplikowane, podczas gdy jesteśmy jednym z milionów w łańcuchu nieszczęśników”. Nie odczuwasz swojej wyjątkowości już choćby z tego powodu, że jesteś pisarzem?
– Każdy, kto ma odrobinę rozsądku, dobrze wie, że w świecie, gdzie mieszka 8 miliardów ludzi, czy w Polsce, gdzie mieszka ich prawie 40 milionów, ktoś, kto ma kilka tysięcy czytelników, i tak jest myśłą w dziurze. Nie można mieć z tego powodu erupcji ego, bo to byłoby śmieszne. Owszem, musimy sobie zracjonalizować nasze dramaty i uznać, że one są jednostkowe, wyjątkowe i dotyczą wyłącznie nas na całej Ziemi. Ty jesteś wyjątkowa, on jest wyjątkowy i to, co między wami, jest wyjątkowe.

Zewsząd słyszymy afirmację, że jesteśmy wyjątkowi, chociaż Wojciech Borsuk uważa, że „wszystko da się wytłumaczyć przez mitologię, a niczego przez podręczniki pozytywnego myślenia”.
– Dodałbym jeszcze, że przekonanie o ludzkiej wyjątkowości bierze się nie tylko z nieznajomości mitów, ale też z narcyzmu, który jest znakiem naszych czasów.
Mieliśmy romantyzm i pozytywizm, mieliśmy modernizm i postmodernizm, a teraz mamy narcyzm.
Social media fantastycznie wyczuwają te narcystyczne potrzeby ludzi i sprowadzają nieszczęście na biednych instagramerów i instagramerki, którzy cierpią, bo mają mniej lajków niż inni albo gdy ktoś skrytykuje ich selfie.

Ciebie akurat nie ma w socialach.
– Miałem intuicję, jaką ma normalny człowiek stojący przed speluną, z której dobiegają straszliwe wrzaski. Wiadomo, że jeśli wejdzie do środka, to dostanie w zęby, zanim zdąży cokolwiek powiedzieć.

Dlaczego uważasz za jałowe dyskusowanie z ludźmi, których nie widziałeś na oczy?
– Dlatego, że w osobiste dyskusje wchodzę z osobami, które znam. Nie mam ambicji posiadania 5 tysięcy znajomych na Fejsie, z czego 4 tysięcy 800 w życiu niewidzianych na oczy. To utopia, że można stworzyć spo-

Mieliśmy romantyzm i pozytywizm, mieliśmy modernizm i postmodernizm, a teraz mamy narcyzm

łeczność bliskich sobie ludzi spośród tych, z którymi nie łączy cię osobiste doświadczenie.

A może po prostu boisz się dostać w zęby?
– Co innego jest znaleźć się tam, doświadczyć sądów kapturowych, nienawiści, pogardy i wycofać się, ogłaszając publicznie detoks od social mediów, a co innego w ogóle nie zakładać tam sobie profilu.
Sądy kapturowe w sieci są wywiedzione z poczucia własnej wyższości moralnej, która jest dla ludzi bardzo silną emocją. I z potrzeby dokonania linczu, również nieobcej ludzkości. Oglądałaś „Nie obchodzi mnie, czy przejdziemy do historii jako barbarzyńcy” w reżyserii Radu Jude?

Na festiwalu Nowe Horyzonty zapowiadał, że historia filmu koncentruje się wokół reżyserki, która próbuje przeprowadzić teatralną rekonstrukcję zdobycia Odessy w 1941 r. przez armię rumuńską i hekatombę ludności żydowskiej.
– Rekonstrukcja odbywała się na placu w Bukareszcie i brali w niej udział statyści udający Żydów, żołnierzy rumuńskich i niemieckich. Statyści przebrani za rumuńskich żołnierzy zapędzają Żydów do stodoły, którą za chwilę podpalą, na niby rzecz jasna. I w ramach tej rekonstrukcji jeden ze statystów udających Żyda ucieka, a wtedy publiczność łapie go i odstawia z powrotem do stodoły.
Widzowie, zamiast płakać nad nędzą własnego narodu i wstydić się, że ich pobratymcy mordowali Żydów, bezrefleksyjnie poddają się emocji, że skoro Żyd ucieka, to trzeba go złapać i odstawić na miejsce, gdzie dopełni się jego los. I to jest chyba odpowiedź na pytanie, dlaczego ludzie chcą linczować innych ludzi.
A social media dają możliwość budowania wirtualnych stosów.

Płoną w jednym miejscu zaledwie kilka godzin.
– No tak, ale pomyśl, jakie są konsekwencje dla psychiki ludzi, którzy zostali na tym stosie spaleni albo złapani, kiedy próbowali uciekać, i wepchnięci z powrotem do stodoły.
Każdy człowiek powinien napisać na swoim wallu: „Jestem moralną miernotą tak jak wy wszyscy, bo każdy z nas ma za sobą zawstydzające upadki moralne”.

Twój bohater jest mizantropem.
– Jego mizantropia wynika nie z charakteru, tylko z rozczarowania ludzkością. Jest ścieżką filozofii życiowej. Nie chce tracić czasu na relacje międzyludzkie, które nic nie wnoszą do jego życia, i uważa, że życie z psem jest duchowo bogatsze niż życie z ludźmi.

Tak na marginesie, spokój ducha zawdzięcza nie tylko Ziutkowi i mizantropii, ale też relanium zmieszanym z hydroksyzyną. Gdyby był kobietą, dostałoby mu się na Fejsie na przykład, że decyduje się na psiecko.
– I zamiast wychowywać gromadkę dzieci, zajmuje się psem, ewentualnie kotem, co jest społecznie nieproduktywne. Społeczeństwo narzuca ci obowiązek: masz się rozmnożyć. Są ludzie, którzy wyzwalają się z tej społecznej opresji i nie czują obowiązku spełnienia się jako ojciec czy matka. Pokolenie naszych rodziców traktowało prokre-

ację jako obowiązek. Posiadanie dziecka nie musiało wynikać z potrzeby jego posiadania albo zacieśnienia związku z drugą osobą, tylko trzeba było odrobić pracę domową.

Dziś dzieci albo wnuki tych rodziców słyszą, że są egoistami.
– Konstrukt społeczny polega na tym, że jeżeli ktoś się nie dostosowuje do ogólnie przyjętej normy, to znaczy, że jest egoistą, czyli nie spełnia obowiązku.

Ty nie masz dzieci.
– Tak się ułożyło. Nie jestem antynatalistą. Nigdy się nie spieszyłem z tą decyzją, bo Béla Varga miał 46 lat, kiedy został moim ojcem, a Pablo Picasso miał lat 80, gdy spłodził dziecko. Więc było trochę czasu i szedłem przez życie, a jego kolejne rozdziały były pisane pracą zawodową, moimi książkami, znajomościami i związkami. Nie czułem imperatywu, żeby tworzyć rodzinę, a wydaje mi się, że wiele rodzin powstaje z powodu jego poczucia. Poznaliśmy się, zaiskrzyło, powinniśmy się pobrać, stworzyć rodzinę, mieć dziecko.

A potem się rozstać. Twój bohater powiada, że „lepiej być samotnym i niekochanym niż upodlonym i zapłakany”. Ciekawi mnie współzależność miłości, honoru i godności. Punkt ich przecięcia, który okazuje się krytyczny. Co myślisz o honorze? Jakie są jego granice w miłości?
– Chyba samoobrzydzenie. Bo wyobraźmy sobie, że jesteś zakochana, a w związku z tym gotowa na ustępstwa. I wtedy honor chowasz do kieszeni. Ale kiedy te ustępstwa nie okażą się efektywne, wówczas myślisz, że splamiałaś swój honor. Więc ja nie wiem, czy to jest granica, za którą nie idziesz, czy też możesz ją przekraczać i nie zawracać sobie tym głowy, jeśli to, co robisz, przynosi skutek. Wiesz co?

Tak?
– W książce, o której rozmawiamy, jest jedno zdanie, które może być odpowiedzią. To nie jest moje zdanie, tylko Chateaubrianda.

Zapisałam je: „Prawdziwe szczęście niewiele kosztuje, jeśli jest drogie, niedobrego jest rodzaju”.
– Jeśli miłość za dużo nas kosztuje, to znaczy, że jest ściemną.

Przecież trzeba dbać o przyjaźń, o miłość, o relacje. To kosztuje.
– Chateaubriand był nieprawdopodobnym narcyzem i egotykiem. Jego „Pamiętniki zza grobu” są wspaniałą książką, ale to popis bezgranicznej miłości własnej. Facet nie mógł wyjść z podziwu, jaki jest doskonały. Więc myślę, że on był przede wszystkim szczęśliwy z tego powodu, że obcował sam ze sobą.

A co ty znajdujesz dla siebie w jego zdaniu?
– Nie musisz dokonać rzeczy niezwykłych, żeby ktoś cię lubił albo kochał. Nie dlatego jesteś kochany, że wspinasz się na Mount Everest, jednocześnie skacząc na bungee, zarabiasz gigantyczne pieniądze, jesteś sławny i obsypujesz innych złotem. Miłość i przyjaźń sprowadza się do akceptacji.

Bo „miłość powinna być zbudowana na pewności, a nie na codziennym lęku”.
– Widzę, żeś się przygotowała, ale przypominę, że to słowa mojego bohatera.

Dostrzegam, że mimo sarkastycznych uwag na temat relacji miłosnych tęskni za tą miłością...
– ...wszyscy tęsknimy...

...i powiada: „Człowiek pragnie przyjaźni, miłości i wzajemnego zrozumienia”.
– Wiesz, dlaczego lubię hipopotamy?

Nie każ mi zgadywać.
– Bo są bardzo terytorialne i bronią swoje miejsce na ziemi. Być może po zwierzętach odziedziczyliśmy stadność i każdy potrzebuje mieć własne, nieduże stado. Nie rodzinę jako podstawową komórkę społeczną, tylko stado. To jest biologiczna potrzeba, żeby mieć się do kogo przytulić. Żeby był obok ciebie ktoś, kto ma do ciebie dobry stosunek. Boże, co ja opowiadam!

Wzrusza mnie, co mówisz, tak jak wzruszają mnie takie tęsknoty.
– To sobie zanotuj, bo się nadają do sztabucha. Tu Paulo Coelho, a tu Krzysztof Varga.

E tam. A co myślisz o oddawaniu własnej wolności?
– Wodecka! Do czego ty mnie zmuszasz?!

Naprawdę chcę wiedzieć, jak traktujesz gotowość na ustępstwa w relacji miłosnej.
– Bardzo prosto. Dawanie komuś szczęścia jest rezygnacją z części siebie. To jest przecież, Dorota, straszny banal, który powtarzają w każdym wywiadzie psycholodzy: relacja z drugą osobą jest odebraniem sobie kawałka wolności własnej. Przeczytałaś to z tysiąc razy i pytasz o to?

Ale czytałam też, że nie możesz wymagać od kogoś, żeby rezygnował dla ciebie ze swojej wolności. I zastanawiałam się, gdzie jest granica oczekiwań wobec drugiej osoby.
– Współczesna kultura zasypuje nas sprzecznymi komunikatami i stąd się biorą nasze problemy. Codziennie słyszymy, jaką wartością jest wolność, a z drugiej strony dowiadujemy się, jakie błędy popełnia się w swoim życiu, korzystając z tej wolności.
W dodatku jesteśmy bombardowani nieprawdopodobną ilością informacji z całego świata i ze wszystkich dziedzin. Odpalam portal informacyjny i widzę totalny relatywizm informacyjny. Dramat wojenny

stoi obok nowej fryzury celebrytki. Tragedia ludzi ginących w katastrofie obok przepisu na pierogi. Internet zabrał tradycyjnej prasie hierarchię ważności. Kiedyś w „Wyborczej” decydowaliśmy, że na jedynkę dajemy coś nie dlatego, że to się świetnie czyta, tylko dlatego, że to jest ważne. Dziś się ta hierarchia jest płaska. Nie jesteśmy w stanie uporządkować naszego świata.

I musimy znaleźć sobie niszę, żeby nie zwariować?

– Myślę, że tak. Nie będę się przejmował ani wojną, ani dramatem celebrytów, ani wyborami, odwalcie się wszyscy ode mnie.

I kiedy myślę o bohaterach polskiej kultury, to wydaje mi się, że na dzisiejsze czasy nie jest ani Kmicic, ani Wokulski, tylko Felician Dulski, który w ostatniej scenie „Moralności pani Dulskiej” mówi: „Dajcie wy mi wszyscy święty spokój!”. Myślę, że ta emocja będzie w ludziach narastać, bo nie lubimy być pouczani, a tak się czuje odbiorca mediów. Słyszy, jak ma żyć, jak budować związki, jak się odżywiać, jak się kochać, jakim być mężczyzną, jaką być kobietą. Nieustanne pouczanie.

Nie sądzisz, że ludzie potrzebują wskazówek, jak żyć?

– Współczesna kultura medialna i pop-psychologia to elektroniczna wersja naszych nieustannie pouczających matek. Matek mówiących nam, co mamy robić, a czego nie robić. Nie wiem, jak ty miałaś, ale doświadczenie moje i wielu osób, które znam, jest takie, że matki wciąż mówiły: „Nie nadajesz się, nie poradzisz sobie, jak tego nie zrobisz tak, jak ci mówię”.

No tak, a wspaniali ojcowie zwykle byli milczący. Ty pamiętasz ojcowskie wskazówki życiowe?

– Owszem, pamiętam. Okazały się bardzo cenne. Ojciec powiedział mi, żebym nigdy nie kupował używanego samochodu.

Wybacz, że się zaśmiałam.

– Przecież tę radę można przenieść na wiele innych rzeczy.

Twoja mama nie dała ci żadnej życiowej wskazówki?

– Przedstawiała mi dobre wzorce versus moje zło. „Iwotka ma same piątki, córka Malinowskiej świetnie się uczy, Piotruś, syn sąsiadów, jest taki mądry i grzeczny, a ty?”. To miało być motywujące, jak sądzę. Kiedyś na podwórku dopadłem Piotrusia. Rzuciłem go na trawnik, tłukłem pięściami, a przecież te razy należały się mojej matce, a nie porządnemu Piotrusiowi.

Chociaż jej uwagi były jednak motywujące, bo jak mówiła: „Daj sobie spokój z pisanie, z tego się nie utrzymasz, nie poradzisz sobie”, to ja tym bardziej pisałem.

Myślisz, że rozczarowałeś rodziców?

– Chyba nie. Po śmierci ojca znalazłem w jego papierach moje opowiadanie, które napisałem w szóstej klasie podstawówki. Możliwe, że on odczuł pewną dumę ze mnie. Umarł 20 lat temu.

To jego śmierć uzmysłowiła ci, że nic nie jest dane na zawsze?

– Nie była to śmierć niezapowiedziana, bo miał raka, ani zaskakująca, bo nigdy nie opuściła mnie świadomość, że nasze życie jest skończone. Ale kiedy wezwany w środku nocy przez matkę do ich mieszkania podnosiłem martwe ciało ojca z podłogi, miałem do czynienia ze śmiercią twarzą w twarz.

I pomyślałem, że jeśli mogę zrobić coś dla mojego ojca, to pojechać do Budapesztu i żyć tam przez rok. Wziąłem sabbatical i wróciłem do pisania, które wcześniej porzuciłem. Etat, który miałem w „Wyborczej”, dawał mi wtedy nie tylko bezpieczeństwo finansowe, ale też napęd i poczucie sensu. Prawdopodobnie gdybym nie dostał urlopu i nie wyjechał, nie napisałbym „Gulaszu z turula” i nie zdarzyłoby się wiele innych historii.

Jesteśmy pokoleniem etatowców. Z podziwem patrzyłam na młodych ludzi, którzy gotowi byli co rusz zmieniać pracę. Nie obawiali się zmian, chociaż niektórzy nie mieli wyjścia.

– Nasi rodzice przez całe życie pracowali w jednym miejscu, a kiedy dostali przydział na mieszkanie, to żyli w nim do śmierci. I wpoili nam, że posiadanie stałej pracy jest podstawą życiowego bezpieczeństwa. Kiedy Tomasz Lis zaproponował mi transfer do „Newsweeka”, to miałem tylko jeden warunek. Etat.

Według najnowszych badań pokolenie Z, czyli ludzie urodzeni w latach 1995-2012, preferuje zatrudnienie na etatach.

– Wiara, że będziemy nomadyczni, upadła, a była bardzo silna. Pandemia pokazała, że

– Nie było rzeczywiście innego wyjścia, ale zapomnieliśmy o tym, że historia świata jest sinusoidą. Jest historią wojen przerywanych pokojem, kolejnych epidemii przerywanych progresem medycznym. Zapomnieliśmy, że ludzkość nosi w sobie nieusuwalny gen autodestrukcji. Uwierzyliśmy w socjotechnikę, że tę ludzkość da się wyedukować i naprowadzić na słuszne tory myślenia i działania.

Przekonanie, że zawsze można się dogadać, że wojny można wyeliminować, ponieważ dyplomacja, globalny handel i konsensus są nadrzędnymi wartościami, okazało się kolejną uludą. Ja jestem pogodzony z myślą, że będziemy tu mieli wojnę. Koło historii jest już tak rozpędzone, że nie da się go powstrzymać.

Jeżeli ktoś uważa, że jego życie jest przegrane przez feministki, przez Żydów czy przez jaszczury z kosmosu, to jest to drugorzędne wobec tego, jakie będą konsekwencje jego wściekłości

można ograniczyć możliwość przemieszczania się obywateli. Za chwilę umrze strefa Schengen, bo kolejne kraje będą wprowadzać kontrolę na granicach albo reglamentować czas pobytu cudzoziemców. Złota epoka Europy bez granic, pracowania z dowolnego miejsca w świecie, swobodnego zmieniania pracy, nieustannego samodoskonalenia się mija.

Świat wraca do swoich ustawień fabrycznych, bo aktualizacje się jednak nie sprawdziły.

Twój bohater również to sobie uzmysławia.

– Rozlicza się ze swojej naiwności i zaczadzenia, które było zaczadzeniem pokoleniowym formacji dorastającej po zmianie systemu politycznego w Polsce. Naiwna wiara w nieustający postęp, w rozwój i nowy wspaniały świat okazała się fałszem.

Religia rozwoju?

– Tak, religia rozwoju, bogacenia się i wiecznego zdrowia. Pamiętasz reklamy usług i leków ze zdjęciami uśmiechniętych zdrowych seniorów ze śnieżnobiałymi zębami? Tak miała wyglądać nasza starość, a tymczasem dominującym modelem seniora jest wdowa z nędzną emeryturą. Ta schorowana, samotna staruszka jest prawdą o świecie, a nie zrobiony komputerowo senior z cudownymi zębami. Czy miałaś w dzieciństwie idiotyczną pokusę przyklejenie języka do zamrożonej kłamki?

Oczywiście, ale jej nie uległam.

– Ja to zrobiłem.

I co?

– No, było to bolesne. Oderwałem język razem z kawałkiem skóry. Rozsądek powiada ci, że to jest idiotyczne, ale pcha cię jakaś ciemna siła, której nie umiesz się przeciwstawić, i przyklejasz ten język. Wydaje mi się, że my wszyscy przykleiliśmy język do zamrożonej kłamki, a później boleśnie go odrywaliśmy i do tej pory nie wiemy, dlaczego go przykleiliśmy.

Cóż było robić innego?

Katastrofizm cię dopadł. Ja wolę wierzyć w skuteczność dyplomacji, rozmów i konsensus. Nie chcę patrzeć w ciemność.

– Nie zmuszam cię do patrzenia w ciemność, ale sugeruję powtórkę z historii. I wojna światowa wybuchła w momencie, kiedy teoretycznie nikt jej nie chciał. Kiedy się zorientowano, że nadchodzi, nikt nie potrafił jej powstrzymać, bo koło historii już się toczyło. Po I wojnie światowej nadszedł krótki moment refleksji, że niemożliwe jest, aby nastąpiła kolejna rzeź, ale resentment, poczucie skrzywdzenia, frustracji, miliony nieszczęśliwych ludzi, którzy przegrali życie, spowodowały, że domagali się rewanzu. W związku z tym ja żyję w przekonaniu, że wojna wcześniej czy później do nas dotrze.

Kilkanaście lat temu zadzwoniłam do Karla Dedeciusa. Na koniec rozmowy powiedział, że gdyby był młodszy, to zaprosiłbym mnie do siebie, by bliżej się poznać, ale „już nie ma czasu, by się zaprzyjaźnić”. Wydaje mi się, że mam podobnie.

– Będę się bronił przed pozycjonowaniem mnie jako kładącego się do trumny. Mam sporo znajomych, którzy się pojawili w moim życiu niedawno, a relacje z innymi odeszły w cień. Na pewno masz w swoim życiu przyjaźnie, które się skończyły, bo przestaliście nadawać na tej samej fali.

Nie czujesz się wtedy winny zaniedbania?

– Jeśli czegoś ewidentnie nie spieprzyłem, to nie. Przyjaźń idzie własną drogą. Jedne się nie kończą, a inne się kończą.

Utrzymujesz relacje z kolegami z klasy?

– Chodziłem do męskiej szkoły katolickiej pod wezwaniem św. Augustyna, więc nasze relacje były szczególne. Szkoła była specyficzna, na swój sposób elitarna, bo tylko dla chłopców. Przed lekcjami i na koniec dnia odmawialiśmy modlitwy, mieliśmy apele religijne i pielgrzymki, a to wszystko działo się w czasach komuny, bo maturę robiłem za Jaruzelskiego.

Po maturze spotykaliśmy się cyklicznie i widziałem, jak koledzy z klasy stawiali się bogatymi facetami. Budowali rodziny, mieli dzieci, biznesy i pracowali za duże pieniądze.

dze. W bankach, agencjach reklamowych, w kancelariach prawniczych. Kiedy przychodziły kolejne kryzysy, wielu z nich rozwalalo się życie, kariery biznesowe zaczynały podupadać, małżeństwa się sypać, a optymizm wyciekać. I spodziewam się, że gdyby musieli podsumować swoje życie, to byłoby to bardzo gorzkie podsumowanie.

Dlatego że kariery i małżeństwa im się rozsypały?

– Dlatego że w punkcie wyjścia panowało przekonanie, że tutaj nic się już nie może zepsuć. Zapomnieliśmy, że życie jest procesem, w którym zmieniają się zasady gry. Bezpieczeństwo finansowe, szczęście rodzinne i komfort życia nie są dane na zawsze.

To oczywiste przecież.

– Ale czy ty myślałaś tak zawsze?

Może w ustawieniach fabrycznych są jakieś plusy?

– Nie wiem, czy ja widzę plusy, dlatego że dla mnie jednym z najważniejszych doświadczeń życiowych było przekraczanie granic bez kontroli granicznej.

Jeździłem wiele razy na Węgry i pamiętam te upokarzające kontrole graniczne. Wybebeszanie toreb, rozrzucanie bielizny i ubrań. Nie jestem skłonny do wielkich wzruszeń, ale kiedy po raz pierwszy z Warszawy do Budapesztu przejechałem przez trzy granice, ani razu nie będąc kontrolowanym, to było mocne przeżycie.

Dla kolejnych pokoleń było oczywiste, że jeśli ktoś chce polecieć do Lizbony, to kupuje bilet i leci. Kiedy do głosu dochodzą izolacjoniści, takie przemieszczanie się będzie coraz trudniejsze. Skrajna prawica się pase – Konfa w Polsce, AfD w Niemczech, Vox w Hiszpanii czy Zjednoczenie Narodowe we Francji. Wyobrażam sobie, że w perspektywie kilku lat kraje Europy będą się zamykać. I dopóki jest się turystą, który zostawia pieniądze w takim kraju, to OK, ale swobodne przepływy ludzi będą się kończyć. Żyliśmy w pięknej, bo nienormalnej sytuacji.

Co poszło nie tak?

– Jednym z największych problemów współczesności jest śmierć metafizyki. Przystaliśmy myśleć ontologicznie. Nie zastanawiamy się nad istotą bytu. Wszystko jest wiecznym teraz. A przecież kiedy się zastanowisz nad swoją rolą w świecie, nad tym, że jesteś jedną z 8 miliardów osób, absolutnie anonimową, a twoje życie jest mgieniem, to...

...to czujesz się spokojniejszy?

– Tak. Perspektywa metafizyczna daje świadomość, że wszystko jest chwilą, która przemknie.

Jak freski w domu rzymskiego patrycjusza w „Rzymie” Felliniego.

– To jest wspaniała scena! Widziałaś?

Piszesz o niej.

– Na budowie rzymskiego metra świder drążący tunele przebija się do pustej komory. Budowniczowie wchodzi do środka, odkrywają tam starożytną willę i widzą malowidła ściennie przedstawiające rodzinę patrycjusza. Uwięzione w komorze próżniowej malowidła przetrwały 2000 lat, ale pod wpływem zanieczyszczonego powietrza zaczynają znikać, tak jak zniknęła pamięć o ludziach tam sportretowanych. I my też znikamy. I nasze instagramowe malowidła również znikną.

Jesteś ateistą.

– Uhm.

Gdzie zaspokajasz swoje potrzeby duchowe? Tylko nie mów, że w literaturze.

– W refleksji, która wraca i trzyma mnie w pionie, że jednak vanitas vanitatum et omnia vanitas.

Ale w człowieku, jak zauważyłeś, jest potrzeba sacrum. Gdzie ją sycisz?

– W gotyckich katedrach i opactwach romańskich rzeczywiście dotykam absolu- tu, co nie zmienia mojej perspektywy ate- istycznej. Jednak największe dotknięcia metafizyczne przeżywałem, odkrywając ko- lejne menhiry. Oczywiście byłem dwa razy w Carnac, w miejscu, gdzie tych pozostało- ści po kulturze neolitycznej jest najwięcej, ale w ostatnich latach szukałem ich w in- nych częściach Bretanii.

Opisałeś swoje podróże po Francji w „Ostrygach i kamieniach”. Czy rozwa- lała cię budowla, o której niewiele wie- my, pustka, w jakiej jest osadzona, czy przemijanie właśnie?

– Stawiano je w pewnym porządku, który nie jest dla nas jasny, i w konkretnych miej- scach, które też były wybierane z niezna- nych nam powodów. Myślałem o ludziach, którzy je stawiali. Szukaliśmy z Ewą rów- nież dolmenów, czyli grobowców neolitycz- nych sprzed 6 tysięcy lat.

O ile o budowniczych gotyckich katedr mogą się czegoś dowiedzieć, tak o twórcach grobowców z epoki kamienia oraz aligne- ments, czyli równych rzędów menhirów ustawionych w przemyślany sposób, nie wiem nic. Przeminieli. Zostały po nich tyl- ko kamienie. Stojąc pośród menhirów, czu- łem muśnięcie absolutu. Nie oczekuj, że uj- mę to dokładnie, bo absolut to nieokreślo- ne i nienazwane.

I to doznanie nie klóci ci się z ateizmem?
– Mnie chodzi nie o to, że nazwiesz kogoś Bogiem czy Boginią, tylko o wyższy porzą- dek. Absolutem może być kosmos, wszech- świat oraz czas. Przecież jak człowiek sły- szy słowo „wszechświat”, to może postra- dać zmysły.

To prawda.
– Wyobraź sobie, że coś nie ma końca. Cho- ciaz jeszcze gorsze jest uświadomienie so- bie, że wszechświat ma swoje granice. Bo co jest poza granicami wszechświata? Umieszczenie naszej planety we wszech- świecie i zobaczenie, że jest jak główka od szpilki, piksel wśród miliardów innych pik- seli, uświadamia ci naszą marność i nie- ważność. I doprawdy cały Instagram z Tik- Tokiem przy tym wymiękają. Wszystko wy- mięka.

Czy ty czujesz się powoli wyoutowywany ze świata? Unieważniany?
– Nie, ale przez kogo i jak?

Przez kulturę promującą piękno i mło- dość.

– Nie czuję, że stałem się nieważny, bo ni- gdy nie czułem, że jestem specjalnie ważny.

Opisujesz ciała starzejących się męż- czyzn. Czulaś wdzięczność, że nie pa- stwisz się nad starzeniem się kobiet, bo nie potrafisz wyrzucić z głowy niektórych zdań napisanych w tym temacie przez polskich pisarzy.

– Piszę o ciałach starzejących się mężczyzn, bo w szatni na basenie widzę pełen prze- krój męskich ciał. Pływam relaksacyjnie, dla podtrzymania funkcji życiowych. Pływa- nie czyści mi głowę, ale ci w średnim wieku traktują pływanie zadaniowo. Mają stopery na rękach, pasy oporowe, zakładają pletwy i napieprzają po torze z lewa na prawo.

Tomasz też kupuje wypasiony sprzęt do biegania. Buty, koszulki oddychające, zegarki i tym podobne. Zastanawiam się, czy to nagle zamilowanie mężczyzn do sportu wynika z kryzysu wieku średnie- go?

– A kobiety to nie biegają?

O kryzysie wieku średniego niewiele ci powiem, podobnie jak o nowej męskości.

Przecież i o tym jest „Śmiejący się pies”.
– Większość mądrości w tym temacie bie- rze się z czytania prasy. Jeżeli mój boha- ter mówi o mężczyznach, którzy muszą być i twardzi, i subtelni, i macho, i wrażliwi, ma- ją cuchnąć benzyną, a zarazem być czyści i pachnący, to bierze się to z mojego czyta- nia. Bo media grzeją ten temat non stop.

Nowa męskość, kłopoty z męskością, kry- zys męskości i tak dalej. W tej kwestii czło- wiek również otrzymuje sprzeczne komuni- katy. Raz mężczyzna powinien mieć brodę, innym razem być bez brody. Kobieta czyta, że ciało musi być sprężyste, zdrowe, szczu- płe, a chwilę później dowiaduje się, że bycie XXL jest super.

Wszyscy są opresjonowani informacjami na temat tego, jakie ciało ma być, jakie jest akceptowalne i jak pokochać swoje ciało.

Przejmujesz się tym?
– Jak myślisz?

Trochę jestem rozzarowana, żeś wyczy- tał swoje mądrości na temat mężczyzn w mediach, bo znalazłam diagnozę, która wydała mi się nie dość, że trafna, to jed- nak autorska. Przeczytać ci?
– Czytaj.

„Kobiety nie chcą niewydukowanych facetów z marnymi zarobkami, utrzymu- jących się ze śmieciowej pracy i doryw-

czych zajęć, mężczyzn pełnych pretensji i roszczeń. Niestety fakt, że te postępowe i coraz bardziej świadome swojej war- tości kobiety odmawiają dawania dupy sfrustrowanym facetom, sprowadzi na nas niewyobrażalną tragedię: wielką rewolucję niedojebanych mężczyzn z chujowymi poglądami politycznymi”.
– Gadamy tyle godzin, a ty uparcie starasz się mnie wcisnąć w kostium mojego bohatera. To są jego słowa.

Nie dostrzegasz mężczyzn obwiniających feministki za swoje nieudane życie?

– Jeżeli ktoś uważa, że jego życie jest prze- grane przez feministki, przez Żydów czy przez jaszczury z kosmosu, to jest to drugo- rzędne wobec tego, jakie będą konsekwen- cje jego wściekłości.

Bo ta wściekłość musi znaleźć ujście. Ale feminizm też nie jest bez winy.

Co ty nie powiesz?

– Rosnąca liczba mężczyzn, którzy odnajdu- ją się w Konfederacji, jest efektem tego, że oni również powiedzieli: „Odwalcie się ode mnie”. To, że jestem białym, heteroseksual- nym facetem, nie znaczy, że jestem winien wszystkiemu. A czułem, że ktoś mi wciąż tłumaczy, że jestem winny.

Ty? Winny? Czego?

– Winny istnienia kolonializmu, niewolnic- twa, patriarchatu, winny temu, że jestem fa- cetem. To zresztą czysta mizoandria.

No i ta z lubością powtarzana fraza o „toksycznej męskości”! Wystarczy już słu- chania, że jestem uprzywilejowany z ra- cji swojej płci, orientacji seksualnej, kolo- ru skóry. Dlatego rozumiem tę emocję mło- dych konfederatów, pomijając ich obłąkań- cze poglądy polityczne i fascynację Mentze- nem jako gwiazdą internetu.

Ale biali heteroseksualni mężczyźni byli przez wieki uprzywilejowani i wydaje mi się, że i ty musiałeś się na to uprzywilejo- wanie załapać.

– Urodziłem się w 1968 roku w kraju, gdzie wszyscy byli biali. I nigdy nie czułem z tego powodu uprzywilejowania.

Jeżeli mówimy, że młodzi Niemcy nie po- noszą odpowiedzialności za zbrodnie dziad- ków, to ja nie ponoszę odpowiedzialności za zbrodnie kolonizatorów. Mężczyźni, którzy idą za Konfą i będą szli za skrajnymi prawi- cowymi partiami, mówią: „Nie jestem wi- nien temu, że jestem, jaki jestem”.

Oni oczywiście mają swoje frustracje seksualne wynikające z algorytmów Tinde- ra, ale dopóki nie założysz sobie Tindera, to

algorytm ci życia nie schrzani, prawda? Czy- li wracamy do social mediów, a ponieważ o tym już dziś było, możemy kończyć.

Nie porozmawialiśmy o psie!

– A to jest kwestia jak najbardziej osobista. Bo moja książka wzięła się stąd, że przez ja- kiś czas zajmowałem się Hipciem.

Psem mojej przyjaciółki.

– Zatem pamiętasz, że złamała nogę i cho- dzila w ortezie, a trudno w takiej sytuacji schodzić trzy razy dziennie z czwartego pię- tra, by wyprowadzić psa. Dlatego Hipcio za- mieszkiał u mnie. I prawdą jest, że w okolicy pojawiła się suka z cieczką, co mu zryło be- ret dokumentnie. Wyl jak wilk. Na spacerze trzymałem go na krótkiej smyczy, bo usilo- wał się wyrwać. Bałem się, że gdzieś pobie- gnie, więc tylko siku, kupa i do domu.

Bidulek.

– Wiedziałem, że nie mam nad nim kon- troli, bo skoro natura wymyśliła, że suka z cieczką doprowadza do szaleństwa psy, to Hipcio był wobec niej bezradny. Któregoś dnia zadzwonił do mnie Michał Cichy. Opo- wiedziałem mu, że siedzę w domu z psem, który wyje i szaleje, co Michał skwitował krótko: „Napisz o tym”.

Tomaszowi zryło beret jak Hipciowi.

– Nie było trudno przenieść zachowania Hipcia na ludzi. Zapominamy o tym, że w zderzeniu z kulturą natura ma jednak mocniejsze karty w ręku. Historia ludzko- ści jest próbą okiełznania natury, ale osta- teczne zwycięstwo zawsze jest po stronie tej drugiej. ●

Krzysztof Varga

• pisarz, felietonista. Przez ponad ćwierć wieku redaktor, recenzent i felietonista „Gazety Wyborczej”. Od końca 2020 roku pisze w „Newsweeku”. Autor m.in. powieści „Nagrobek z lastryko”, „Trociny, „Masakra, „Sonnenberg”, trylogii o Węgrzech: „Gulasz z turula”, „Czardasz z mangalicą”, „Lan- gosz w jurcie” i książki podróżniczo-ese- istycznej o Normandii, Bretanii i Pikardii „Ostrygi i kamienie”. Właśnie w wyd. Czar- ne ukazała się jego powieść „**Śmiejący się pies**”



REKLAMA

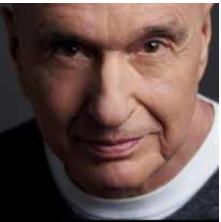
Kraj/34374466

ZAPRASZAMY
15-18 MAJA
PLAC DEFILAD 1



MIĘDZYNARODOWE
TARGI KSIĄŻKI
W WARSZAWIE
Republika Korei – Gość Honorowy

STOISKO
F1



www.wydawnictwoagora.pl



Wydawnictwo
Agora
dla dzieci



Wydawnictwo
Agora

W poszukiwaniu straconego domu

Rodzice wystawiają walizki za drzwi dzieciom, które osiągnęły pełnoletność, i mówią: **Teraz radź sobie sam.**



Z **AGNIESZKĄ SIKORĄ***,
ZAŁOŻYCIELKĄ FUNDACJI „PO DRUGIE”
ROZMAWIA **AGNIESZKA JUCEWICZ**

Kim jest młoda osoba doświadczająca bezdomności?

– Są różne. Najczęściej łączy ich brak domu – tego podstawowego ogniwa, które nas konstytuuje i daje nam siłę do budowania dobrej dorosłości.

Rozumiem, że kiedy mówi pani „brak domu”, to ma pani na myśli brak troskliwych, dających oparcie bliskich...

–...a nie fizycznych ścian. Bo w tej grupie są osoby, które jako dzieci przebywały w różnych instytucjach, ale też młodzi, którzy wychowali się w pięknych domach, z ogrodami. Mieli w nich swoje pokoje, a ich rodzice pieniądze, a jednak dziś te osoby też są bezdomne.

Jak do tego dochodzi?

– Bardzo różnie. Coraz częściej przyczyną są zaburzenia psychiczne.

Wśród uczestników naszego wsparcia są osoby, które chorują na przykład na schizofrenię paranoidalną, nigdy nieleczonej. Choroba powodowała u nich różne zachowania, lecz rodzice nie rozumiejąc tego, uważali, że dziecko robi im na złość, nie potrafi się dostosować, więc zamknęli przed nim drzwi.

Co jeszcze sprawia, że młody człowiek, który ma dom, rodzinę, trafia na ulicę?

– Przemoc – ze strony tej rodziny. Od zaniechania przez niedopuszczanie dziecka do lodówki po przemoc fizyczną czy wykorzystanie seksualne. Ale to może być też przemoc, którą stosuje ten młody człowiek wobec swoich bliskich.

Są również rodzice, którzy wybierają swój komfort albo nowego partnera czy partnerkę zamiast własnego dziecka.

Zdarza się, że rodzice wystawiają walizki za drzwi dzieciom, które osiągnęły pełnoletność, i mówią: Teraz radź sobie sam, sama?

– Zdarza. Co ciekawe, kiedy opisuję takie historie w serwisach społecznościowych, czasem spotykam się z reakcją, że to jest właściwie, że to jest ten moment, w którym powinniśmy oczekiwać od młodego człowieka, że sobie poradzi. Ma dwie ręce, dwie nogi – dlaczego miałoby być inaczej?

Mój syn ma w tej chwili 18 lat, czyli tyle, ile najmłodszy uczestnicy naszego wsparcia, i widzę, w jak trudnej sytuacji się oni znajdują. Owszem, mogą zrobić prawo jazdy czy kupić legalnie piwo, ale w większości przypadków do dorosłości jeszcze daleka droga.

Zatrzymajmy się przy tych młodych, którzy przebywali w pieczy zastępczej. Mniej więcej rok przed osiemnastką powinna zostać im przydzielona osoba, która pomoże im w usamodzielnieniu się. Jeśli się dalej uczą, mogą zostać w pieczy do ukończenia 25. roku życia, a jeśli już idą na swoje, dostają zapomóg pieniężny. Przysługuje im również prawo do mieszkania socjalnego. Pani mówi jednak, że niektóre z tych osób system „wypluwa” na ulicę. Jak?

– To jest tak skomplikowane, że nie wiem, czy to nie temat na osobną rozmowę, ale spróbuję choć trochę go zarysować.

Zauważyła pani, że tym młodym w pewnym wieku zostaje przydzielona osoba, która ma ich wesprzeć w usamodzielnieniu się. Czy my, gdy już mamy własne dzieci, myślimy w takich kategoriach: „O, mój syn,

moja córka mają już 16 czy 17 lat, czas pracować nad ich usamodzielnieniem się”?

Czy raczej pozwalamy im fajnie przeżyć ten okres, dajemy im różne narzędzia, żeby się mogli rozwijać, poznawać świat? Czy mówimy do naszego dziecka: „Niebawem będziesz musiał stanąć na własnych nogach, więc zastanów się, co będziesz robił, za co będziesz żył i jak to twoje dorosłe życie będzie wyglądało”? Przecież to, czego oczekujemy od dzieci z pieczy, to jest jakiś absurd!

Część młodzieży sama z niej ucieka. Bywa, że pracownicy domów dziecka czy rodzina zastępcza namawiają: „Zostań, jeszcze się możesz uczyć”, ale oni już tam nie chcą być. Mówią: „Mam 18 lat, poradzę sobie”. I sobie nie radzą, bo mają tylko wyobrażenie, którego nie mieli jak przetestować.

Oczywiście, nie każda historia kończy się na ulicy. Są osoby, którym udaje się dobrze wystartować w dorosłość, jednak do nas trafiają ci, którym się nie udało. My oglądamy rzeczywistość z tej ciemnej perspektywy.

Owszem, młodzież opuszczająca pieczę zastępczą otrzymuje jakieś wsparcie na początek. Dostają jednorazowo tzw. pieniądze na zagospodarowanie i usamodzielnienie się – w sumie jakieś kilkanaście tysięcy złotych oraz – jeśli dalej się uczą – pieniądze na kontynuowanie nauki, kilkanaście złotych miesięcznie. Ale trzeba pamiętać, że to są wciąż bardzo młodzi ludzie, którym się wydaje, że gdy mają w portfelu – powiedzmy – 15 tys., to są ustawieni na życie. Tymczasem zdarza się, że te 15 tys. znika w ciągu kilku tygodni. Czasem, bo sami je wydają, a czasem bo nagle pojawia się mamusia czy tatuś, którzy przez lata byli nieobecni, a teraz sobie przypominają o dziecku, bo ma pieniądze.

Często ci młodzi ludzie nie wiedzą, że coś się im w ogóle należy ani jak korzystać z różnych narzędzi systemowych. Od osób,

które się do nas zgłaszają, słyszymy: „No, pisaliśmy jakiś program usamodzielnienia, ale w sumie to nie wiem, o co chodzi i na czym to polega”.

Nie działa to tak, jak powinno.

A jak jest z mieszkaniami, do których te osoby mają rzekomo łatwiejszy dostęp?

– W Polsce rozwija się system wsparcia dla młodych osób opuszczających pieczę zastępczą czy instytucje resocjalizacyjne dla nieletnich, powstają mieszkania treningowe. Ale, po pierwsze, jest ich za mało. A po drugie, często do tych mieszkań są kierowani ci wychowankowie i te wychowanki, którzy nie sprawiają problemów, ci „lepsi”. I to jest trudne, bo wiele osób z tej grupy nie kwalifikuje się do takiej pomocy. Są zaburzone, mają kontakt z substancjami psychoaktywnymi albo weszły w konflikt z prawem. Niektóre z nich wymagają dużego zapiekania i właściwie całodobowej uwagi i dla nich tych miejsc nie ma.

Jednocześnie młodzież po pieczy teoretycznie łatwiej jest uzyskać już taką trwałą pomoc mieszkaniową, bo dostają dodatkowe punkty, dzięki czemu czas oczekiwania na mieszkanie komunalne czy socjalne się skraca. Co nie zmienia faktu, że czekać trzeba. Pytanie gdzie?

Ci „gorsi”, „trudni” trafiają do nas zwykle wtedy, kiedy tracą możliwość pobytu w placówce, ale zdarza się też, że zgłaszają się wcześniej.

Pamiętam dziewczynę, która przyszła jeszcze przed swoimi 18. urodzinami spytać, czy w razie czego będzie mogła skorzystać z naszej pomocy, bo podejrzewała, że dom dziecka nie przedłuży jej pobytu ani nie proponuje innego rozwiązania. I tak się stało. W dniu jej 18. urodzin odbyła się rada, która podjęła decyzję, że nie może tam dłużej zostać. Bez wątpienia dała się wycho-



FOT. GETTY IMAGES

wawcom we znaki, ale jak o tym pomyśleć, to jest jakieś nieładzkie.

Co by się z nią stało, gdyby nie wiedziała, że istnieje?

– Trudno powiedzieć. Być może trafiłaby do noclegowni.

Kiedyś, dawno temu, na stronie jednego z domów dziecka znalazłam „informację dla usamodzielniających się wychowanków naszej placówki”, a tam nazwy wszystkich lokalnych schronisk, noclegowni, ogrzewalni, jadłodajni, czyli miejsc dla osób doświadczających bezdomności. Rzeczywistość się zmienia, próbuje się coś tworzyć, natomiast bardzo przykre jest to, że tworzy się rozwiązania dla lepszych, a nie widzi tych, którzy są w naprawdę kryzysowej sytuacji.

Gdzie nocują młodzi doświadczający bezdomności, zanim trafią do was?

– Na ulicy, czasem u kolegów, czyli „raz jestem tu”, „raz tam”. Na klatkach schodowych, w nocnych autobusach. Niektórzy decydują się skorzystać z pomocy systemowej kierowanej do dorosłych osób doświadczających bezdomności, czyli właśnie noclegowni, schronisk.

Ostatnie „Ogólnopolskie badanie liczby osób bezdomnych” przeprowadzone w lutym 2024 roku i koordynowane przez Ministerstwo Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej wykazało, że w kryzysie bezdomności w Polsce były 31 tys. 42 osoby, w tym 1022 w wieku 18-25 lat – to grupa, której wy pomagacie. Z tym że te badania przeprowadza się metodą „point-in-time” („punktu w czasie”), czyli liczy się osoby niemające dachu nad głową jednej nocy, z 28 na 29 lutego.

– Co absolutnie nie odzwierciedla skali problemu. Do nas, czyli do jednej funda-

cji w Warszawie, przychodzi ok. 300 młodych ludzi rocznie. Oznaczałoby to, że trafia do nas prawie jedna trzecia młodych ludzi w kryzysie bezdomności z całej Polski. To nierealne, na pewno jest ich więcej. I każde rozwiązanie jest dla nich niebezpieczne.

Ulica jest niebezpieczna, bo uczy życia na ulicy, czyli tego, jak to zaakceptować, jak czuć się dobrze, wracając na swoją klatkę schodową. Uczy używek, przestępczości, a do tego naraża na wykorzystanie.

Instytucje skierowane do dorosłych z kolei nie są dostosowane do potrzeb młodego człowieka. Nie prowadzą oddziaływań wychowawczych, które są tej grupie bardzo potrzebne. Nie dają doświadczenia fajnej wspólnoty, ale też nie uczą poczucia obowiązku, odpowiedzialności, konieczności podejmowania wyzwań właściwych dla tego etapu życiowego. Nie twierdzą, że to są złe miejsca, ale to nie są miejsca dla młodych ludzi. Poza tym wciągają w bezdomność.

Pamiętam chłopaka, który wypadł z pieczy zastępczej w wieku 19 lat i zanim pojawił się u nas, trafił do schroniska dla bezdomnych z myślą: „będę tam tylko przez chwilę, szybko sobie ogarnę pracę, jestem młody, będzie dobrze”.

Opowiadał mi potem, że przyszedł tam taki zmotywowany, ale szybko się zorien-

Nagle pojawia się mamusia czy tatuś, którzy przez lata byli nieobecni, a teraz sobie przypominają o dziecku, bo ma pieniądze

tował, że starsi panowie wokół niego wstają rano, odbywają jakiś dyżur przydzielony przez schronisko typu obieranie ziemniaków, po czym już nic nie robią. Tak sobie żyją. I doszedł do wniosku: „A to może ja też sobie trochę odpocznę?”.

W ten sposób przeleżał dwa lata. Dziś już dobrze funkcjonuje, ożenił się, zresztą z uczestniczką naszego wsparcia, ale naprawdę długo zajęło, zanim z powrotem wskoczył na taki poziom myślenia, że jednak musi się za siebie zabrać: znaleźć legalną pracę, spłacić komorników, bo nabral kredytów w tzw. chwilówkach, wyprostować swoje sprawy, przestać kombinować. On i nie leżeć!

Jakie jest doświadczenie dziewczyn w noclegowniach i schroniskach?

– Na pewno są bardziej narażone na różne niebezpieczne zachowania i wykorzystanie. Dlatego, kiedy zgłasza się do nas 18- czy 19- latka, a my nie mamy wolnych miejsc, to i tak staramy się ją jakoś dokwaterować, choćby na suficie.

W ogóle ta młoda bezdomność bardzo się zmieniła w ostatnich latach. Kiedy zaczęliśmy, mieliśmy do czynienia głównie z młodzieżą przestępczą, zdemoralizowaną, z problemem uzależnienia. W tej chwili przybyło dużo osób chorujących i z zaburzeniami psychicznymi, co odzwierciedla w ogóle sytuację młodych. Więcej jest też osób z niepełnosprawnością intelektualną. Obie te grupy są bardziej narażone na wykorzystanie i przemoc.

Oferujecie różne formy wsparcia. Zaczniemy od Punktu Pomocowego, gdzie teraz jesteście.

– To jest miejsce, w którym spotykamy się z uczestnikami naszego wsparcia po raz pierwszy. Tu pytamy o jego sytuację, ale za-

nim to zrobimy, to go nakarmimy, bo oni często przychodzą głodni.

Podczas tej pierwszej rozmowy opieramy się na tym, co nam ten młody człowiek o sobie opowie. Nie sprawdzamy, czy to prawda, nie wydzwaniamy nigdzie, po prostu słuchamy. Oni często nie mają żadnych dokumentów, nawet dowodu osobistego. Wierzymy, że są pełnoletni, choć raz przyszedł 17-latek, twierdząc, że ma 18 lat, i dopiero po czasie wyszło, że skłamał. Nie mogliśmy go przyjąć. Wrócił rok później.

Co się z nim działo przez ten czas?

– „Bujal się” po różnych miejscach.

Kiedy taki młody człowiek trafia do nas często jeszcze tego samego dnia, bez zbędnych formalności i procedur zostaje zakwaterowany w Domu dla Młodzieży, który prowadzimy w Warszawie.

Czy na tym pierwszym spotkaniu jest psycholog?

– Nie. Po co? Bo jak nie będzie psychologa, to ta rozmowa nie będzie taka dobra i wnikliwa, jak być powinna? Oczywiście mamy psychologów, ale na tym pierwszym spotkaniu jestem ja i koleżanki z fundacji – pedagogi, pracowniczki socjalne.

Chodziło mi raczej o to, jak się orientujecie, że ktoś może mieć problemy

psychiczne i potrzebować specjalistycznego wsparcia?

– Po latach pracy już się orientujemy. Często młodzież sama nam mówi, że ma problemy. Bywa, że taki 20-letni człowiek ma za sobą 20 hospitalizacji psychiatrycznych. A czasem dzwonią do nas szpitale psychiatryczne i mówią, że jest u nich na przykład 19-letni pacjent, nie mają go dokąd wypisać, i czy możemy go przyjąć?

Zdarza się też, że te dzieciaki mają domy. Tylko matka czy ojciec mówią: „Ja mam przez niego, przez nią same problemy, sama pani rozumie”.

Albo: „Bardzo bym chciała go przyjąć, ale mój partner nie wyraża zgody. No przecież nie pójdę na ulicę”. Lepiej, żeby dziecko poszło, prawda?

Albo są to dzieciaki, których rodzina nie żyje. Teraz w Domu dla Młodzieży jest chłopak, który w ciągu jednego tygodnia stracił babcię i ojca. I nie poradził sobie sam. Ostatecznie trafił do szpitala psychiatrycznego w drugiej części Polski, a stamtąd do nas.

W Punkcie Pomocowym wstępnie diagnozujecie sytuację. Co dalej?

– Oczywiście zdajemy sobie sprawę z tego, że nie dowiemy się wszystkiego podczas tej pierwszej rozmowy. Młodzież często chce się zaprezentować jak najlepiej, nie chce o niektórych rzeczach mówić. Trochę myśli, że to jest jakiś casting, choć nie jest. Ale problemy, z którymi przychodzi, i tak prędzej czy później wyjdą.

W Punkcie Pomocowym na co dzień przyjmują też nasi specjaliści: jest doradca zawodowy, bo bardzo mocno stawiamy na aktywizację zawodową. Są terapeuci, psycholożki, jest prawniczka. Bo bezdomność to nie jest tylko kwestia braku dachu nad głową. Gdyby tylko o to chodziło, rozwiązanie byłoby proste. Bezdomność to jeden

z wielu elementów. I żeby ta „domność” mogła się stać czymś realnym i możliwym do utrzymania, najpierw trzeba rozwiązać inne problemy.

W Domu dla Młodzieży macie 14 miejsc.

– W tej chwili mieszka w nim 15 osób, a zdarza się, że i 18. Na początku prowadziliśmy wyłącznie mieszkania treningowe. Nadal je prowadzimy, ale już jako kolejny etap. Wcześniej do tych mieszkań kierowaliśmy uczestników naszego wsparcia od razu z punktu pomocowego, czyli właściwie prosto z ulicy. Co drugi dzień zaglądał do nich opiekun. Nasze wyobrażenie, że jak dostaną klucze do mieszkania, to będą o nie dbać, będą sobie zupki gotować, będą się cieszyć, pójdą do pracy – okazało się totalnie błędne.

Co się działo?

– Wszystko! Począwszy od tego, że często wprowadzaliśmy do tych mieszkań osoby z aktywnym problemem uzależnienia. Nie wiedzieliśmy tego, bo nie zawsze się to wie od razu, trzeba złapać człowieka za rękę.

Kiedy uruchamialiśmy te mieszkania, wyszłam z założenia, że nie trzeba robić żadnego regulaminu, bo przecież ludzie w domach nie mają regulaminów. Ba, uważałam, że zakaz picia alkoholu jest głupi, bo przecież alkohol jest legalny, a oni są dorośli i jak młody człowiek czasem wypije piwo, to nie ma co robić z tego zagadnienia. Nie wiedziałam, że często ktoś z takimi doświadczeniami nie potrafi wypić jednego piwa, tylko musi od razu wypić ich 20, a przy okazji zdemolować klatkę schodową.

Krótko mówiąc, zorientowaliśmy się, że wiele z tych osób potrzebuje jeszcze jakiegoś etapu pomiędzy ulicą a mieszkaniem i większą samodzielnością. I tak powstał Dom dla Młodzieży, w którym opiekun jest 24 godziny na dobę i gdzie panują określone zasady.

Teraz tam kierujemy młodzież w pierwszej kolejności. Możemy się jej tam przyrzec, zobaczyć, z jakimi problemami tak naprawdę do nas trafia. Co więcej, Dom sprawia, że oni się z nami związują. Widzą, że ci dorośli są życzliwi, że można im zaufać, że są dobrzy. Ci dorośli stają się dla nich ważni, a to jest bardzo potrzebne.

Dzięki temu rozwiązaniu do mieszkań treningowych trafia młodzież, która jest już do tego przygotowana. Ma pracę. Szanuje to, że do niej chodzi, że zarabia pieniądze, że może zapłacić za pobyt w mieszkaniu symboliczną kwotę. To jest młodzież, która wie, że musi przyjmować leki, jeśli się leczy, że opłaca się być trzeźwym, a nawet przyzwotyłym.

Teraz, gdy przychodzimy do tych mieszkań, to tam pachnie zupą, czyli dzieje się to, co zakładałam wiele lat temu, że się będzie działo, a co się nie wydarzało.

Po pobycie w Domu dla Młodzieży oni już potrafią to docenić. Mają też świadomość, że sobie na to jakoś zapracowali, nie spadło im to z nieba. A chyba jednak lepiej jest, tak ogólnie, jak nam coś z nieba nie spada.

Oczywiście są osoby, które w Domu dla Młodzieży są długo.

Czyli ile?

– Rok, dwa. Są też tacy, którzy nie trafiają do naszego mieszkania treningowego, bo są bardzo chorzy i nie wiemy jeszcze, co z nimi zrobimy. System by powiedział, że potrzebują DPS-u, ale nam się ten DPS jakoś nie bardzo uśmiecha.

Mamy w tej chwili osobę, która w Domu dla Młodzieży jest od trzech lat, choruje na schizofrenię. Za chwilę skończy 25 lat, więc już nie będzie mogła korzystać z naszego wsparcia. Na szczęście po długich poszukiwaniach udało nam się znaleźć dla niej dobre miejsce u siostry Chmielewskiej. Powolutku ją do tego przygotowujemy. Najpierw tam sobie pojedzie, obejrzy, potem zdecyduje.

Co się dzieje, kiedy do Domu dla Młodzieży trafia ktoś z problemem uzależnienia?

– Kiedyś cisnęliśmy: „Przyjmijmy się pod nasz dach, pod warunkiem że najpierw po-

jedziesz się leczyć do ośrodka albo na oddział”. Okazało się jednak, że to się kompletnie nie sprawdza, bo oni jechali na tę terapię, pobyli tam dwa tygodnie, wychodzili i znów wracali do uzależnienia. Nie mieli żadnej motywacji.

Więc teraz mówimy tak: „Naszemu zdaniem powinienes, powinnaś się leczyć, bo warto popracować nad sobą, nauczyć się życia na trzeźwo, zadbać o zdrowie. Wydaje się nam, że terapia to fajne rozwiązanie”. Na co oni często odpowiadają: „Nie, dam radę. Pójdę do pracy, ogarnę” itd. Wtedy my, mówiąc kolokwialnie, pozwalamy się im wypierniczyć, czyli przekonać się, że mieliśmy rację.

Oczywiście w momencie, kiedy taka osoba przyjdzie do Domu pijana czy naćpana, musi go opuścić. Potem trafia tu, do Punktu, na rozmowę.

Dajecie drugą szansę?

– Dajemy. Ale po drugiej wpadce mówimy: „Najpierw terapia, po niej będziesz mógł/mogła wrócić”. I to podejście zwykle działa. Bo już jest ta refleksja: „Cholera, jednak sobie nie radzę. Coraz więcej jest tych strat”. Wiedzą już też, co to znaczy mieszkać w domu, żal im. Są oczywiście osoby, które po kolejnej wpadce mówią: „A wy się nie znacie!”, ale po pół roku wracają i mówią: „Potrzebuję pomocy, chcę się leczyć. Mielicie rację”.

Jeśli natomiast chodzi o osoby z zaburzeniami zdrowia psychicznego – to jest to bardzo szeroki problem, bo są choroby łatwiejsze do okiełznania, podatne na leki, ale są też zaburzenia, które wymagają długotrwałej terapii, która nie jest w Polsce dostępna w wystarczającym stopniu.

Ma pani na myśli zaburzenia osobowości?

– Na przykład. Brakuje odpowiedniej pomocy, a taka osoba często nie jest w stanie czekać na nią w Domu dla Młodzieży, przestrzegając zasad i nie popełniając co dwa dni próby samobójczej czy nie okaleczając się.

Co wtedy robicie?

– W sytuacji zagrożenia życia wzywamy karetkę.

Później ta osoba wraca do was?

– Różnie. Czasami nie jesteśmy w stanie wziąć na siebie takiej odpowiedzialności. Mieliliśmy dziewczynę, która trafiała do nas dwukrotnie, ale za każdym razem po kilku godzinach połykała jakiś ostry przedmiot. Miała 18 lat, była wychowaną dom dziecka.

Próbowałam jej znaleźć miejsce w szpitalach psychiatrycznych w całej Polsce, lecz nigdzie jej nie chcieli. W końcu pięknie się nią zajął jeden lekarz ze Szpitala Nowowiejskiego w Warszawie, ale dalej nie było jak tego pociągnąć. Pilotowałam ją przez kilka miesięcy, po czym kontakt się urwał.

Współpracujecie na stałe z jakimś lekarzem psychiatrą?

– Przychodzi do nas psychiatra wolontariusz. Współpracujemy również z przychodnią lekarzy Jesteśmy Nadzieją, która wspiera osoby w trudnej sytuacji życiowej, i z psychiatrami działającymi przy fundacji Federacja na rzecz Kobiet i Planowania Rodziny. Dbamy też o to, by nasza młodzież powoli wchodziła w systemową pomoc, czyli korzystała na przykład z oferty centrów zdrowia psychicznego.

Jak w Domu dla Młodzieży uczycie domu?

– To jest coś, co mnie strasznie wkurza w różnych instytucjach – te wszystkie warsztaty gotowania czy warsztaty sprzątnia dla wychowanków. Ja dla swojego syna nie prowadzę warsztatów, po prostu gotuję z nim zupe. Tak samo postępujemy z naszą młodzieżą – sprzątamy wspólne przestrzenie, segregujemy razem śmieci, uczymy, jak naprawić kran, zadbać o ogród, ugotować obiad tak, żeby nie marnować jedzenia itd. A także jak się komunikować, być w rela-

Kiedy uruchamialiśmy te mieszkania treningowe, uważałam, że zakaz picia alkoholu jest głupi, bo przecież alkohol jest legalny, a oni są dorośli

cjach z bardzo różnymi ludźmi, bo przecież pod nasz dach trafiają przypadkowe osoby. Nie wymagamy, żeby się lubili, ale muszą się szanować, zwracać do siebie i do nas uprzejmie. Staramy się być uważni, zaangażowani i wydaje mi się, że oni to czują.

Niektórzy z nich mają rodziców, dziadków. Te rodziny wiedzą, że są u was?

– Tak. I czasami bardzo się z tego cieszą.

Co pani o tym myśli?

– Nie chcę tego oceniać. Zdaję sobie sprawę z tego, że wielu rodziców przeżywa ogromne trudności. Niektórzy czują się bardzo bezradni. Są rodzice, którzy szukali pomocy, ale jej nie dostali, a potem było za późno. Mojego entuzjazmu nie budzą rodzice, którzy się nie starają ani nigdy nie starali, choć czasem myślę, że może oni kiedyś też byli dziećmi, o które nikt się nie starał.

Jednak takie sytuacje są dla mnie trudne, też jako dla matki, choć wcale nie uważam się za matkę roku. Czasem daję plamę, za dużo pracuję, różnych rzeczy pewnie nie zauważam, ale wie pani...

Kiedy oglądałam serial „Dojrzewanie”, który tak wszystkich poruszył, to z perspektywy pracy tutaj, dla mnie to był serial o dobrych rodzicach.

Bo to, że oni czegoś nie zauważyli, nie wynikało z ich głupoty, nieczułości, z tego, że mieli „gdzieś” swoje dziecko. To byli rodzice, którzy nie zostawili swojego syna w trudnej sytuacji. Okazali mu mnóstwo troski. W swojej pracy rzadko spotykam takich rodziców.

W jakim celu się z nimi kontaktujecie?

– Przede wszystkim ten kontakt następuje wyłącznie za zgodą młodzieży.

Czasami kontaktujemy się po to, by dziecko mogło wrócić do domu, bo zdarza się, że jest taka możliwość. Rodzice mają środki, pracę, dziecko może mieć swój pokój. Czasami próbujemy włączyć rodziców w pracę z młodzieżą, bo ci rodzice, jacy by byli, są przez te dzieci bardzo kochani. Jeśli więc istnieje szansa na odbudowanie tej relacji, chcemy z niej skorzystać. Czasami jest to nie do naprawienia, ale ten kontakt jest tej młodzieży bardzo potrzebny... Choć to wszystko jest naprawdę trudne.

Co dokładnie?

– Wie pani, jak widzę chłopaka, który bezgranicznie kocha swoją mamę, wszystko by dla niej zrobił, a później słyszę, jak ta mama mówi, że on jest zły i go nie przyjmie pod swój dach, a to jest dziecko z niepełnosprawnością intelektualną, to mi się serce rozrywa.

Czasami patrzę na takie sytuacje i myślę: „Boże, gdyby to dziecko miało innych rodziców, dałoby się to jakoś poukładać, bo ono tak pięknie potrafi kochać”.

No, ale wiem, że jesteśmy różni. Mnie może łatwo mówić, bo jestem wykształcona, miałam wspaniałą mamę, mam cudownego ojca, byłam zawsze zaopiekowana. Miałam z czego startować, a są ludzie, którzy nie mają. I może mi się to nie podobać, ale gdzieś tam wiem, że nie dzieje się tak bez powodu.

Co z tymi, którzy zgłaszają się do Punktu Pomocowego, ale nie znajdują dla nich miejsca w Domu dla Młodzieży?

– Uważają, że tu jest ich dom, w naszym Punkcie. I jak idą z kuchni do wspólnego pomieszczenia, to mówią, że idą do „dużego pokoju”. Niektórzy spędzają tu całe dnie, póki nie zamykamy, a potem idą do noclegowni albo na swoją klatkę schodową i następnego dnia znów wracają do nas.

Jak chciałaby pani, żeby zmienił się system opieki nad tą młodzieżą w Polsce?

– Przede wszystkim chciałabym, żebyśmy przestali udawać, że w ogóle tworzymy jakiś sensowny system. Bo na razie udajemy. Wielu ludzi, którzy piszą polityki społeczne, w życiu nie było na samym dole, blisko spraw osób, do których te polityki są adresowane.

Dlaczego jest tak, że działałam od 14 lat, opowiadałam o tym, co robimy, pojawiam się w różnych miejscach, odbieram ważne nagrody, znają mnie panie i panowie ministrowie i cały czas jestem samotną wyspą z naszą fundacją?

Dlaczego wciąż nie mamy rozwiązań dla młodzieży doświadczającej bezdomności? Teraz wiadomo, trwa kampania prezydencka. No i może w ramach kampanii jakiś polityk przyjedzie do podobnej „placówki” jak nasza umyć okna. Tylko czy to się na cokolwiek przełoży?

Swoją drogą, zgłosił się jakiś chętny?

– Może... Ale my potrafimy myć okna. To, czego potrzebujemy, to zmiana, żeby cała ta osamotniona młodzież, która nie może liczyć na wsparcie dorosłych, dostała jakieś sensowne narzędzia do rozpoczęcia własnego życia.

Jako Fundacja „po DRUGIE” proponujemy, żeby takim narzędziem był Dom dla Młodzieży, bo my ten model wymyśliliśmy, przetestowaliśmy go i on działa. Uważamy, że takich domów powinno być w Polsce wiele, bo ci młodzi ludzie są do uratowania i nam się oplaca ich ratować. Ale ja sobie mogę gadać, odbierać nagrody, słuchać, jakie „to fajne, że pani Agnieszka prowadzi taki Dom dla Młodzieży”, na który na marginesie państwo nie daje ani złotówki...

...to kto daje?

– Prywatni sponsorzy. Dlaczego do mnie nie przychodzą samorządowcy i nie pytają: Jak możemy pani pomóc? Ciągłe jestem petentem.

Zajęcie się młodymi ludźmi w kryzysie to jest obowiązek państwa! I ci, którzy tym państwem rządzą, powinni skorzystać z wiedzy tych, którzy przecierają szlak. Posłuchać praktyków i przestać się mądrzyć, że „my coś wiemy, bo jesteśmy dyrektorem departamentów”. TO jest nam potrzebne. I pokora, bo tylko w ten sposób buduje się pomoc – podążając za człowiekiem, a nie wymagając od niego, żeby najpierw wypełnił 70 papierków, żeby dostać zupe.

Od czego się w ogóle zaczęła Fundacja „po DRUGIE”?

– Z wykształcenia jestem dziennikarką i przez wiele lat pracowałam w mediach, zajmując się problematyką społeczną. Prowadziłam między innymi z Markiem Kortańskim audycję radiową. Jeździliśmy razem po ośrodkach dla bezdomnych w całej Polsce, a ja mu powtarzałam, że kiedyś sama się tym zajmę, tylko muszę jeszcze dorośnąć.

Potem nakręciłam dokumentalny cykl telewizyjny o dziewczynach z zakładu poprawczego w Falenicy i pomyślałam, że muszę coś dla tych dziewczyn zrobić, bo one mają naprawdę przerąbane. Ale wtedy jeszcze się nie orientowałam, że istnieje coś takiego jak bezdomność młodzieży. Nie dostrzegałam tego problemu jako osobnego zjawiska społecznego, zresztą wielu dziennikarzy nadal go nie dostrzega. Bo kiedy jest na przykład Dzień Ludzi Bezdomnych, to na obrazkach widzimy to, co widzimy.

Głównie starszych mężczyzn.

– A przecież skądś ci starsi mężczyźni też się biorą!

Po cyklu o Falenicy poszłam na studia z resocjalizacji i założyłam fundację, która miała pomagać przede wszystkim młodzieży po placówkach dla nieletnich. Wtedy się okazało, że ten system tak „wspaniale” u nas działa, że część nieletnich po poprawczakach staje się bezdomna. A potem, że jest też bezdomna młodzież po domach dziecka, po rodzinnej pieczy zastępczej, no i bezdomna młodzież z domem. I że ktoś musi się tym zająć.

Co pani zabrała ta praca przez ostatnie lata?

– Nie podchodzę do tego tak filozoficznie, raczej zadaniowo. Bo jakbym zaczęła zadawać sobie takie pytania, to mogłoby mi się zrobić trochę przykro. Tu się pracuje 24 godziny na dobę, siedem dni w tygodniu, 365 dni w roku z przerwami na urlopy, z których i tak dzwonię, i pytam, co u Krzysia, Zdzisia czy Oli albo oni do mnie piszą. To jest styl życia. Wybór. Też ogromny przywilej.

W jakim sensie?

– Pomaganie innym ludziom to jest wyróżnienie.

Ale też odpowiedzialność.

– Dlatego trzeba umieć mądrze z tego korzystać, żeby człowiekowi nie odbiło, że jest jakimś demiurgiem czy wszechmocnym stwórcą. To z jednej strony, a z drugiej – jednak od naszej decyzji zależy, czy uda się komuś zapewnić dach nad głową, a to jest i trudne, i obciążające.

Jak sobie pani radzi z tym, że czasem nie udaje się pomóc?

– Już dobrze sobie radzę, ale musiałam do tego dojrzeć. Młode osoby, które do nas przychodzą pracować i mają 30 lat, czyli tyle, ile ja miałam, gdy zaczynałam, bardzo przeżywają to, kiedy pomóc się nie uda. Rozumiem to i rozumiemy o tym.

Tłumaczę, że naszą odpowiedzialnością jest dać tym młodym dobre narzędzia, być życzliwym, próbować ich zrozumieć i im towarzyszyć. Też wymagać w odpowiedni sposób, bo każdy ma trochę inakzej tę poprzeczkę zawieszoną, ale czy z tego skorzystają, czy nie, w jakim stopniu, to jest już ich odpowiedzialność. Nie nasza. I trzeba się z tym po prostu pogodzić. ●



*Agnieszka Sikora

● jest założycielką i prezeską Fundacji „po DRUGIE”, która pracuje z młodzieżą (18-25 lat) w kryzysie bezdomności i wspiera ją w budowaniu niezależności i samodzielności. Beneficjentami działań organizacji są przede wszystkim byłe wychowanki i wychowankowie placówek – domów dziecka, młodzieżowych ośrodków wychowawczych, zakładów poprawczych. Coraz częściej również młodzież, która wychowywała się w rodzinach, ale występujących w nich problemy nie zostały dostrzeżone.

Co mnie urzekło

Różowa księgarnia bez książek



Muzułmanie w Senegalu wymyślili, jak obejść religijny zakaz

PRZEMYSŁAW
URBAŃCZYK

Senegal to największa i najdłuższa, bo licząca ponad tysiąc kilometrów, rzeka zachodniej Afryki. Wypływa z terytorium Mali, a potem aż do Atlantyku naturalnie wyznacza krętą granicę pomiędzy dwoma muzułmańskimi państwami – Senegalem i Mauretanią.

Tę szeroką i powolnie meandrującą rzekę Francuzi wykorzystali jako główny trakt komunikacyjny prowadzący od zachodu do wnętrza Afryki. Ułatwiło im to opanowanie ogromnego terytorium późniejszej Francuskiej Afryki Zachodniej, która stanowiła część agresywnie poszerzane go imperium kolonialnego, które w Afryce rozpadło się w siódmej dekadzie XX w.

Przez kilkanaście miesięcy cała rzeka znajdowała się na terytorium jednego organizmu politycznego, czyli efemerycznej Federacji Mali, która w 1960 r. podzieliła się na: Górną Woltę (dzisiejsza Burkina Faso), Dahomej (dzisiejszy Benin), Mali i Senegal.

Francuzi zabezpieczali swoją kontrolę nad tą strategiczną rzeką, budując w XVIII i XIX w. sze-

reg fortów chroniących lokowane nad jej brzegami faktorie handlowe. Z czasem wyrosły wokół nich miasta, które do dzisiaj są lokalnymi ośrodkami administracyjno-gospodarczymi. Najważniejsze z nich to: Podor, Dagana, Richard Toll i Saint-Louis – każde z nich jest tym większe, im leży bliżej Atlantyku. Wszystkie stanowią ciekawe, choć trochę zapoznane (oprócz Saint-Louis) atrakcje turystyczne.

Pływający hotel

Dzisiaj wewnątrz Afryki subsaharyjskiej nie jest bezpieczne dla turystów, ale po Senegalu można się wciąż poruszać bez większych problemów logistycznych. Jedną z tamtejszych atrakcji są rejsy przerobionym na pływający hotel statkiem „Bou el Mogdad”. Zbudowany w Holandii spełniał w latach 1950-1970 ważną funkcję głównego środka transportu towarów masowych i ludzi z wybrzeża atlantyckiego w głąb Afryki Zachodniej – aż do Kayes w zachodnim Mali.

Mało znany jest polski epizod historii tego miasta. A przecież to właśnie w Kayes od czerwca 1940 r. do stycznia 1944 r. przechowywano 34 tony złota wywiezionego z Warszawy we wrześniu 1939 r. Jego nadzorowana przez polskich dyplomatów niezwykła podróż przez Rumunię, Turcję, Syrię, Liban, Francję i Maroko do Afryki, a stamtąd do Nowego Jorku mogłaby stanowić scenariusz sensacyjnego filmu.

Od 2005 r. „Bou el Mogdad” wykonuje cotygodniowe rejsy tury-

Senegal – strategiczna rzeka zachodniej Afryki



To w Kayes w Mali przechowywano
34 tony złota wywiezionego
z Warszawy we wrześniu 1939 r.

styczne z Saint-Louis do Podoru. Trochę tańszą i dużo ciekawszą, bo bardziej elastyczną opcją pływania po rzece Senegal oferuje duża łódź motorowa „La Reine du Fleuve”. Dzięki „Królowej rzeki” można bowiem odwiedzić nie tylko dawne faktorie francuskie, ale też położone nad brzegiem wioski, a gotowane na pokładzie kilkudaniowe posiłki zadowolą każdego smakosza.

Librairie Papetere de Bamako

Nasza podróż zaczęła się w urokliwym Podorze, o którego francuskich korzeniach świadczą zaniedbany fort i ładnie odnowiona zabudowa nabrzeża wpisana

na listę dziedzictwa narodowego. Oprócz klimatycznego hotelu Tekrouur z ogrodowym dziedzińcem i małego Muzeum Handlu Rzecznego Dwóch Stuleci mieści się tam też lokal, który nie wzbudza specjalnego zainteresowania turystów. Napis niedbale i z błędami ortograficznymi namalowany na powieszonych nad drzwiami desce zapowiada prozaicznie Librairie Papetere de Bamako, czyli księgarnię i artykuły papiernicze powiązane z... odległą stolicą sąsiedniej Republiki Mali.

Dość obskurne drzwi i odgradzająca wewnątrz zasłona z drewnianych koralików nie zachęcały do wejścia. Niektórzy z tubylców

wchodzili tam i wychodzili, najwyraźniej realizując swoje upodobania czytelnicze na miejscu, bo nie wynosili ze sobą żadnych książek. Nie dziwiło nas, że byli to wyłącznie mężczyźni, bo w muzułmańskim Senegalu wchodzenie kobiet do obcych wewnątrz podlega tradycyjnym restrykcjom.

Zajrzeliśmy do nadrzecznej „księgarni” w naiwnym odruchu ciekawości po dwóch dniach włóczenia się po egzotycznych atrakcjach miasta. Wnętrze lokalu jest doprawdy zaskakujące jak na miejsce pogłębiania wiedzy o świecie i refleksji intelektualnej. Różowe ściany pokrywają niezdarne malowidła, a za całe wyposażenie służą przykryte kolorowymi poduszkami betonowe ławy przyściennie i także słupki pełniące funkcję stolików.

Tajemnicę tego skrajnego minimalizmu wyjaśnia wyposażenie drugiego pomieszczenia. Tam również betonowy kontuar oddziela gości od drewniane-

• Jedna z sal księgarni w Podorze w Senegalu. W tym lokalu nic nie jest takie, jak się wydaje.

FOT. PRZEMYSŁAW
URBAŃCZYK

go regału, skromnie, lecz różnorodnie wypełnionego bynajmniej nie książkami, lecz napojami wysokowymi – importowanymi (jeśli to nie podróbki) i wyprodukowanymi lokalnie. Serwuje

je w cenach dość umiarkowanych uśmiechnięty „księgarz”, który był szczerze zadziwiony wizytą Europejczyków w lokalu tak podległej kategorii, gdzie poza napitkami nie ma niczego do kupienia.

Nie chciał się zbytnio rozwodzić nad warunkami funkcjonowania tego wyszynku, który nie powinien wszak istnieć w kraju muzułmańskim, bo picie alkoholu jest sprzeczne z regułami islamu. Oficjalnie więc takie lokale można spotkać w hotelach przeznaczonych dla cudzoziemców. Potrzeba jest jednak matką kompromisu, więc lokalne władze, świadome grzesznych skłonności niektórych obywateli, przysmykają czy na ich uleganie diabelskim podszeptom, byle nie odbywało się to zbyt ostentacyjnie.

Tak więc bar na zewnątrz udaje księgarnię, wielbiciele napojów wysokowych udają spragnionych wiedzy czytelników, a policja udaje, że wierzy, iż Librairie Papetere de Bamako, upowszechniając czytelnictwo, spełnia funkcje cywilizacyjne.

Pozwala to utrzymać delikatną równowagę między nadmiernym oczekiwaniem ludzkiej bezgrzeszności a rzeczywistą słabością charakteru niektórych mieszkańców starego miasta Podor. Istnienie, chociaż nieoficjalne, tego gniazda występku pozwala skutecznie kanalizować i kontrolować spożycie oficjalnie zabronionych trunków. Ta tolerancja dla odmienności może być dobrą lekcją dla fanatycznych kaznodziejów absolutnej czystości obyczajów. ●



FOT. GETTY IMAGES

Jednak trudno wyzbyć się tego male gaze'u.

Iwona Görke

Teraż każdy ubiera się tak, jak chce – zdecydowanie stwierdza nieśmiała Hela. Jasnoróżowe włosy zasłaniają jej dziewczęcą, nieprzykrytą makijażem buzię.

16-latkę chętnie zgadza się na rozmowę, ale szybko się okazuje, że nie należy do szczególnie rozmownych. Może to, o co pytam, jest tak oczywiste dla jej pokolenia, że naprawdę nie ma się nad czym zastanawiać i rozwodzić?

A może jest po prostu zmęczona? Już po godzinie 17, a na 9 przyszła do salonu fryzjerskiego w Olsztynie, w którym odbywa uczniowskie praktyki.

Strojem komunikuje światu jedno: ważne są luz i wygodność. Nie to, czy komuś się podoba, jak Hela wygląda.

Przyznaje: czerpiemy z tego, co widzimy w serialach, filmach czy serwisach społecznościowych, ale koniec końców sami decydujemy o tym, co na siebie zakładamy. Chodzi o to, by czuć się dobrze.

Ona czuje się dobrze w ubraniach wygodnych. Sportowe adidas, luźna czarna bluza i bojówki w różowe moro wydają się właśnie takie.

Wisior z Matką Boską i Budda

Zagaduję 21-letnie studentki lingwistyki na Uniwersytecie Warmińsko-Mazurskim.

– Z jednej strony od takiego myślenia się odchodzi, ale wciąż wiele osób myśli, że kobieta powinna być seksowna – mówi Oliwia. Ubiera się tylko dla siebie. Nie po to, by kogoś zadowolić.

To, jak wygląda, odzwierciedla jej osobowość. Ma artystyczną duszę. Szyje torby, którymi obdarowuje przyjaciółki. W sklepach, lumpeksach i internecie wyszukuje nietuzinkowe rzeczy. Jak wisior z licznymi wizerunkami (ale religijna nie jest) Matki Boskiej, Buddy i Królowej Elżbiety. Naszyjnik, tak jak wiele rzeczy w jej szafie, jest z drugiej ręki. Nie ma w tym żadnej symboliki.

– Jeżeli komuś podoba się to, jak wyglądam, to fajnie, miło mi, ale jeżeli nie – to nie jest to dla mnie przykre – zapewnia.

– Gdy ktoś się ubiera seksownie czy wyzywająco, robi to, jak sądzę, nie po to, aby zwrócić czyjąś uwagę, ale dlatego, że tak czuje się komfortowo. W ten sposób może wyrażać siebie – mówi Zosia. Sama ubiera się schludnie. Najczęściej nosi czarne ubrania, ale gdy rozmawiamy, ma na sobie niebieskie dżinsy, sweterek z kapturem w tym samym kolorze, białe trampki w wisienki.

Chciałaby, tak jak Oliwia, łączyć ze sobą różne kolory i wzory, ale mówi, że nie potrafi. Na dłoniach ważna dla niej biżuteria – pierścionek od chłopaka i bransoletka od koleżanki, którą przywiozła dla niej z Grecji. Jest i smartwatch, ale rozładowany. Na szyi dwa naszyjniki, prezenty od mamy.

– Zresztą, nawet jeśli kobieta ubrała się wyzywająco, to wcale nie znaczy, że chce, by na nią patrzono. Krótka spódnica czy dekolt nie jest zachętą do gapienia się. To przedmiotowe traktowanie – uważa Oliwia.

– To świat idealny. Spotykamy się jednak z takim podejściem i komentarzami – także tymi internetowymi – że skoro kobieta wkłada krótką sukienkę, musi liczyć się z tym, że mężczyźni będą na nią patrzeć, a nawet ją zaczepiać – przypominam młodym kobietom.

– Takie komentarze zazwyczaj się pojawiają od osób płci męskiej albo osób star-

szego pokolenia raczej albo po prostu od osób, które są... – do rozmowy włącza się Ola.

– Niewychowane po prostu – wchodzi jej w słowo Oliwia.

– Mają jakieś kompleksy – kończy Ola.

– To działa w dwie strony. Ubierzesz się luźno, to taka osoba powie ci, że wyglądasz jak chłop. Ubierzesz się bardziej kobieco – spotkasz się z krytyką, że czegoś za dużo albo za mało, zbyt skąpo – 21-latką jest ubrana, jak mówi, luźno. Szerokie dżinsy oraz koszulka z Tupackiem.

Ola T-shirtów z zespołami ma sporo. Często zaczepiają ją ludzie, tacy około pięćdziesiątki, dziwiąc się, że tak młoda osoba zna Nirvanę czy słucha Metalliki. Bo w jej przypadku założenie koszulki z Kurtem Cobainem to pewna deklaracja. Muzyczna.

– Zawsze znajdzie się ktoś, komu coś nie będzie pasowało – przypomina Zosia. – Niektóre osoby, zwłaszcza te ze starszego pokolenia, uważają, że jak ktoś ubiera się inaczej, to po to, aby zwrócić na siebie uwagę. A to krzywdzące, ale nie wiem, czy da się to jakoś wypełnić.

– To w waszym pokoleniu już tak się nie myśli?

– Pewnie też, ale mniej niż w poprzednich – odpowiada Oliwia, a Zosia jej wtóruje. – W ogóle to fascynuje mnie to, jak bardzo kobiety oceniają się ze względu na ich wygląd – dodaje pierwsza z nich.

Wspomina o szkolnych sytuacjach: dziewczyny latem były upominane za założenie krótkich spodenek, chłopcy nie. Z dumą mówi o nauczycielce, która odmówiła zwracania uwagi dziewczętom ubranym w szorty czy koszulki na ramiączkach, gdy było tak gorąco, że nie dało się wytrzymać.

Wtręt Oliwii o szkole uruchamia wspomnienie w Zosi: – Było okropnie gorąco, chyba już czerwiec. Jedna z dziewczyn przyszła w długiej spódnicy, ale z rozcięciem do

połowy uda. Pewnemu nauczycielowi nie spodobał się jej strój, zawiadomił wychowawczynię. A ona na kolejnej lekcji, przy całej klasie, zwróciła jej uwagę. Dziewczyna się rozplakała. Już nigdy nie ubrała się do szkoły tak luźniej, nawet gdy było gorąco.

Wspomina reakcję klasy na upomnienie dziewczyny – było ono dla nich niezrozumiałe. – Wychowawczyni, jak już musiała, mogła jej zwrócić uwagę na osobności, a nie przed całą klasą.

Zosia napomyka, że uczniowie zastanawiali się, dlaczego w ogóle nauczyciel patrzył na uda nastolatki.

Oliwia, Zosia oraz Ola zgodnie mówią: nieważne, co mam na sobie ja czy ktokolwiek inny, ubiór nie powinien prowokować innych osób do podejmowania konkretnych zachowań. Gwizdania za kimś, pozwalania sobie na chamskie i niestosowne komentarze, skracania fizycznego dystansu, niewybrednych żartów czy – w skrajnych przypadkach – napaści.

Bikini i szorty

Wracam jeszcze do tego bycia sexy. Studentki naprawdę nie czują, że takie powinny być? Oliwia ponownie zaprzecza. Nie czuje presji ze strony swojego pokolenia. Ona w każdym razie tego przymusu w ogóle nie czuje. Ale może te starsze od niej kobiety czują?

– Ale ten seks jest wszędzie: w teledyskach, serialach, portalach społecznościowych... – drażę.

– Myślę, że takie oczekiwanie jest wciąż obecne – ocenia Ola. – Bo jednak trudno tak szybko wyzbyć się tego male gaze'u.

– Ponoć właśnie z tego powodu kobiety ubierają się sexy. Dla chłopaka. Ale ja uważam, że można to robić dla siebie – zaznacza Oliwia.

To, co mówią studentki, skłania mnie do zadania kolejnego pytania. Związanego

właśnie z obecnością mężczyzn w ich życiu. Jak zmieniłyby się ich ubiór, gdyby na jakiś czas znalazły się tylko w kobiecym towarzystwie? Pytam o to, co spakowałyby do walizki, gdyby miały na jakiś czas pojechać do miejsca, w którym nie byłoby wcale facetów.

– Wszystko, na co miałabym ochotę – błyskawicznie odpowiada Zosia. Chciałby wydekoltowane koszulki, w których – mimo, jak sama ocenia, niedużego biustu – nie czuje się komfortowo. Ma wrażenie, że każdy może jej w ten dekolt zajrzeć. Więc nieustannie się poprawia.

Oliwia mówi, że jej sposób ubierania na takich wczasach nie uległby zmianie. – Zmieniłyby się za to sposób myślenia. Często, jak idę gdzieś wieczorem sama, to się boję po prostu – przyznaje. Słyszy się przecieź, przypomina, o napadniętych i skrzywdzonych dziewczynach i kobietach przez mężczyzn czy nawet całe grupy. – Na takim wyjeździe mogłabym iść wreszcie na wieczorny spacer i się nie bać.

U Oli nie zmieniłoby się nic. Bo, jak mówi, nieszczególnie interesuje ją to, co inni – tym bardziej mężczyźni – myślą o jej ubiorze. Ale ze swoim ciałem czułaby się bardziej komfortowo. Na plaży mogłaby założyć bikini, a nie, jak zazwyczaj, szorty i koszulkę. Czułaby się mniej oceniana. Czy rzeczywiście jest? Tego nie wie. Tak po prostu czuje.

Rozmiar nie S i nieogolone nogi

– Społeczeństwo na każdego człowieka nakłada pewien przymus. Wydaje mi się, że wobec kobiet te przymusy są szczególnie mocne i bardzo często wykluczające. Sprawiają, że kobiety czują się źle ze sobą. Często są wypychane w ograniczające je ramy, które totalnie do nich nie pasują. To, jak kobiety mają wyglądać, jest jedną z tych ram – uważa Eli, studentka psychologii na Uniwersytecie Warszawskim.

– Jeżeli mężczyzna założy czysty, zwykły T-shirt i spodnie, to jest schludnie ubrany. Jeżeli kobieta ubierze się w ten sposób, usłyszy, że się nie postarała – kontynuuje 20-latkę.

O pierwszym wrażeniu często decyduje ubiór, wizytówka człowieka, ale oczekiwania wobec kobiet są wyższe. Panie, uważa Eli, muszą robić makijaż, ubierać się w to, co podkreśla ich kształty, ale nie za bardzo.

– Strój musi być kobiecy, ale nie za bardzo, musi być profesjonalny, ale również nie za bardzo. Jeśli masz mały biust, to możesz założyć daną rzecz, ale jak masz duży, to już nie, bo ludzie uznają, że wyglądasz wulgarnie. Drobną czy szczupłą kobietę może nosić coś, czego panie większych rozmiarów już nie powinny, bo to, jak wygląda, zostanie uznane za „niesmaczne” – wylicza.

Wymagania stawiane kobietom dotyczące tego, jak powinny się ubierać i wyglądać, mogą odbierać energię. Eli odbierały.

Przyszła psycholożka zdaje sobie jednak sprawę z niemożliwości całkowitej rezygnacji z realizowania społecznych oczekiwań. – Bo przecież chcemy być akceptowani przez społeczeństwo i potrzebujemy do niego przynależeć – konkluduje.

Eli ma świadomość, że nie wszystko to, co myśli o sobie, o swoich powinnościach, wynika faktycznie z niej. Przyswoiła społeczne oczekiwania czy zakazy. Dawniej sądziła, że jako osoba nienosząca rozmiaru S czy niegoląca nóg, nie powinna nosić latem np. krótkich spodenek. Ale to nie były jej przekonania, tylko powszechna wizja, której się poddawała.

Są jednak takie sprawy, które – jak mówi – należą do wachlarza społecznych oczekiwań stawianych kobietom, ale jej sprawiają przyjemność. Jak makijaż. Lubi go wykonywać. Bawi się nim. – Maluję się dla siebie. To ważne, czy robimy coś dla siebie, czy dlatego, że bez tego nie będziemy nic znaczyć w społeczeństwie?

Tyle że odróżnienie tego, co faktycznie robimy, bo lubimy i tak chcemy, od spełnienia zinternalizowanych społecznych oczekiwań jest niezwykle trudne. – Trzeba

się nad tym poważnie i długo zastanawiać – uważa Eli. – Może nie noszę czegoś dlatego, że ktoś mi powiedział, że nie powinienam? Że powinienam ukrywać swoje wady, czyli to, co uważa się za nieatrakcyjne?

Każdy powinien ubierać się tak, by mógł czuć się sobą. I by było tej osobie wygodnie. Po prostu dobrze. Czasem to „dobrze” oznacza zakrycie się. Bo np. osoba chce sobie oszczędzić przykrych komentarzy ze strony innych. Eli tego nie krytykuje. Nie każdy musi chcieć mierzyć się z krytyką. Inni eksperymentują i to też jest w porządku.

– To, jak decyduje się wyglądać kobieta, nigdy nie powinno wynikać z jakiejś formy przemocy czy nakazów, a właśnie z tego, że jesteśmy podmiotami, które zgod-

gą stawiać przed nimi mężczyźni, społeczeństwo czy kultura – twierdzi psycholożka. Kobiece dążenia, kontynuuje, widoczne są także w kinematografii. Przypominam o szeroko komentowanych „Biednych Istotach” Jorgosa Lantimosa, w których w główną rolę wciela się (nagrodzona zresztą za nią Oscarem) Emma Stone, czy „Babygirl” Haliny Reijn z Nicole Kidman.

– Niekoniecznie musimy akceptować to, co robią te filmowe bohaterki, ale to są postacie, które dominują. Wiele kobiet je dopinguje, bo robią, co chcą – mówi Harland. One się nie wstydzą.

A to, jak się ubieramy, także może łączyć się ze wstydem oraz z tym, jak poszczególne osoby sobie z nim radzą.



FOT.PIOTR HEIKE / AGENCJA WYBORCZA.PL

– *To, czy ktoś zakłada sukienkę, czy nie, to już jest wyłącznie sprawa tej osoby – przekonuje 20-letnia Julia. Choć strojne sukienki zakłada się na studniówki, Julia nie uległa ani tradycji ani presji rodziny – wybrała kombinezon*

nie ze swoimi wartościami decydują samodzielnie.

Eli spędza dużo czasu na portalach społecznościowych. Zauważyła, że wiele kont – zwłaszcza tzw. fitkonta – wypełnione są roznegliżowanymi ciałami. Złazczyła kobiet. – Nagość nie jest niczym złym. Kobiety mają prawo do nagości, do pokazywania swojego ciała, wiadomo, w granicach rozsądku i zważając na to, na co pozwala dana platforma i dla kogo jest przeznaczona – mówi.

Czasem trafia na internetową treść, w której roznegliżowana kobieta mówi o czymś lub coś reklamuje. Eli czuje się wtedy niekomfortowo. Nie przez to, co widzi, ale przez to, co spodziewa się zobaczyć w komentarzach.

– Nie cierpię uprzedmiotowienia. Moja podmiotowość jest jedną z najcenniejszych rzeczy, które mam, nigdy nie chciałabym jej stracić – przekonuje. – Według niektórych ludzi konkretny ubiór może zredukować kobietę do bycia obiektem. To nie jest wina osób, bez względu na to, jak są ubrane, tylko pewnych przeświadczeń. To, co dzieje się pod takimi filmikami, przypomina mi o tym – konkluduje.

Deklaracje a podświadomość

Martyna Harland, psycholożka i wykładowczyni na SWPS-ie, zwraca uwagę: deklaracje młodych kobiety mogą różnić się od tego, co podświadomie myślą.

– Deklaratywnie wiele kobiet dąży do wyzwolenia. Chcą uwolnić się od zewnętrznych oczekiwań. Tych, które mo-

– Jeżeli radzimy sobie z krytyką zewnętrzną, to możemy nosić wszystko, co chcemy.

Nie musimy się wstydzić. Młode kobiety wyrażają siebie czy to w sposób seksualny, czy też nie, komunikując: mogę być, kim chcę, mogę robić to, co chcę, dajcie mi spokój – uważa Harland.

Takich też bohaterek szukają na ekranie (w odróżnieniu od mężczyzn spragnionych reguł i prostych wzorców moralnych), co Harland często widzi na spotkaniach Filmoterapii w kinie.

Tyle że to mowa o warstwie deklaratywnej. Jest jeszcze inna, podświadoma. W niej znajdują się rzeczy, z których nie zdajemy sobie sprawy. A potrafią z nas wyjść. Złazczyła gdy zostaniemy skonfrontowani z zachowaniem czy sposobem życia, który jest nam obcy.

– Kino, w ogóle sztuka, może pomóc nam namierzyć nasze prawdziwe, ukryte przekonania. Daje to nam szansę zobaczenia, co jest moje, a co nie. Zajrzemia w siebie. W to, co ja naprawdę czuję, czy ubieram się tak, a nie inaczej, bo chcę, czy to jest mój bunt w stosunku do kogoś wzorca, czy ubierając się w ten sposób, czuję się dobrze? Taki namysł, nabranie samoświadomości może pomóc w mądrym pozbywaniu się wstydu – mówi psycholożka.

W neoliberalnych bańkach może panować przekonanie, że wstydu blokującego poczynania, nawet w tak wydawałoby się prostej sprawie jak ubiór, nie ma. – To złudne – twierdzi Harland.

Inną kwestią jest bycie w „rozkroku”. – Między tym, co mówimy i co jest wspierane, a tym, co naprawdę czujemy i kim naprawdę jesteśmy. Te elementy nie zawsze muszą i nie zawsze będą ze sobą tożsame. I to jest bardzo o wstydzie. My a świat.

Harland przypomina, że wstyd dotyczy nas całościowo – kim jesteśmy, jak wyglądamy – by się nie dać temu, co narzuca i podsusza, należy wzmacniać samoocenę. Poczucie bycia niezależną od opinii i ocen innych ludzi.

Rodzice – radzi – powinni w dzieciach budować poczucie własnej wartości, bo dzięki niemu w każdych okolicznościach i świecie, jakkolwiek by on był, dadzą sobie radę. – Zakładamy miniówę i narażamy się na przykre komentarze innych? Jedni sobie z tym poradzą, inni nie. Nie radzimy sobie z krytyką? Wiemy, jaką fałę zbędnych, niemiłych komentarzy może to wywołać? Opuuszczamy miniówę. Chronimy w ten sposób siebie. To nie jest złe, to jest samoświadomość – mówi Harland.

Wstyd – dodaje psycholożka – dotyczy tego, czego inni ludzie od nas oczekują. – To flegma, którą należałoby wydumuchać – stwierdza.

Na studniówkę w kombinezonie

– To, czy ktoś zakłada sukienkę, czy nie, to już jest wyłącznie sprawa tej osoby. Nosimy to, co chcemy, i nikt nie zmusza nas do tego, by wyglądać w jakiś konkretny sposób – przekonuje 20-letnia Julia, którą spotkałam w bibliotece uniwersyteckiej w Olsztynie.

Zofia, jej 21-letnia koleżanka, wtóruje: – Całe szczęście kobiety mogą odejść od noszenia sukienek czy obcasów. Możemy zakładać wygodniejsze rzeczy.

– Jednak często starsze osoby zwracają uwagę na to, jak te młodsze się ubierają – mówi Julia. W jej przypadku lawinę pytań, nawet od obcych ludzi, wywoływały spodnie z dziurami. – Czy mi w nich nie zimno? Czy jestem biedna? Te sytuacje nie były komfortowe – wspomina.

20-latka niejednokrotnie pytana jest, głównie przez swoją rodzinę, dlaczego nie założy sukienki. A nie włożyła jej nawet na studniówkę – miała na sobie kombinezon na ramiączkach. Początkowo myślała o garniturze, ale zrezygnowała. Obawiała się komentarzy i pytań. Zresztą i ten kombinezon nie przeszedł bez echa. Jej matematyczka, niby żartobliwie, zapytała ją o jej strój, dziewczynie zrobiło się przykro.

Ulica to nie Instagram

Julia i Zofia widzą różnicę między tym, jak wyglądają ich rówieśniczki, które spotykają na uczelni czy na mieście, a kobietami z internetu. W realu dziewczyny stawiają na wygodę. Chodzą w sportowych butach, szerokich spodniach.

Instagram to inna bajka. Wiele tam pań w obcisłych, wydekoltowanych strojach. Wygiętych w seksownych pozach z wydętymi ustami. Według Julii dziewczyny dodają tego typu treści dla lajków. Złazczyła od mężczyzn.

Zofia zwraca uwagę na zakrzywiony obraz kobiet obecny w social mediach. Tyle że i to – jak mówi – się zmienia. „Wygoda” to słowo klucz. Ale wygodne mogą być te wydekoltowane koszulki i sukienki. Stroje przyciągające wzrok. W internecie można gapić się bezkarnie. W realu nie wypada. – Można zerknąć, nawet przypadkiem, ale gapienie się jest niedopuszczalne. Ja bym zaprotestowała, gdyby ktoś się we mnie tak wgapił – twierdzi Julia.

Julia i Zofia studiują kryminologię. Na zajęciach często pojawia się temat ofiar napaści seksualnych i tego, jak były one ubrane, czy mogły sprowokować, zachęcać. Dyskusje są żywe.

– Do jakich wniosków dochodzicie? – pytam.

– Ubiór nie ma nic do rzeczy – mówi Zosia. ●

Z JEFFREYEM FISHEREM*,
AUTOREM KSIĄŻKI O KOMUNIKACJI
„POWIEDZMY TO SOBIE JASNO”
ROZMAWIA **KRYSZYNA ROMANOWSKA**

Gdzie Teksas, gdzie kowboje, gdzie serial „Yellowstone”, gdzie blues i w końcu gdzie ty? Prawnik z dziada pradziada, który pisze książkę o tym, jak się ze sobą dogadać, zamiast opisać, jak wygrać każdą sprawę.

– To po prostu mądrość kowboja. (*śmiech*)
A propos, „Mądrość kowboja” to dobry tytuł na kolejną książkę. „Cowboy Wisdom: How to Duel Without Shooting” („Mądrość kowboja: jak się pojedynkować bez strzelanki”). Podobają mi się. Muszę to zapisać.

A na poważnie: jestem starą duszą. Ile mam lat? 36? A czuję się, jakbym miał 96. Gdy miałem 13 lat, zachowywałem się tak, jakbym miał 41. Zawsze taki byłem.

Jestem najstarszym z czwórki rodzeństwa. Dorastałem w Beaumont, w Teksasie. Jestem prawnikiem w piątym pokoleniu. Mój ojciec był prawnikiem, dziadek sędzią – ale sposób, w jaki się u nas mówiło, miał coś z Dzikiego Zachodu. Nie chodziło o błyskotliwe bon moty. Chodziło o ciężar słowa. O to, że jak już coś mówisz, to po coś. „Nie marnuj amunicji” – powtarzał mój ojciec.

W naszej rodzinie zawsze przykładano dużą wagę do słów, do opowiadania historii i do umiejętnej komunikacji – jak być dyplomatycznym w różnych sytuacjach, jak łagodzić konflikty. Obserwowałem to od najmłodszych lat.

Ale to też po prostu część mojej osobowości. Nie jestem osobą, która łatwo wpada w złość. Lubię okazywać ludziom ciepło w rozmowie. Lubię mieć spokojną energię, być „w rytmie” – tak jak w muzyce jazzowej, gdzie nie spieszysz się za bardzo ani nie zwalniasz.

Ale też w ciszy. Bo twoja książka niby jest o mówieniu, ale tak naprawdę to nie jest kolejny podręcznik „mówienia lepiej”, tylko ciszy i oddechu. Piszesz: „Let your breath be the first word you say” (Niech oddech będzie pierwszym twoim słowem). To mógłby powiedzieć Sokrates. Albo może twój dziadek sędzia?

– To oddech daje czas. Czas na to, by nie powiedzieć głupoty. Albo by nie odpowiedzieć wcale.

Wiesz, zanim powiesz cokolwiek w trudnej rozmowie, zanim odpowiesz na coś, co cię denerwuje – najpierw weź oddech. Nie byle jaki oddech. Mówię o oddechu konwersacyjnym. To mój sposób na zatrzymanie emocji, zanim one przejmą nad tobą kontrolę.

Dosłownie kilka sekund – wdech, pauza, wydech – ale jego moc jest ogromna. Oddech ten daje przestrzeń, by zareagować świadomie, a nie impulsywnie.

Ciało zawsze reaguje szybciej niż głowa. Brwi się marszczą, mięśnie się napinają, zanim jeszcze pomyślisz. Ten oddech to sposób na odzyskanie panowania nad sobą, zanim zaczniesz mówić. Uczę tego moich klientów, zwłaszcza prawników – by zamiast odpowiadać natychmiast, zaczęli rozmowę od... oddechu. To bardzo proste i zarazem bardzo skuteczne.

Jak to zrobić?

– Wdech przez nos – około dwóch sekund. Zatrzymaj powietrze – na sekundę. Wydech przez usta – spokojnie, przez cztery lub pięć sekund. To wszystko. Nie musisz tego robić teatralnie. Ludzie nawet nie zauważą, że to robisz. Ale poczują, że jesteś spokojniejszy, bardziej opanowany.

Ten oddech daje ci chwilę na wybór. Dzięki niemu decydujesz, czy odpowiesz mądrze, czy w ogóle nie odpowiesz. Bo w rozmowie nie szybkość jest najważniejsza. Najważniejsza jest intencja. A cisza jest moim ulubionym bohaterem drugoplanowym. Moja książka nie jest o gadaniu. Jest



FOT. GETTY IMAGES

WEŹ ODDECH

Oddech daje czas. Czas na to, by nie powiedzieć głupoty.
Albo by nie odpowiedzieć wcale.

o myśleniu przed mówieniem. Albo o nie-mówieniu wcale.

Ludzie myślą, że milczenie to brak komunikacji, a to często jej najgłębsza forma.

Pamiętasz przysięgłego numer osiem z filmu „Dwunastu gniewnych ludzi”?

– Oczywiście, kocham ten film. Henry Fonda zagrał tam cudowną postać – kogoś, kto zadaje właściwe pytania, poświęca czas, kto nie wyskakuje od razu z opiniami i wnioskami. Nie daje się łatwo sprowokować.

W „Dwunastu gniewnych...” cała siła rozmowy polega na tym, że jeden człowiek nie chce wygrać. Chce zrozumieć. To twój model?

– Zdecydowanie. Henry Fonda grający przysięgłego numer osiem nie osądza – zadaje pytania i szuka głębszego sensu. Nie po to rozmawiamy, żeby wygrać, ale by zrozumieć.

Druga sprawa to kontrolowanie emocji i tempa rozmowy. W filmie widać, że Fonda nie reaguje gniewem, nawet gdy reszta przysięgłych się unosi. On spowalnia tempo, daje sobie i innym czas – dokładnie tak, jak uczę w mojej książce: powtórzę – cisza, pauza, oddech mogą być potężniejszym komunikatem niż tysiąc słów.

Ważna w tym filmie jest umiejętność wpływu na ludzi bez forsowania swojego zdania. Przysięgły numer osiem nie przekonuje innych siłą, nie podnosi głosu.

On spokojnie, logicznie prowadzi rozmowę tak, że inni sami zaczynają myśleć inaczej.

Ludzie dziś rozmawiają, by wygrać. Ja uczę, jak rozmawiać, by dotrzeć.

To różnica. Fonda nie mówi: „Masz rację”, „Nie masz racji”. On mówi: „Po prostu... posłuchajmy jeszcze raz”. To dla mnie prawdziwa siła komunikacji – wpływać, nie dominując, tylko budując mosty. Pamiętamy, że był sam przeciwko wszystkim. Ale nawet w tej sytuacji zachował spokój i wierność wartościom. To ogromnie ważne w dzisiejszym świecie, w którym presja grupy często sprawia, że łatwiej jest milczeć.

Czasem największą odwagą w rozmowie jest po prostu powiedzieć: „Nie jestem pewien”. Dlatego kocham ten film. Bo pokazuje, że prawdziwa komunikacja – taka, która zmienia ludzi i świat – nie polega na przekrzykiwaniu innych, ale na słuchaniu, rozumieniu, zadawaniu pytań i dawaniu przestrzeni na zmianę.

Zanim napisałeś mądrą książkę, nagrałeś banalne z pozoru filmiki z samochodu, które migiem zdobyły miliony widzów. Wytlumacz się: chodzi o to, że jesteś przystojny czy mądry?

– To magia: „szybciej, łatwiej, konkretniej”. Moje shortsy są bardzo proste i łatwe do przyswojenia. Ludzie dzisiaj nie mają czasu na długie wykłady. Chcą wiedzieć od razu, co zrobić, a nie czytać rozprawy filozoficzne. Dlatego moje klipy to jak espresso komunikacyjne – szybkie, mocne i stawiające na nogi. Możesz je zastosować od razu w codziennym życiu, bez doktoratu z komunikacji.

Czyli z jednej strony trzeba umieć mówić szybciej, niż się myśli, a z drugiej – szanować ciszę. I jeszcze social media, zoomy, shortsy. Czy to nie walka z wiatrakami?

– Z jednej strony tak. Ale z drugiej – ludzie mają już dosyć paplaniny. Chcą głosu, który nie krzyczy, przekazu, który zostaje. Moje filmy są krótkie, proste i wbrew pozorom ciche. Nie jestem też szczególnie ekspresyjny, po prostu przekazuję wiedzę. Lepiej w dyskusji być jazzmanem niż perkusistą deathmetalowym. Często mówię moim klientom: „Zanim otworzysz usta, sprawdź, czy masz do powiedzenia coś więcej niż tylko hałas”.

To bardzo kowbojskie. Myślisz, że sędziowie w sprawach, które prowadzisz, są już gotowi na inną postawę twoich klientów – czekają na pauzy i „konwersacyjne oddechy”?

– Myślę, że niektórzy sędziowie nadal przyzwyczajają się do mojego stylu, ale w większości przypadków komunikacja jest już bardzo efektywna. Kiedy ktoś, kto jest moim klientem, wchodzi na salę, zauważają, że nie reagujemy od razu, że jesteśmy spokojni, mamy kontrolę nad sytuacją.

Więc tak, sędziowie zaczynają zauważać, że kiedy przychodzi klient Fischera, to będzie inna rozmowa. Dużo spokojniejsza.

Ale przecież świat to nie tylko rozmowy przy kawie. Co, kiedy ktoś atakuje, prowokuje?

– Wtedy wchodzi w grę moje trzy kowbojskie kroki. Po pierwsze, poproszę, by powtórzył: „Przepraszam, co powiedziałeś?”. To jak cofnięcie się o krok, by lepiej ocenić sytuację.

Po drugie, zapytaj o intencję: „Czy chciałeś mnie obrazić?”. To jak pokazanie, że masz lasso, ale nie musisz go używać.

A po trzecie – jeśli ktoś przyzna się do złych intencji, podziękuj za szczerość i odejdź w stronę zachodzącego słońca.

Nie musisz wygrywać z każdym, nie musisz każdej potyczki kończyć strza-

**Ludzie dziś rozmawiają,
by wygrać.
Ja uczę, jak rozmawiać,
by dotrzeć.**

eprasa.pl b41b8bc9bf



Unia u nas, my w Unii. Tego się trzymamy

POLAK. Czytaj EUROPEJCZYK

III RP musiała szukać dla siebie struktur bezpieczeństwa i rozwoju.
Najlepszą opcją były Unia i NATO. Udało się.

Jan Król*

Jestem i czuję się Polakiem i Europejczykiem! Dlaczego? Bo urodziłem się w Polsce, a Polska leży w Europie. Proste jak drut. Ale nie wszyscy to rozumieją, historycznie i współcześnie.

Dramaty wojenne, których doświadczyła Europa i Polska w swojej historii, ciągle dają znać o sobie. A brutalna agresja Rosji na Ukrainę zakłóciła bieg pokojowej koegzystencji europejskich państw i narodów trwający od zakończenia II wojny światowej. Wyjątek to przemocowy rozpad Jugosławii.

Ale przecież Europa to nie tylko wojny, ale też wielowiekowa tradycja i ogromny dorobek we wszystkich aspektach ludzkiego życia, począwszy od starożytnych Greków i Rzymian, poprzez burzliwe wpływy chrześcijaństwa, czas oświecenia, industrializacji, odkryć i wynalazków, humanizmu i dialogu.

Hasło wyborcze Karola Nawrockiego: „Po pierwsze Polska, po pierwsze Polacy” – jest zatem ułomne, niepełne. Bo dzisiaj interes Polski nierozdzielnie związany jest z interesem Europy i Europejczyków. I ma rację Raphaël Glucksmann, przewodniczący komisji ds. obcych wpływów w Parlamencie Europejskim, gdy mówi: „Jeśli chcemy pokoju na kontynencie, musimy jasno dać znać, że Warszawa nie jest daleko. Że Warszawa to my. Wszyscy jesteśmy Polakami, wszyscy jesteśmy Europejczykami. A naszej wspólnej przestrzeni trzeba bronić wspólnie” („Wyborcza”, 5 kwietnia 2025).

W roku 1989, po wyborach wygranych de facto przez solidarnościową opozycję, więcej było pytań

niż gotowych odpowiedzi: Jak ukształtują się władze w Polsce? Jak zareagują na nową sytuację nasi sąsiedzi, w tym egzystujący jeszcze ZSRR? Jak zachowa się społeczeństwo polskie i krajów europejskich?

Szczęśliwie mieliśmy do czynienia z pieriestrojką, z hasłami jawności, przyspieszenia reform i zatrzymania wyścigu zbrojeń u naszych wschodnich sąsiadów, którym przewodził względnie liberalny Michail Gorbaczow, a następnie czujący wiatr historii Borys Jelcyn.

Pojawiło się – sięgając do języka sportowego – „okienko transferowe”, które nie tylko my jako Polska, ale również cały blok komunistyczny potrafiliśmy zagospodarować.

Suverenność poszczególnych krajów stała się faktem. Ten wielki zwrot historyczny, poza Jugosławią oraz zabójstwem prezydenta Rumunii i jego żony, przebiegł bezkrwawo. To, co działo się na przełomie roku 1989 i na początku lat 90., graniczyło z cudem.

Ciągle jednak pojawiało się pytanie: Co dalej? Cały świat patrzył z zapartym tchem, jak potoczą się losy społeczeństw i państw, które weszły na drogę wolności i demokracji. Historia podpowiadała, jak łatwo się stoczyć w kierunku anarchii lub dyktatury.

Mieli tego świadomość liderzy nowo powstających partii i rządów. W Polsce – która miała takich przywódców jak Lech Wałęsa, Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek, Leszek Balcerowicz, Jacek Kuron, Jerzy Regulski czy Krzysztof Skubiszewski – w sprawach strategicznych, a w szczególności znalezienia dla kraju nowego miejsca w Europie i świecie nie mieliśmy zasadniczych sporów. Najpierw udało się w krótkim czasie zawrzeć traktaty ze wszystkimi naszymi sąsiadami (zjednoczonymi

Niemcami, Litwą, Czechosłowacją, Białorusią, Ukrainą i Rosją).

Przeogromna w tym zasługa prof. Skubiszewskiego, szefa MSZ w czterech kolejnych rządach (Mazowieckiego, Jana Krzysztofa Bieleckiego, Jana Olszewskiego i Hanny Suchockiej). Ta ciągłość w polityce zagranicznej pozwoliła na wyprowadzenie z Polski wojsk sowieckich i nadanie nowego kształtu naszym stosunkom z krajami europejskimi oraz ze Stanami Zjednoczonymi.

Jednoznaczne wsparcie dla takiego kierunku zmian geopolitycznych istniało tak w społeczeństwach odzyskujących niepodległość, jak i w społeczeństwach Europy Zachodniej oraz USA. Zainteresowanie i przychylność wykazywały także Kanada, Japonia, Korea Południowa, Australia. Wszystkie te kraje trzymały za nas kciuki tak politycznie, jak i gospodarczo. Na szczęście wsparcie militarne nie było potrzebne.

I nadszedł czas absolutnie kluczowych decyzji i działań, bo kraj odzyskujący niepodległość nie może zawisnąć w próżni. Polska, tragicznie doświadczona ze względu na swoje położenie między Niemcami a Rosją, musiała podjąć decyzję, na jakich strukturach bezpieczeństwa i rozwoju ma się oprzeć. Optymalnym dla nas rozwiązaniem była Unia Europejska jako związek polityczno-gospodarczy oraz NATO jako sojusz wojskowy.

Na początku lat 90. pełnoprawny udział w tych strukturach wydawał się mrzonką. Ale z biegiem czasu, przy ponadpartyjnym porozumieniu i przy wsparciu Kościoła, a konkretnie Jana Pawła II, cel ten nabierał konkretnych kształtów.

Zabiegi dyplomatyczne, formalne i nieformalne naciski, a przede wszystkim budowanie nowoczesne-

go, praworządnego, demokratycznego państwa robiły swoje.

Mniej napięć budziły nasze aspiracje do członkostwa w Sojuszu Północnoatlantyckim. W tym obszarze zabiegi miały mniej spektakularny, a bardziej kameralny charakter. A poza tym chodziło o zwiększenie militarnego bezpieczeństwa, czego nikt nie próbował podważać.

Ale już w kwestii członkostwa w Unii pojawiły się polityczne emocje i różnice zdań. Czy nie tracimy suwerenności choćby dlatego, że ustawodawstwo UE jest nadrzędne w stosunku do prawa krajowego, że wiele regulacji unijnych dotyczących nawet życia codziennego musi być respektowane w krajach członkowskich, że z jednej strony pojawia się wolność w przepływie ludzi, towarów i usług, ale z drugiej zaistnieje konieczność respektowania wspólnotowych standardów. Wielkie obawy, że nie podolają europejskiej konkurencji, sygnalizowali rolnicy.

Te wątpliwości i zastrzeżenia miały swoje odbicie w parlamentarnych debatach i wpływały na pewien dystans sporej części opinii publicznej wobec perspektywy członkostwa. Tymczasem decyzja w sprawie przystąpienia do UE miała zapaść w drodze referendum.

I tak, 7 i 8 czerwca 2003 r. odbyło się głosowanie. Frekwencja nie była zachwycająca – 58,85 proc. uprawnionych wzięło w nim udział, ale za to aż 77,45 proc. opowiedziało się za członkostwem, a tylko 22,55 proc. było przeciw.

Wielką rolę w uzyskaniu takiego wyniku odegrały rzetelna informacja oraz duża aktywność środowisk politycznych i społecznych zaangażowanych w proces doprowadzenia Polski do Unii.

Tak spełniło się marzenie wielu pokoleń o znalezieniu się Polski pośród krajów zachodniej Europy na zasadzie partnerstwa i równorzędności. O takim kształcie naszego kontynentu myśleli tacy wizjonerzy jak: książę Adam Jerzy Czartoryski, Stanisław Staszic, Józef Hoene-Wroński.

Bardzo konkretny kształt tej idei nadał Wojciech Bogumił Jastrzębowski, autor „Konstytucji dla Europy” opublikowanej w 1831 r., w 40. rocznicę uchwalenia Konstytucji 3 maja.

Ten wybitny polski przyrodnik, jeden z twórców ergonomii i uczestnik powstania listopadowego, postulował jedność narodów, która gwarantowałaby pokój, zniesienie granic, ujednolicenie prawa, ustanowienie wspólnych organów władzy, powołanie europejskiej armii; sprzeciwiał się karze śmierci.

Pamięć o tym wielkim patriotcie przywrócił inny wybitny Polak, aktor Olgierd Łukaszewicz, powołując My Obywatele Unii Europejskiej – Fundację im. Wojciecha B. Jastrzębowskiego w momencie, w którym Polska pod rządami PiS-u zaczęła się staczać na margines Unii.

Idea europejska ożyła po doświadczeniu I wojny światowej. Austriacki arystokrata Richard Coudenhove-Kalergi w książce „Paneuropa” pisał, że tylko zjednoczona Europa jest w stanie sprostać wyzwaniom płynącym z innych regionów świata. Paneuropa jako związek obronny miała dbać o bezpieczeństwo tworzących ją państw i wspierać ich gospodarczy rozwój.

Czego doświadczyła Europa i świat od lat 30., nie trzeba przypominać. Brak wystarczająco mocnych instrumentów w polityce międzynarodowej, które postawiłyby tamę faszystowskiemu hitlerowskiemu szaleństwu, dał o sobie znać tragedią II wojny światowej. Powołana w 1920 r. Liga Narodów nie była w stanie wypełnić swojego zadania.

Czy ludzkość musi doświadczyć tak strasznych wstrząsów, aby myśleć o rozwiązaniach, które gwarantowałyby pokój i dobrobyt? Zachodniej Europie to się udało, gdy grupa mężów stanu nazwanych ojcami założycielami – Robert Schuman, Konrad Adenauer, Jean Monnet, Alcide De Gasperi, Altiero Spinali, Paul-Henri Spaak, Winston Churchill, Sicco Mansholt, Walter Hallstein, Joseph Bech, Johan Willem Beyen – doprowadziła do powstania w 1951 r. Europejskiej Wspólnoty Węgla i Stali. Stworzyło ją sześć krajów: RFN, Francja, Włochy, Holandia, Belgia i Luksemburg. Wcześniej powstały NATO i Rada Europy.

Wszystkie te przedsięwzięcia wspierane przez USA miały na celu niedopuszczenie do wojen, jakie wcześniej przetrząsały się przez Europę i cały świat.

Żelazna kurtyna stworzona przez ZSRR uniemożliwiła pójście drogą demokracji, suwerenności i wolności krajom Europy Środkowo-Wschodniej. I wydawało się, że sytuacja ta w dającej się przewidzieć przyszłości się nie zmieni, a wszelkie próby zmiany spotkają się z brutalną, siłową reakcją głów-

nego hegemonu. Tak stało się na Węgrzech w roku 1956 czy w Czechosłowacji w 1968.

Jednak dążenie do wolności, suwerenności i demokracji w społeczeństwach bloku socjalistycznego nie wygasło, a 10-milionowy ruch polskiej „Solidarności” uwiłdocił światu, że nie ma zgody na odgrywanie roli satelity ZSRR.

NATO wprowadziło do swojego grona Polskę, Czechy i Węgry w 1999 r., było to pierwsze rozszerzenie Sojuszu na kraje dawnego Układu Warszawskiego, a Unia przyjęła do siebie osiem krajów Europy Środkowo-Wschodniej oraz Cypr i Maltę w 2004 r. W ten sposób została stworzona nowa konfiguracja polityczna, wojskowa i gospodarcza.

Szczególne nadzieje i radość budziło zwiększone poczucie bezpieczeństwa, a otwarcie granic pomiędzy krajami członkowskimi potwierdzało wolę budowania wspólnej Europy nie tylko państw, ale także narodów.

Ponad 26 lat obecności Polski w NATO oraz dwie dekady członkostwa w Unii potwierdziły wielki sens podjętych przed laty decyzji. Przyspieszony wzrost gospodarczy nowych krajów członkowskich, miliardy przeznaczone na inwestycje infrastrukturalne, interesujące programy edukacyjne i kulturalne – to wszystko wytworzyło wartość dodaną i starym, i nowym członkom UE.

Ale... Właśnie to „ale” dzisiaj daje o sobie bardzo mocno znać i stawia nowe pytania zarówno przed NATO, jak i przed Unią. Wolny przepływ pracowników oraz finansowanie nowych członków przez bogatsze państwa spowodowały brexit, w 2020 r. Wielka

Raphaël Glucksmann,
europoseł francuski:
„Jeśli chcemy pokoju
na kontynencie,
musimy jasno dać znać,
że Warszawa nie jest
daleko. Że Warszawa to
my. Wszyscy jesteśmy
Polakami, wszyscy
jesteśmy Europejczykami”

Brytania opuściła Unię. To był wielki cios w europejską Wspólnotę.

Na brexit w jakiejś mierze wpłynął kryzys finansowy 2008 r., również pandemia COVID-19 nie szczędziła napięć i niepokojów.

Kolejnym wielkim wyzwaniem, przed którym stanęły władze krajowe i unijne, był ogromny, niekontrolowany napływ uchodźców. Wspaniały gest Angeli Merkel, wówczas kanclerz Niemiec, motywowany najgłębszymi przesłankami humanitarnymi, polegający na wpuszczeniu do kraju ponad 1 mln uchodźców, zaowocował jednak lękiem w znacznej części niemieckiego społeczeństwa oraz wzrostem poparcia dla sił nacjonalistycznych.

Przed wielkim wyzwaniem związanym z falą uchodźców stanęły kraje frontowe, jak Włochy czy Grecja, a ostatnio także Polska z powodu prowokacyjnej polityki Białorusi i Rosji zachęcającej uchodźców do przyjazdu na ich tereny, a następnie siłowe ich wpychanie na terytorium Polski. Pojawił się poważny kryzys humanitarny skutkujący nie tylko budową barier na granicy, ale też odejściem od prawa migrantów do starania się o azyl.

Unia stanęła też przed nieuchronnością deregulacji wielu obszarów życia, głównie gospodarcze-

◀ **Rynek w Krakowie. Wspólne śpiewanie „Ody do radości”, hymnu Unii Europejskiej. (26.03.2023).**

FOT. JAKUB WŁÓDEK/

AGENCJA WYBOR-

CZAPL

go, aby sprostać światowej konkurencji, głównie ze strony USA oraz Chin czy Indii.

Podobno Unia wzmacnia się poprzez kryzysy. Obronną ręką wyszła z kryzysu finansowego, pandemii koronawirusa, brexitu. Walczy z kryzysem uchodźczym. Musi stawić czoło pukającemu do drzwi kryzysowi demokracji w obliczu rosnących w siłę formacji wrogich UE: populistycznych, nacjonalistycznych, ksenofobicznych i autokratycznych, które dają mocno o sobie znać w Austrii, we Francji, w Niemczech, Niderlandach, na Węgrzech, Słowacji, ale też w Polsce.

I na to wszystko nałożyła się wojna rosyjsko-ukraińska oraz niespodziewana, przekreślająca dotychczasowy ład międzynarodowy polityka nowo wybranego prezydenta USA Donalda Trumpa i jego ekipy.

Trump rzucił wyzwanie zarówno NATO, jak i Unii, a snując pomysły przejęcia Kanału Panamskiego, Kanady, Grenlandii czy Strefy Gazy, ociera się o bardzo niebezpieczne wishful thinking. Bezprecedensowa podwyżka cel na towary dla wszystkich krajów eksportujących do USA wywołała wojnę handlową.

Myślenie Trumpa o napaści Rosji na Ukrainę, w którym prezydent nie rozróżnia agresora i ofiary, a ścigany za wojenne zbrodnie Putin okazuje się jego równorzędnym partnerem, jest kompromitujące. Nie wkraczam na teren prowadzonej przez niego polityki wewnętrznej, ale zaczyna ona, już po nieco ponad trzech miesiącach, dewastować USA jako państwo prawa, odpowiedzialności i demokracji, a pierwsze masowe protesty, we wszystkich stanach USA, są zapowiedzią wielkiego sprzeciwu wobec obecnego prezydenta.

Potrzebna jest zatem większa integracja krajów Unii w sferze bezpieczeństwa i polityki międzynarodowej. Aby to osiągnąć, nie jest możliwe kontynuowanie zasady jednomyślności, gdyż jest ona równoznaczna z liberum veto; a ono doprowadziło Rzeczpospolitą do upadku.

Dziś obserwujemy to na przykładzie zachowań Węgier, do których dołącza Słowacja. Nie może jeden czy dwa kraje blokować decyzji pozostałych, to droga donikąd. W takim przypadku spada zdolność do podejmowania szybkich decyzji, które są niezbędne przy autorytarnych rządach Putina, Xi Jinpinga i dołączającego do nich ochoczo Trumpa.

Rozszerzanie Unii winno pozostać dalszym strategicznym celem, ale powstaje pytanie, czy nie byłoby zasadne stałe rozróżnienie członkostwa i statusu państw stowarzyszonych. To oczekiwanie Turcji przez ponad trzy dekady na członkostwo, a obecnie trzymanie w kolejce Ukrainy, Mołdawii, Gruzji, Serbii, Albanii, Czarnogóry, Bośni i Hercegowiny, Macedonii Północnej staje się męczące. Moim zdaniem nie ma dzisiaj warunków dla tak szerokiego rozszerzenia UE przy zachowaniu dotychczasowych zasad podejmowania decyzji. Prowadziłoby ono do rozsadzenia Unii od wewnątrz. Szedłbym bardziej w kierunku wzmocnienia statusu państw stowarzyszonych.

Członkostwo w Unii to także określone zobowiązania: do przestrzegania prawa, do respektowania praw człowieka, do wzajemnej solidarności i współpracy w sferze kultury, nauki, edukacji, do budowy silnych instytucji gwarantujących praworządność i walkę z korupcją.

Można jednak odnieść wrażenie, że wielu spośród nowych członków UE zainteresowanych jest głównie obfitymi transferami pieniężnymi ze strony bogatszych członków oraz swobodą przepływu osób, towarów i usług. W Polsce też widoczna jest ta tendencja, mocno wybrzmiewająca np. w negatywnym stosunku do wprowadzenia euro jako wspólnej waluty, do czego Polska zobowiązała się, wchodząc do UE.

Jeżeli istnieje ścieżka, która pozwala zostać członkiem Unii, to powinna być także droga do wykluczenia z członkostwa w sytuacji, gdy dany kraj nie dotrzymuje podstawowych reguł jej funkcjonowania, a ponadto czyni ciągłą obstrukcję wobec polityki organizacji, której jest członkiem. Jestem przekonany, że Węgry spełniają już te powody, dla których powinny być z Unii wykluczone.

Samodzielne opuszczenie Unii jest oczywiście możliwe, czego dowiódł brexit, a społeczeństwa i państwa, którym nie podoba się uczestnictwo w tej wspólnocie, bo ich zdaniem ogranicza ono suwerenność, pewne reguły narzuca, a na bogatszych nakłada obowiązek finansowego wsparcia uboższych, mogą UE opuścić.

Wiem, że łatwo to napisać, ale życie jest bardziej skomplikowane, a wartość UE jako wspólnoty poli-

tycznej, gospodarczej i kulturowej jest bezcenna, należy ją chronić.

Trwa ciągle dyskusja, czy Unia powinna być wspólnotą ojczyzn czy federacją z cechami jednego państwa na wzór USA. W moim przekonaniu w sferze bezpieczeństwa, polityki zagranicznej, praworządności, wspólnej waluty i polityki fiskalnej UE winna jawić się jako federacja. Natomiast w obszarze kultury, polityk społecznych, edukacji, ochrony zdrowia winna być wspólnotą ojczyzn.

Czy to możliwe w obliczu tylu wyzwań i zagrożeń, z którymi unijne kraje będą musiały się mierzyć? Poza sprawą bezpieczeństwa i obronności pojawiają się takie problemy jak starzejące się społeczeństwa, możliwe kolejne pandemie, ochrona zdrowia, polityka klimatyczna i środowiskowa, które będą wymagały większej koordynacji polityk krajowych.

Bo występuje z jednej strony oczekiwanie większej transparentności i demokratycznej legitymacji instytucji europejskich, a z drugiej różnicowanie interesów państw członkowskich, co może doprowadzić do wzrostu napięć wewnątrz UE, a to wymaga dużej elastyczności w poszczególnych politykach. Ta sytuacja z kolei daje wiatr w żagle populistom wszelkiego rodzaju składającym obietnice bez pokrycia. Wyraźnie widać to było podczas antyunijnej kampanii w Wielkiej Brytanii, która uwiodła większość, choć niewielką, wydawałoby się dojrzałych i świadomych Brytyjczyków.

Niejakim pocieszeniem może być to, że ostatnie badania dotyczące zadowolenia z obecności w UE, przeprowadzone we wszystkich krajach członkowskich, wykazały 74-proc. poparcie dla tej instytucji. Polska wypadła jeszcze lepiej, bo aż 84 proc. respondentów było za pozostaniem ich państwa w UE.

Należy zachować jednak pewien dystans do tych analiz socjologicznych, gdyż ta skala zadowolonych z członkostwa nie współgra ze skalą wsparcia dla ugrupowań i polityków wyrażających co najmniej eurosceptycyzm.

Konkludując: Unia, o ile nie tylko ma trwać, ale także umacniać swoją pozycję i rolę na mapie świata, musi wykazywać się z jednej strony zwartością i konsekwencją na miarę federacji w sprawach zarządzających o bezpieczeństwie i rozwoju wspólnoty, a z drugiej zachowywać cechy wspólnoty ojczyzn, gdyż wiele różnic i interesów poszczególnych krajów członkowskich i stowarzyszonych nie da się poddać tym samym rygorom regulacyjnym.

Historia, kultura, religia, wrażliwość społeczna, liczebność poszczególnych narodów decydujące o ich odrębności nie powinny być zacierane, chyba że unifikacja będzie następstwem ewolucyjnych zmian powodowanych postępem technologicznym, wymianą międzynarodową, otwartością i wzajemnym przenikaniem się różnic.

Dwa czynniki spowodowały zawirowanie w polityce światowej. Pierwszym jest brutalna agresja Rosji na Ukrainę. Rozpoczęła się w 2014 r. od niewinnego pojawienia się na Krymie „zielonych ludzików”, za którymi nadiągnęły nieoznakowane pojazdy. Drugim – nieprzewidywalna polityka USA pod przywództwem Trumpa.

W wyniku memorandum budapeszteńskiego o gwarancjach bezpieczeństwa podpisanego 5 grudnia 1994 r. Ukraina, Białoruś i Kazachstan uzyskały ze strony USA, Rosji i Wielkiej Brytanii zapewnienie o swojej suwerenności, integralności terytorialnej oraz powstrzymania się od wszelkich gróźb użycia siły. Z kolei państwa te zobowiązały się do przekazania strategicznej broni nuklearnej Rosji i przystąpienia do układu o nierozprzestrzenianiu broni jądrowej.

Ale dla Rosji pod rządami Putina takie porozumienie okazało się tylko świstkiem papieru. W swojej wielkoruskiej polityce sięgnął do tradycji Iwana Groźnego, Piotra I, Katarzyny Wielkiej, Stalina. Rosja ponownie stała się najeżdżcą, a Ukraina ofiarą.

Świat, a zwłaszcza państwa będące stronami memorandum, poza protestami nie stanęły jednoznacznie po stronie Ukrainy tracącej Krym. Zachęcony taką postawą Putin przystąpił w lutym 2022 r. do pełnoskalowej wojny.

Jednak plan podbicia Ukrainy w krótkim czasie się nie powiódł. Bohaterska postawa ukraińskiego społeczeństwa pod przywództwem prezydenta Wołodymyra Zełenskiego wspierana przez demokratyczny świat na czele z USA dała odpór agresorowi.

Niestety, wojna trwa nadal. Ukraina jest zbyt słaba, aby wypchnąć Rosjan ze swego terytorium, a wsparcie Zachodu zbyt wolne i niewystarczające, aby pokonać agresora.

Ja sam stałem na stanowisku, że bez wkroczenia wojsk NATO na teren Ukrainy nie jest możliwe pokonanie Rosji, ale jednocześnie mam świadomość, że atomowy szantaż Putina może się spełnić. W takiej sytuacji pokonanie Rosji i danie Ukrainie gwarancji bezpieczeństwa było mało prawdopodobne.

I w tym momencie wybory w USA zdecydowanie wygrał Trump. Już w kampanii zapowiadał, że gdyby to on był u władzy w USA, do najazdu Rosji na Ukrainę w ogóle by nie doszło, a gdy zostanie prezydentem, zaprowadzi pokój w 24 godziny.

Mijają ponad trzy miesiące, od kiedy został zaprzysiężony, a pokoju w Ukrainie nie ma. Co więcej, Trump wraz z dobraną przez siebie amatorską politycznie ekipą próbuje wywrócić dotychczasowy porządek międzynarodowy.

Zapowiada włączenie Kanady jako 51. stanu USA, ma chrapkę na przejście Grenlandii, przejmuje Kanał Panamski, atakuje UE, nie daje gwarancji solidarnej współpracy w ramach NATO, zbrodniarza Putina traktuje jak równorzędnego partnera, a przywódców dotąd zaprzyjaźnionych krajów traktuje z góry. Zachowuje się jak udzielny władca.

Zresztą już podczas swej pierwszej kadencji Trump rozpoczął kontrowersyjną politykę wobec NATO. Słusznie naciskał na zwiększenie wydatków obronnych poszczególnych członków, ale przyjmował agresywną, konfrontacyjną postawę, szczególnie wobec Niemiec, deklarując przychylność wobec Rosji. Traktował NATO jako obciążenie dla USA, a nie jako wkład swojego kraju w pokój i bezpieczeństwo.

Po 1989 r. pojawiło się w naszym regionie „okienko transferowe”. Jako Polska i jako cały dotychczasowy blok komunistyczny potrafiliśmy je zagospodarować

Taka polityka tworzy realne zagrożenie dla światowego porządku gwarantującego stabilność granic i zrównoważony rozwój.

I co na to Unia i członkowie NATO pozbawieni ochronnego parasola USA? Wyzwanie rzucone przez Putina i Trumpa wymaga podejmowania szybkich i jednoznacznych decyzji.

„Epoka zysków płynących z pokoju dawno się skończyła. Architektura bezpieczeństwa, na której mogliśmy polegać, przestała się sprawdzać. Europa musi przyspieszyć. Musimy inwestować w obronność, wzmacniać nasze zdolności i przyjąć proaktywne podejście do kwestii bezpieczeństwa” – powiedziałła przewodnicząca Komisji Europejskiej Ursula von der Leyen.

Strategia NATO jasno wskazuje na Rosję jako zagrożenie militarne dla Sojuszu. „Biała księga w sprawie obronności europejskiej – Gotowość 2030” stawia sprawę jasno: „Rosja jest w stanie wojny z Zachodem. Jeśli

WIERSZ POLECA ANDRZEJ ZAGOZDA

Joanna Pollakówna*

*Gdzie raki zimują?
W zatrutych wodach;
racze tułowia trą się chrzęstnie*

*Gdzie lisy zimują?
W zaczadzonych norach
zimne lisie futro do gliny lgnie*

*Gdzie uchodzą ludzie?
W nieżądaną stronę
niosąc lasy swoje
niosąc miasta swoje
murszejące w dłoniach.*

LIPIEC 68



***Joanna Pollakówna** - 1939-2002, poetka, eseistka, historyk sztuki. Autorka licznych tomów wierszy, prac o malarstwie polskim i europejskim, a także książek dla dzieci. Córka Seweryna Pollaka i Wandy Grodzieńskiej.

Wiersz za: Joanna Pollakówna, **„Wieczność dopełni. Wiersze z lat 1958-2002”**, wyb. Jan Zieliński, PIW, Warszawa 2023.

FOT. MICHAŁ MUTOR / AGENCJA WYBORCZA.PL

uda się jej osiągnąć swoje cele w Ukrainie, jej ambicje terytorialne pójdą dalej”.

Według komisarza UE ds. obrony i przestrzeni kosmicznej Andriusa Kubiliusa, z którym miałem przyjemność współpracować w roli współprzewodniczących zgromadzenia posłów Sejmu i litewskiego Sejmasu, Kreml chce wystawić na próbę słynny art. 5 Paktu Północnoatlantyckiego przed 2030 r. Ale dlaczego – pyta Kubilius – „450 mln Europejczyków nie może polegać na 340 mln Amerykanów, by obronić się przed 140 mln Rosjan, którzy nie są w stanie pokonać 38 mln Ukraińców?”.

W „Białej księdze” państwa członkowskie UE deklarują:

- znaczny wzrost wydatków na obronność;
- agregację zapotrzebowania i koordynację zakupów sprzętu potrzebnego do walki;
- niezachwiane, zintensyfikowane wsparcie dla Ukrainy;
- zarządzenie brakom w zdolnościach obronnych;
- stworzenie silnej, konkurencyjnej bazy przemysłowej.

W sferze obronności Unia ma działać zgodnie z zasadą pomocniczości i proporcjonalności, a nie zastępować państwa członkowskie NATO.

Ciekawe, że strategia opisana w „Białej księdze” w ogóle nie wspomina o USA, proponuje za to włączenie Ukrainy do wszystkich programów obronnych UE, tak by mogła być beneficjentem w takim samym stopniu, jak państwa członkowskie.

Wielka Brytania, Francja, Niemcy i kraje nordyckie proponują Trumpowi, by USA, jeśli chcą się wycofać lub zmniejszyć swoje zaangażowanie militarne w Europie, czyniły to powoli i w sposób skoordynowany. Europa w tym czasie uzupełniłaby swoje zdolności obronne gwarantowane w tej chwili przez NATO i w pełni przejęła dowództwo nad strukturami Paktu w regionie. Ale na to potrzeba około 10 lat.

Europa ciągle jest uzależniona od Amerykanów militarnie w sferze zdolności wywiadowczo-rozpoznawczych, systemów obrony powietrznej i przeciwrakietowej, odstraszenia nuklearnego, dowodzenia i sił lądowych. Te braki możliwie prędko należy uzupełnić.

W działaniu tym ma być pomocny program przeznaczenia na ten cel 800 mld euro. Z reguł unijnych zostanie wyłączony wzrost wydatków na obronność do maksy-

malnego limitu 1,5 proc. PKB rocznie w ciągu czterech lat.

Czy te plany i zamierzenia uda się wypełnić? Miejmy nadzieję, że tak. Kraje bloku demokratycznego mają wystarczający potencjał ludzki, gospodarczy i finansowy. Rzecz w sprawnej koordynacji opartej na współpracy oraz w poparciu opinii publicznej dla tych projektów.

Wydaje się również, że rysuje się możliwość powstania nowej struktury światowego bezpieczeństwa stworzonej przez zaczynającą działać „koalicję chętnych”, niewymierzoną w NATO czy w Unię, lecz wypełniającą lukę, przy niepewnych gwarancjach ze strony USA oraz stosowaniu „liberum veto” przez niektóre kraje UE.

Kończąc przygotowanie do druku wojennych wspomnień mojego taty oraz jego korespondencji z towarzyszami broni, którą prowadzili po 30 latach od zakończenia II wojny światowej. Książka ma nosić tytuł „Byłem Karpatczykiem. Przez 8 lat z Polski do Polski”.

To bezpośrednia relacja o obecności w charakterze oficera liniowego w tej straszliwej, wyniszczającej walce narodów, począwszy od kampanii wrześniowej 1939 r., przez fronty afrykański i włoski, po obóz przejściowy w Anglii, skąd wrócił do Polski.

Czy stoimy przed powtórką z historii? Czy skala wydatków na zbrojenia nie będzie powodowała chęci użycia broni w jeszcze większym stopniu? Dzieje ludzkości nie wykluczają takiego scenariusza. Ale nie jest on jedyny. ●

Opypy, kwiecień 2025



FOT. WOJCIECH SURDZIEL / AGENCJA WYBORCZA.PL

*Jan Król

• były poseł (1989-2001, OKP, UD i UW), wicemarszałek Sejmu RP (1997-2001). Tytuł tekstu od „Wyborczej”



Generał Alfred Jodl (stoi) podczas podpisania kapitulacji w kwaterze Naczelnego Alianckiego Dowództwa Sił Ekspedycyjnych w Reims, 8 maja 1945 roku. Po prawej siedzi admirał Hans-George von Friedburg, głównodowodzący niemiecką flotą, z lewej tłumacz, major Wilhelm Oxenius FOT. BETTMANN ARCHIVE / GETTY IMAGES

KAPITULACJA PISANA NA KOLANIE

**Tekst kapitulacji Trzeciej Rzeszy podpisany 8 maja 1945 r.
przez generała Alfreda Jodla przed Amerykanami liczył zaledwie pięć zdań.**

Bartosz T. Wieliński

– Co Niemcy mają w zasadzie podpisać? – amerykańscy generałowie patrzyli na siebie skonsternowani, gdy 4 maja 1945 r. do Reims dotarły wieści od marszałka polnego Bernarda Montgomerygo; stacjonował pod Lüneburgiem, mieście w głębi Niemiec, między Hamburgiem a Hanowerem. Tego dnia o godz. 18 brytyjski dowódca przyjął kapitulację Wehrmachtu w północnych Niemczech oraz okupowanych od prawie pięciu lat Danii i Holandii. Z jego kwatery niemiecka delegacja miała wyruszyć do położonego 630 km na zachód Reims, by rozmawiać o kapitulacji na innych odcinkach frontu na Zachodzie.

W tym ważnym dla historii Francji mieście położonym na wschód od Paryża, w tamtejszej katedrze Notre Dame koronowano prawie wszystkich królów Francji. W lutym 1945 r., gdy stało się jasne, że niemiecka ofensywa w Ardenach spaliła na panewce i upadek III Rzeszy jest kwestią czasu, przeniesio-

no tam kwaterę SHAEF, czyli Naczelnego Alianckiego Dowództwa Sił Ekspedycyjnych.

Stojący na jego czele generał Dwight D. Eisenhower dowodził dziewięcioma armiami, które od lądowania w Normandii 6 czerwca 1944 r. wypierały Niemców z okupowanej Francji i krajów Beneluksu. W styczniu 1945 r. wkroczyły na teren Rzeszy, w marcu udało im się sforsować Ren. Kwatera Eisenhowera mieściła się w zbudowanym z klinkierowej cegły kompleksie liceum technicznego i handlowego dla chłopców. Miejsce to wyglądem przypominało koszary.

Przez znajdującą się w ścianie bramę przechodziło się na dziedziniec otoczony ze wszystkich stron przysadzistymi budynkami, których fasady zdobiły trzy rzędy równiutkich okien. Dzięki temu na zewnątrz nikt nie wiedział, co się dzieje wewnątrz, a to, kto wchodził do środka z ulicy, podlegało ścisłej kontroli. Kompleks stał na uboczu, przy dworcu kolejowym i – w przeciwieństwie do poprzedniej kwatery w pałacu Wersalu – nie rzucał się w oczy. Tym bardziej że szkoła normalnie działała. Uczniów

przeniesiono jedynie do tylnej części zabudowań. Wojskowi zamieszkali w pokojach internatu, korzystali ze szkolnej kuchni, a na „war room”, czyli salę odprawy i planowania operacji, zaadaptowali spore pomieszczenie, w którym nauczyciele egzaminowali swoich uczniów.

Jednym słowem alianccy generałowie żyli w Reims we względnym komforcie i byli bezpieczni. Chroniła ich jedynie niewielka grupa żandarmów i oddział obrony przeciwlotniczej.

W kwietniu, gdy Armia Czerwona, sforsowawszy Odrę, stanęła na przedmieściach Berlina, alianci rozbili niemiecką obronę w Zagłębiu Ruhry, a następnie zajęli zachodnie i północne Niemcy. Na południu Amerykanie i Francuzi gnali w kierunku Alp. Gen. Eisenhower był przekonany, że Hitler wyjedzie z Berlina i będzie się bronić z ostatnimi wiernymi oddziałami w trudno dostępnym górskim terenie. Taki plan miała niemiecka generallcja, Hitler jednak odmówił opuszczenia Berlina. 30 kwietnia, gdy sowieccy żołnierze podchodzili pod bunkier przy Kancelarii Rzeszy,



popelił w nim samobójstwo. W testamencie na następcę wyznaczył dotychczasowego dowódcę Kriegsmarine, wielkiego admirała Karla Dönitza, który z Berlina ewakuował się do Flensburga, portowego miasta u nasady Półwyspu Jutlandzkiego.

Dönitz powołał nowy rząd Rzeszy i zamierzał uratować Niemcy, doprowadzając do ustania walk na froncie zachodnim. W ten sposób chciał zyskać czas dla żołnierzy i cywilów, by mogli uciec przed nadciągającymi od wschodu Sowietami. W otoczeniu wielkiego admirała pojawiały się też głosy, że Niemcy, zawierając zawieszenie broni z Brytyjczykami i Amerykanami, mogliby kontynuować walkę z Armią Czerwoną albo walczyć z Sowietami wspólnie z ich dotychczasowymi sojusznikami.

PODDAJCIE SIĘ ALBO ZGINIECIE

– Co to za jedni? Czego chcą? – wyszczerzał marszałek Montgomery na widok mężczyzn w mundurach Kriegsmarine i Wehrmachtu, których rankiem 3 maja brytyjscy żołnierze przyprowadzili na szczyt wzgórza Timeloberg, gdzie kwatrował w przyczepie.

Świadkowie tego zdarzenia wspominają, że brytyjski dowódca potraktował Niemców, jakby byli komiwojażerami. Najważniejszy z parlamentarzystów, w skórzanym płaszczu z dystynkcjami admirała, wyjął kartkę papieru i zaczął czytać po angielsku. Tłumaczenie propozycji kapitulacji nie szło mu najlepiej, więc po chwili przeszedł na niemiecki i kazał tłumaczyć tekst towarzyszącemu mu majorowi.

Dönitz nie chciał negocjować z Montgomerym osobiście, bo uważał się za głowę państwa. Na rozmowy wysłał delegację ze swoim zastępcą w Kriegsmarine, admirałem Hansem-Georgiem von Friedeburghiem, z propozycją poddania armii Wistła, która wówczas resztkami sił broniła się przed Sowietami na północny zachód od Berlina. Propozycję Montgomery odrzucił. Zażądał za to kapitulacji niemieckich wojsk, które pozostawały w styczności z dowodzoną przez niego 21. Grupą Armii, w skład której wchodziły jednostki brytyjskie, kanadyjskie i polskie.

Brytyjczyk zdawał sobie sprawę z tego, że alianci – w tym jego rząd – wykluczali jakiegokolwiek kompromisy w sprawie całkowitej kapitulacji Trzeciej Rzeszy. Z drugiej strony poddanie się Niemców stojących przed dowodzonymi przez niego brytyjską i kanadyjską armią umożliwiłoby dotarcie do Lubeki, zanim dotrą tam Sowietci. To posunięcie powstrzymałoby Armię Czerwoną przed wdarciem się na Półwysp Jutlandzki. Brytyjczycy w przeciwieństwie do Amerykanów nie mieli złudzeń i zdawali sobie sprawę z tego, że teren, na którym stanie noga sowieckiego żołnierza, będzie stracony. Von Friedeburg, który podczas negocjacji z trudem trzymał fason, nie miał pełnomocnictw, by omawiać ten temat. Wraz z adiutantem wrócił do Flensburga naradzić się z Dönitzem. Montgomery zakazał zaś lotnictwu atakować Niemców na lądzie. Bał się, że któryś z pilotów weźmie na cel samochód, którym poruszał się niemiecki admirał.

Kolejny rozkaz lotnictwu Montgomery wydał dzień później, gdy Friedeburg wrócił z pełnomocnictwami. Gdy Niemcy otoczeni przez dziennikarzy siedzieli już w namiocie rozbitym na wzgórzu Timeloberg, zapytał, czy podpisują kapitulację. Wówczas rozległ się warkot kilkunastu silników lotniczych. Nad Timeloberg przeleciała eskadra brytyjskich bombowców. Demonstracja siły uzupełniała ultimatum, które wcześniej przedstawił Niemcom brytyjski dowódca.

– Jeśli się nie poddać, to będę kontynuował z wami wojnę, co sprawi mi przyjemność. Ale wtedy wszyscy wasi żołnierze



Gen. Dwight Eisenhower pokazuje pióra przygotowane dla niemieckiej delegacji, którymi podpisali kapitulację. Pierwszy z lewej radziecki generał Iwan Susloparow, który wziął udział w uroczystości bez zgody Stalina. Z papierosem w dłoni gen. Walter Bedell Smith, który przyjmował w Reims kapitulację FOT. US ARMY SIGNAL CORPS/INTERIM ARCHIVES/GETTY IMAGES



Feldmarszałek Wilhelm Keitel podpisuje drugą kapitulację w Berlinie, przed marszałkiem Gieorgijem Żukowem FOT. U.S. ARMY LT. MOORE, NATIONAL ARCHIVES AND RECORDS ADMINISTRATION

Wśród obecnych nie było gen. Eisenhowera, który nie chciał pokazywać się publicznie z Niemcami, podpisanie kapitulacji scedował na swojego szefa sztabu gen. Waltera Bedella Smitha

i cywile mogą zginąć – powiedział Montgomery. Niemcy podpisali liczący siedem zdań dokument. Działania wojenne w północnych Niemczech miały zostać wstrzymane 5 maja o 8 rano czasu londyńskiego.

TRZEBA TO NAPISAĆ NA NOWO

Dönitz podobny manewr zamierzał zastosować wobec Eisenhowera i wysłał Friedeburga na rozmowy również do Reims. Dla alianckich wojskowych było jasne, że kapitulacja to akt prawny i dokument, który ma podpisać niemiecki admirał, musi zostać odpowiednio przygotowany. 5 maja 1945 r. Eisenhower nie dysponował projektem aktu kapitulacji, choć prace nad nim trwały już prawie dwa lata.

Po konferencji moskiewskiej jesienią 1943 r., na której zapadła decyzja o walce z Niemcami aż do ich bezwarunkowej kapitulacji, sporządzenie planów na przyszłość powierzono specjalnie powołanej Europejskiej Komisji Doradczej. W jej skład wchodził przedstawiciel USA, Wielkiej Brytanii i ZSRR, którzy spotykali się w Lancaster House, eleganckim pałacyku w zachodnim Londynie. Komisja, która zebrala się 117 razy, podzieliła Niemcy i Austrię na trzy strefy okupacyjne (w 1945 r. z amerykańskich i brytyjskich stref wykołała terytorium, które mieli przejąć pod kuratelę Francuzi), podzieliła też na sektory okupacyjne Berlin i Wiedeń. Projekt dokumentu, który miał usankcjonować kapitulację Trzeciej Rzeszy, był gotowy już pod koniec 1944 r.

Akt kapitulacji liczył 14 rozbudowanych artykułów, w których wyszczególniono nawet takie kwestie jak: zwolnienie jeńców, wyłączenie niemieckich radiostacji, przekazanie pod kontrolę aliantów przemysłu i siły roboczej. Ale ponieważ do prac komisji w końcu dopuszczono Francuzów, szczegóły musiały zostać także zaakceptowane przez przedstawicieli urzędującego w Paryżu Rządu Tymczasowego. Z tym że zgodnie z postanowieniami konferencji Wielkiej Trójki w Jalcie w lutym 1945 r. zwycięzcy mieli też po kapitulacji zadecydować o ewentualnym podziale Niemiec. Francuzów do Jalty nikt nie zapraszał, a dopisane do projektu aktu kapitulacji klauzuli o podziale Niemiec na części z nimi nie uzgadniał.

Dlatego Paryż – bojąc się, że decyzje zapadną bez udziału Francji – dokument oprotował. Zresztą do Reims tekst przysłano z pominięciem drogi służbowej, warunki kapitulacji Niemiec powinni oficjalnie przysłać Eisenhowerowi Połączeni Szefowie Sztabów, wspólny amerykańsko-brytyjski organ, który formalnie sprawował dowództwo nad siłami zbrojnymi obydwu krajów. A w Reims była tylko nieoficjalna kopia. W końcu dokument zakładał kapitulację niemieckich sił zbrojnych i państwa, co potwierdzić mieli wojskowi i przedstawiciele rządu Rzeszy. A po samobójstwie Hitlera nie było uznanego przez aliantów niemieckiego rządu. Dönitz był traktowany jako wojskowy, a nie jako prezydent. Jego władza zresztą ograniczała się w zasadzie do Flensburga i okolic.

– Pan ma chyba najszerszą wiedzę w tej sprawie – tymi słowami generał Harold Bull, szef wydziału operacyjnego SHAEF i trzecia w hierarchii osoba w Reims, powitał w swoim gabinecie brytyjskiego podpułkownika Johna Counsella, który brał udział w pracach nad dokumentem o kapitulacji. Po krótkiej rozmowie stało się jasne, że dokument trzeba napisać na nowo. I to błyskawicznie. Counsell, absolwent Oksfordu w cywilu, był aktorem, reżyserem i kierownikiem teatru w Windsorze. Praca z tekstem była dla niego chlebem powszednim – w SHAEF był ghostwriterem Eisenhowera, pisał dla niego komunikaty. Z racji zawodu potrafił świetnie improwizować.

Po kilku nieudanych próbach napisania tekstu kapitulacji od zera w desperacji przypomniał sobie artykuł dziennika amerykańskiej armii „Stars and Stripes” z 2 maja, w którym zamieszczono zwięzły tekst dokumentu o kapitulacji Niemców w północnych Włoszech.

WZORZEC Z CASERTY POD NEAPOLEM

Z tym wydarzeniem Dönitz i jego rząd nie mieli nic wspólnego. Negocjacje z Amerykanami prowadził SS-Obergruppenführer Karl Wolff, najwyższy dowódca SS i policji w okupowanych północnych Włoszech i zbrodniarz wojenny mający na sumieniu kilkadziesiąt tysięcy Żydów zamordowanych w Treblince. Rozmowy z rezydentem amerykańskiego wywiadu Allanem Dullesem (późniejszy dyrektor CIA) od lutego 1945 r. toczyły się w Szwajcarii z pomocą tamtejszych służb specjalnych. Hitler nie miał o nich pojęcia, ciągle liczył na cud, który powstrzyma zbliżających się od wschodu i zachodu przeciwników.

Wolff oferował Amerykanom poddanie się broniących się w północnych Włoszech jednostek Wehrmachtu, ale domagał się zgody na przerzucenie ich do Austrii, by mogły stawić czoła nacierającej na Wiedeń Armii Czerwonej. Plan okazał się mrzonką, a sytuacja pozbawionego wsparcia z Niemiec Wehrmachtu w północnych Włoszech stawała się beznadziejna. Amerykanom zaś zależało na czasie, bo w siłę rosła komunistyczna partyzantka.

Problemem byli jednak Sowietci, którzy chcieli uczestniczyć w negocjacjach, bojąc się, że zachodni alianci podpiszą z Rze-

szą osobne zawieszenie broni, a walki na wschodzie będą trwały. Stalin wysyłał w tej sprawie gniewne listy do prezydenta USA Franklina D. Roosevelta.

Przywódca SS Heinrich Himmler wiedział, że Wolff rozmawia z Amerykanami, ale nie znał szczegółów. Sam próbował zorganizować takie rozmowy za pośrednictwem szwedzkiego arystokraty Folke’a Bernadotte’a, z którym wcześniej wynegocjował zwolnienie ok. 20 tys. więźniów z obozów koncentracyjnych i ich przewóz do Szwecji. Przesłaną przez Szwedów poufną propozycję rozmów i kapitulacji na froncie Eisenhower odrzucił publicznie, demaskując plan Himmlera. Hitler próby negocjacji uznał za zdradę, pozbawił szefa SS wszystkich funkcji, kazał go aresztować i stracić.

Tymczasem Wolffowi i Dullesowi udało się osiągnąć porozumienie. Do podpisania formalnej kapitulacji doszło 29 kwietnia, w przeddzień samobójstwa Hitlera, w pałacu królewskim w Casercie pod Neapolem, gdzie mieściła się kwatera główna dowodzącego wojskami aliantów we Włoszech brytyjskiego generała Harolda Alexandra. Postanowienie wchodziło w życie 2 maja.

Counsell czytał artykuł w „Stars and Stripes”, nie znał jednak trzech podpisanych w Casercie obszernych załączników precyzujących, co ma się stać po kapitulacji z niemieckimi siłami zbrojnymi, lotnictwem oraz marynarką wojenną i flotą handlową. Wojsko dostało np. zakaz niszczenia sprzętu i dokumentów, okręty na Morzu Śródziemnym miały wrócić do baz. Brytyjski podpułkownik, pisząc swój dokument, takimi szczegółami nie zaprzętał sobie głowy. Akt kapitulacji całego Wehrmachtu liczył zaledwie pięć zdań, o jedno zdanie mniej niż dokument podpisany przez Niemców we Włoszech i trzy zdania mniej niż dokument, który podpisano w kwaterze Montgomeryego. Teraz tylko trzeba było przekonać do tego Niemców – a ponieważ kapitulacja miała dotyczyć całej armii Trzeciej Rzeszy – także Sowietów.

DÖNITZ WYSYŁA JODŁA

Friedeburg do Reims poleciał 5 maja brytyjskim samolotem transportowym. Maszyna z powodu niepogody nie wylądowała jednak na pobliskim lotnisku, tylko w Brukseli. Admirał Kriegsmarine musiał tłuc się do francuskiego miasta ponad 230 km, próg szkoły, w której kwaterował Eisenhower i jego sztab, przekroczył po godz. 17. Nie powitano go z żadnymi wojskowymi honorami. Po wejściu do budynku bezceremonialnie udał się do toalety, by przyszyć do koszuli świeży kołnierzyk.

Eisenhower wydelegował do rozmów z niemiecką delegacją gen. Smitha, który przygotował podrasowaną mapę sytuacji w Europie, na której oprócz walczących związków taktycznych zaznaczono kierunki natarcia dwóch nieistniejących alianckich armii. – Najwyraźniej nie zdaje pan sobie sprawy z tego, jak bardzo beznadziejna jest sytuacja Niemiec – powiedział Friedeburgowi. I zażądał natychmiastowej kapitulacji na wszystkich frontach. Friedeburg odparł, że przyjechał rozmawiać jedynie o kapitulacji na zachodzie, a na prowadzenie rozmów o froncie wschodnim nie miał upoważnienia od admirała Dönitza. Amerykanie pozwolili mu napisać do zwierzchnika wiadomość z prośbą o dodatkowe pełnomocnictwa, którą natychmiast przesłano radiem do Flensburga. Friedeburg, przekazując kartkę z tekstem, miał lzy w oczach. Była już noc, Niemców umieszczono w kwaterze w centrum Reims.

Rano okazało się, że Dönitz na rozmowy w alianckiej kwaterze głównej wysłał generała pułkownika Alfreda Jodla, szefa sztabu Naczelnego Dowództwa Wehrmachtu. W Reims przywitano go równie bezceremonialnie, jak i Friedenburga.

A gdy okazało się, że on też próbuje grać na zwłokę i nie chce podpisać całkowitej kapitulacji, wściekły Eisenhower kazał zagrozić mu, że alianci nie przepuszczą za swoją linię żadnego niemieckiego cywila i będą strzelać do oddziałów, które będą chciały się poddać.

Jodl przekazał informację Dönitzowi, który zwołał swój marionetkowy rząd i oświadczył z oburzeniem, że to, czym grożą Amerykanie, stanowi złamanie konwencji genewskiej. Ostatecznie ugiął się pod szantażem Eisenhowera i Jodl dostał zgodę, by podpisać przedstawiony przez Amerykanów dokument.

– Poniesiecie osobistą odpowiedzialność, jeśli warunki kapitulacji zostaną w jakikolwiek sposób złamane – w taki sposób Eisenhower zagroził Jodlowi, Friedenburchowi i towarzyszącemu im adiutantowi Jodla majorowi Wilhemowi Oxeniusowi. Rozmowa odbyła się w jednym z pomieszczeń szkoły w Reims, w której funkcjonowała SHAEF. Niemców zaprowadzono tam prosto z sali odpraw, gdzie 7 maja 1945 r. przed godz. 3 nad ranem podpisali kapitulację.

STALIN TEŻ CHCE CEREMONII

Kapitulację zorganizowano jak medialną ceremonię. Do sali najpierw wpuszczono dziennikarzy, potem o godz. 2.30 weszli do niej alianccy oficerowie, potem generalicja. Wśród obecnych nie było Eisenhowera, który nie chciał pokazywać się publicznie z Niemcami, podpisanie kapitulacji scedował na swojego szefa sztabu gen. Waltera Bedella Smitha. Wielką Brytanię reprezentował gen. Frederick E. Morgan, Francję – gen. François Sevez, a Związek Radziecki – generał Iwan Susłoparow, przedstawiciel ZSRR przy SHAEF. Zdecydował się wziąć udział w podpisaniu kapitulacji, mimo że nie dostał w tej sprawie żadnej odpowiedzi z Moskwy.

Następnie na salę wprowadzono Niemców, którzy zasalutowali, ale ich gest kolejny raz został przez aliantów zignorowany. Podpisawszy dokumenty, Jodl wygłosił oświadczenie, że Niemcy zdają się na łaskę zwycięzców i że ma nadzieję na dobre traktowanie. Słowa przyjęto w milczeniu. A potem trzech oficerów zaprowadzono do pomieszczenia przed oblicze Eisenhowera. Żadnej rozmowy nie było. Amerykanin krótko pouczył Niemców o odpowiedzialności, powiedział: „To wszystko”, po czym kazał im odejść.

O 8 rano nadeszła wiadomość z Moskwy. Stalin zabronił Susłoparowowi podpisywać czegokolwiek, a po kilku godzinach jego przełożeni kazali mu wracać do ZSRR. Generał błady jak ściana opuścił Reims. Sowieci znowu zarzucali Amerykanom, że próbują zawrzeć separatystyczny pokój. Stalin domagał się też własnej ceremonii, podpisania kapitulacji w Berlinie, przy której miał być obecny marszałek Gieorgij Żukow, a nie nikomu nieznanemu generał Susłoparow.

Jeszcze tego samego dnia gen. Jodla przewieziono do Karlshorst pod Berlinem, gdzie w dawnych koszarach saperów mieściła się kwatera główna sowieckiego dowództwa. Tam Jodlowi oraz naczelnemu dowódcy Wehrmachtu feldmarszałkowi Wilhelmowi Keitelowi pokazano tekst kapitulacji, którą dzień później, 9 maja, podpisali przed Sowiecami. Różnił się od tego z Reims – dodano do niego m.in. kwestię rozbrojenia jednostek. Po ceremonii Niemcy wrócili do Flensburga.

Keitel został aresztowany przez aliantów 13 maja, Jodl wraz z Dönitzem i innymi członkami jego rządu 10 dni później. Wszyscy odpowiedzieli przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Norimberdze. Dönitz za zbrodnie Kriegsmarine został skazany na 10 lat więzienia, Keitel i Jodl zostali powieszeni. Friedeburg jeszcze w maju, by uniknąć aresztowania, popełnił samobójstwo. ●

Stare dobre czasy

Ciarlatano

Porządny renesansowy szarlatan, jeśli chciał legalnie działać, musiał się stawić przed lokalną komisją medyczną.



Aż do oświecenia profesjonaliści medycy konkurowali z rzeszą zaklinaczy żmij, olejekarzy, rwaczy zębów, golibrodów oraz katów, którzy specjalizowali się w leczeniu ran.

Rzecznik praw pacjenta żalił się niedawno, że nie ma narzędzi, żeby walczyć z osobami, które nie mając odpowiedniego wykształcenia i nie będąc profesjonalistami medycznymi, stosują niepotwierdzone naukowo metody leczenia. Cudownym remedium na ich szkodliwą działalność mają być dodatkowe uprawnienia dla RPP, którym media nadały już nazwę lex Szarlatan. Szarlatani z uśmiechem na ustach oszukują ludzi, uzasadniał ich konieczność rzecznik. Żyjemy w czasach, gdy łatwo jest kogoś zmanipulować.

W rzeczywistości jednak szarlatani manipulują nami od latnych paru wieków. Ich ojczyzną była Italia, skąd pochodzi słowo „ciarlatano”.

Od schyłku średniowiecza określano tak wędrownych handlarzy, którzy sprzedawali cudowne remedia i zabawiali na rynkach publiczność popisami akrobatycznymi, recytacjami, pokazami egzotycznych zwierząt, na różne sposoby łącząc działalność medyczną z rozrywką.

Rynek usług medycznych wówczas był bardzo różnorodny. Chorzy szukali pomocy w trzech różnych kręgach:

- **kościelnym**, gdzie koncepcja choroby była połączona z grzechem i skuteczna mogła się okazać modlitwa do świętego wyspecjalizowanego w cudach, czyli uzdrawianiu danej choroby albo kontakt z relikwiami;
- **profesjonalnym**, gdzie leczenie postrzegano jako wiedzę, tu działały osoby mające wykształcenie akademickie lub uprawnienia cechowe do wykonywania zawodu lekarza lub pokrewnej profesji;
- **popularnym**, gdzie dominowali rozmaici praktycy medyczni niemający stosownego wykształcenia, ale osadzeni w tradycyjnej, empirycznej wiedzy, czyli m.in. szarlatani.

Granice między tymi kręgami bywały rozmyte. Zdarzało się, że szarlatanów przyjmowano do cechów medycznych, a nawet stawiali się oni tak popularni, że zaczęli wyklądać na uniwersytetach. Zasadniczo jednak na szczycie hierarchii medycznej u progu epoki nowożytnej stali lekarze, chirurdzy i nieco niżej aptekarze, a dalej położne i rozmaici praktycy.

Aż do oświecenia profesjonaliści medyczni konkurowali bowiem z ogromną rzeszą praktyków:

- zaklinaczy żmij, szarlatanów, wędrownych olejekarzy, rwaczy zębów, golibrodów, partaczy bez cechowych uprawnień, katów, którzy z racji wykonywanego zawodu specjalizowali się w leczeniu ran, złamań czy zwichnięć,
- profesorów sekretów biegłych w naturalnych remediach, sprzedawców ziół, wytwórców cudownych wód, olejków czy kordiałów, uzdrowicieli i znachorek.

Co gorsza, konkurowali również ze świętymi – żywymi i martwymi – a także z duchownymi. Na przykład od schyłku XVII w. bolońscy aptekarze wielokrotnie wnosili skargi na mnichów i mniszki, którzy produkowali i sprzedawali lekarstwa, psując im interes, aż wreszcie papież w 1737 r. zakazał zakonom tej niecnej działalności.

Porządny renesansowy szarlatan – czy też inny praktyk medycyny popularnej – jeśli chciał sprzedawać na rynku swoje mikstury lub wykonywać zabiegi medyczne, musiał się wcześniej stawić przed miejscową komisją medyczną, uiścić stosowną, niebagatelną opłatę i udowodnić skuteczność oferowanych medykamentów oraz zalecanych kuracji. W komisjach tych zasiadali lekarze, którzy wydając pozwolenia, licencje i przywileje, zachowywali kontrolę nad rynkiem medycznym, ale też dbali o to, by nie stosowano remediów i kuracji szkodliwych oraz niezgodnych ze stanem wiedzy, jak również wspierali praktyków bez formalnego wykształcenia.

Zazwyczaj egzaminowano delikwenta i sprawdzano skład leków, a w przypadku leków na truziczny i jady także empirycznie testowano ich skuteczność.

Na przykład w 1580 r. uzdrowiciel Bartolomeo Riccio uzyskał w Wenecji 10-letnią licencję na sprzedaż swojego oleju leczącego ukąszenia żmij po tym, gdy się dał przed komisją żmijom pokasać, a następnie się własnym remedium uleczył. W 1650 r. skuteczność podobnego lekarstwa przetestowano na dwóch psach wystawionych na żmijowe ukąszenia, a potem uleczonego.

Słowem, u progu epoki nowożytnej wielu szarlatanów i innych praktyków medycyny popularnej miało pozwolenia, licencje lub przywileje wydane przez stosowne organy administracji publicznej sankcjonujące ich działalność. Owi licencjonowani szarlatani zdobywali niekiedy ogromną popularność i znaczny majątek. Natomiast za działalność bez licencji groziły surowe kary, od grzywny i konfiskaty towaru po uwięzienie i wygnanie. Jest nieco przygnębiające, że dzisiaj regulujemy działalność szarlatanów mniej skutecznie niż władze renesansowych włoskich miast. ●

Anna Brzezińska

Anna Brzezińska

– pisarka, gwiazda polskiej fantastyki, mediewistka

„Nie jest rzeczą łatwą mówienie o »Shoah«. Jest w tym filmie magia, a magii nie sposób wyjaśnić. Czytaliśmy po wojnie setki świadectw o gettach, obozach zagłady i byliśmy nimi wstrząśnięci. Ale dzisiaj, oglądając film Claude’a Lanzmanna, spostrzegamy, że nie dowiedzieliśmy się niczego” – Simone de Beauvoir, francuska filozofka i aktivistka, pisała te słowa w roku 1985, kiedy „Shoah” weszło do kin.

30 kwietnia mija 40 lat od premiery dzieła francuskiego reżysera. Monumentalnego. Lanzmann pracował nad nim 12 lat. Studiował setki publikacji, m.in. teksty Primo Leviego, Roberta Antelme czy Jeana Rousseta, zbierał dokumentację w 14 krajach, sam tylko montaż „Shoah” zajął lat pięć.

Film, pokazywany w dwóch częściach, trwa dziewięć i pół godziny. Archiwum Lanzmanna, mieszczące się w United States Holocaust Memorial Museum w Waszyngtonie, obejmuje ponad trzysta godzin nagrań – 95 proc. materiału nawet nie weszło do filmu! Te „odrzucone” wykorzystano m.in. w dokumencie „Nie miałem nic poza pustką. Shoah Lanzmanna”, który był pokazywany premierowo w Polsce na w maju, na festiwalu Millennium Docs Against Gravity.

SŁOWA, TWARZE, MIEJSCA

Simone de Beauvoir wskazywała, że do zrozumienia „Shoah” potrzeba skupić się na trzech elementach: miejscach, słowach i twarzach.

„Miejsca. Pod maskami świeżo zasadzonych lasów i trawy Lanzmann odnalazł przerażającą rzeczywistość. Na tej zielonej łące znajdowały się doły w kształcie leja, w które wrzucano ciała Żydów. Do tamtej uroczej rzeki wrzucano prochy spalonych trupów. Oto spokojne zagrody, z których polscy chłopcy mogli słyszeć, a nawet widzieć, co się działo w obozach”.

„Głosy. Głosy opowiadają; przez większość część filmu opowiadają o tym samym: przejazd pociągu, otwarcia wagonów, z których wypadają trupy, łaknienie, niewiedza pełna obaw, rozbieranie do naga, otwarcie komór gazowych. Ale ani przez chwilę nie mamy wrażenia, że powtarza się to samo. Albowiem głosy są inne. [...] Głosy nielicznych ocalałych. Kilku osiągnęło pozorną pogodę ducha. Inni mówią z wielkim trudem; ich głosy łamią się, płaczą”.

„Twarze. Często mówią więcej niż słowa. Polscy chłopcy okazują współczucie. Jednak w większości wydają się obojętni, ironiczni lub nawet zadowoleni. Twarze Żydów współgrają z ich słowami. Najciekawsze są twarze Niemców. Twarz Franza Suchomela jest niewzruszona z wyjątkiem chwili, w której śpiewa pieśń pochwalną Treblinki i jego oczy zapalają się”.

Film zaczyna się w lasach koło Chelmina. Do tamtejszego obozu zagłady przywieziono kilkaset tysięcy mężczyzn, kobiet i dzieci. Ocalało kilkoro.

Kamera patrzy na dwóch z nich. Mordechaj Podchlebnik i Szymon Srebrnik. Ten drugi stoi na skraju polany, tuż pod lasem. Zaczyna się wiosna, ptaki śpiewają coraz chętniej. Szum drzew, szelest kamyka pod nogami. Sceneria jest sielska, niemal zaprasza do pikniku.

– Trudno rozpoznać, ale to było tutaj – opowiada Srebrnik. – Tutaj palono ludzi. Wielu ludzi. Tak, w tym właśnie miejscu. [...] Zawsze było tu spokojnie. Kiedy każdego dnia palono dwa tysiące osób, Żydów, panował tu taki sam spokój. Nikt nie krzyczał. Każdy robił, co do niego należało. Było cicho, jak teraz. [...] Nie da się tego opowiedzieć. Nikt nie potrafi wyobrazić sobie tego, co tam się wydarzyło. Nikt nie może tego zrozumieć. Nawet ja, dzisiaj.

Srebrnik był pierwszą osobą, do której dotarł Lanzmann. W obozie był członkiem tzw. hauskommando, sortował rzeczy po ofiarach. Potem opróżniał ciężarówkę i wrzucał ciała do dołów (tzw. waldkommando). Gdy miał trzynaście lat, podczas próby ucieczki, strażnik postrzelił go



• W filmie „Shoah” występuje m.in. Henryk Gawkowski, maszynista pociągów, którymi transportowano Żydów do Treblinki

FOT. LANZMANN/COLLECTION CHRISTOPHEL/EAST NEWS

40 LAT PO „Shoah”

Rozmawiał z katami, ofiarami i gapiami.
Nie dało się być bliżej Zagłady, niż znalazł się Claude Lanzmann.

Mateusz Demski

w szyję. Kula przeszła na wylot przez usta i nos; cudem ominęła najważniejsze ośrodki mózgu.

Mordechaj Podchlebnik, drugi ocalały: – Wszystko umarło, ale jest się tylko człowiekiem i chce się żyć. Więc trzeba zapomnieć. Dzięki Bogu za to, co zostało i że zapomina. I że się o tym nie mówi.

FILM NA PODSTAWIE NICOŚCI

Lanzmann mówił, że u źródeł „Shoah” stał fakt zniknięcia wszelkich śladów. Naziści pominęli Zagładę w kronikach filmowych; ukrywali obrazy masowych egzekucji. „Dowodem nie są ciała; dowodem jest ich brak. Specjalne jednostki zbierały popioły i wrzucały go do rzek albo na wiatr [...] Nie ma już nic, pozostała nicość i należało nakrę-

cić film na podstawie tej nicości” – tłumaczył Lanzmann w wywiadzie z profesorem Stuartem Liebmanem.

Podkreślał, że Zagłady nie tylko nie da się pokazać, ale nie da się odzwierciedlić poczucia „bycia tam wówczas”. Całkowicie zrezygnował z wykorzystania kronik i materiałów archiwalnych w filmie. Postawił na zapis rozmów, które sam przeprowadził. Do głosu dopuścił katów, ofiary i gapiów. Kolejarzy, którzy doprowadzali pociągi śmierci do Treblinki.

Bo jedyne, co mamy, to relacje świadków. „Listę Schindlera”, nagrodzony siedmioma Oscarami film Stevena Spielberga, nazwał Lanzmann obrazem anegdotycznym, sentymentalnym i pobożnym. „Holocaust jest wyjątkowy, ponieważ tworzy wokół siebie pierścień ognia, granicę, której nie można przekroczyć. Nie da się przekazać tej absolutnej grozy. Twierdzenie, że się to

robi, jest winne najcięższego wykroczenia. Fikcja jest tym wykroczeniem”.

Za obsceniczność uważał także pytanie o przyczynę Zagłady. Na potwierdzenie swoich słów przytaczał fragment z Primo Leviego o strażniku obozowym, który miał powiedzieć do więźniów: „Hier ist kein warum”. „Tu nie ma żadnego powodu”.

Lanzmann kierował się zasadą historyka Raula Hilberga, którego zaprosił przed kamerę: „Nie zaczynam od wielkich pytań, gdyż obawiam się zbyt małych odpowiedzi”. Ale od początku nie dawała mu spokoju jedna kwestia: jak wyglądały ostatnie sekundy przed pójściem do gazu? Zadręczał się tym, wiedząc, że nie ma świadków. Tylko nieliczne osoby przeżyły obóz. Nikt zaś z tych, które trafiły do komory. Na dokumentacji w Izraelu wpadł na trop Abrahama Bomby, fryzjera z Treblinki, który strzygł więźniarki i dzieci tuż przed wpus-

zeniem do środka gazu i uduszeniem. Który był przy nich w ostatnich chwilach. Nie dało się już być bliżej Zagłady.

WIDOK CUDZEGO BÓLU

– Kapo powiedział: „Fryzjerzy, macie tak się zachowywać, żeby wszystkie kobiety, które tu wejdą, wierzyły, że przyszły tu na zwykłe strzyżenie i wziąć prysznic, i że potem stąd wyjdą” – opowiadał Lanzmannowi w zakładzie fryzjerskim w Tel Awiwie, strzygąc klientów. – Ale my już wiedzieliśmy, że stąd się nie wychodzi, że to było ich ostatnie miejsce. [...] Byłem posłuszny rozkazom, ściąć włosy, tak jakby to robił fryzjer, u którego zamówiono strzyżenie. Na jeden raz... mniej więcej... sześćdziesiąt, siedemdziesiąt kobiet. Lanzmann sam zaproponował nakręcenie sceny w zakładzie fryzjerskim. Pomyślał, że te gesty, samo trzymanie nożyc i grzebienia w dłoni, mogą stać się podporą dla uczuć; może dzięki temu łatwiej będzie jego bohaterowi mówić i odtworzyć najdokładniej tamte sytuacje.

W pewnym momencie Bomba wspomina, że do komory gazowej weszły żona i siostra jego przyjaciela, innego fryzjera. Próbuje przerwać. Błaga reżysera, żeby nie przedłużać. Lanzmann uporczywie powtarza pytanie. Naciska, by mówił dalej; otwiera stare rany.

„Bo tak trzeba. Bo chodzi o to, żeby dać świadectwo”.

Wspominany fryzjer nie powiedział kobietom, że to ostatnia chwila ich życia. Próbował coś szepnąć, ale z tyłu stali esesmani. Tylko je uściskał; wiedział, że już więcej się nie zobaczą.

– Niektórzy dopatrzili się w tej niebezpiecznej scenie przejawu jakiegoś sadyzmu z mojej strony, tymczasem ja przeciwnie, uważam ją za paradygmat miłości, która nie polega na tym, żeby się wycofać na palcach na widok cudzego bólu, lecz jest przede wszystkim posłuszna kategorycznemu imperatywowi poszukiwania i przekazywania prawdy – pisał Lanzmann w swojej autobiografii „Zając z Patagonii”.

WOLAŁ ZABIĆ KAMERĄ

Wśród zarzutów wobec „Shoah” pojawiła się także pretensja, że reżyser do głosu dopuścił oprawców.

Lanzmann sporządził listę stu nazwisk: nazistowskich biurokratów, esesmanów; tych, którzy wykonywali rozkazy i największych sadystów. Telefonował do każdego, naiwnie myśląc, że zgodzą się stanąć przed kamerą. Drżącym głosem odpowiadali: „Bardzo panu dziękuję” i odkładali słuchawkę. Zaczął jeździć pod ich domy. Szarpać za klamki, nagabywać sąsiadów. Godzinami wystawał pod drzwiami Gustava Laabsa, kierowcy furgonетки z gazem, „mobilnej komory gazowej”, który brał udział w morderstwie dwustu tysięcy Żydów w Chełmnie.

Laabs nie wyszedł; zerkał na ekipę zza firanki.

Po kilku nieudanych próbach Lanzmann wyrobił fałszywy paszport, żeby ukryć żydowskie nazwisko. Przedstawiał się jako Claude-Marie Sorel z Ośrodka Studiów i Badań nad Historią Współczesną. Ani taka osoba, ani taki uniwersytet nigdy nie istniały.

Jedynym, który zgodził się na rozmowę, był Franz Suchomel, Unterscharführer SS z Treblinki. Nie wiedział jednak, że jest nagrywany ukrytą kamerą. Lanzmann miał pod garniturem schowany nadajnik i mikrofon. Złamał złożoną przed spotkaniem Suchomelowi obietnicę, że ten pozostanie anonimowy.

W przerwie nagrań Lanzmann wdał się w spór ze swoim operatorem. William Lubchansky, którego ojciec zginął w Auschwitz, powiedział wprost, że nie popiera jego opanowania i ma ochotę udusić Suchomela gołymi rękami. Lanzmann odparł, że nie chce robić tego w ten sposób. Woli zabić go kamerą.

Za namową reżysera Suchomel zaczyna śpiewać pieśń na cześć Treblinki. To jedy-

ny moment, kiedy jego oczy się zapalają; na twarzy pojawia się cień nostalgii, uśmiechu. Na chwilę staje się tym samym człowiekiem, który w obozie miał władzę nad życiem i śmiercią.

SĄSIEDZI

Przez pierwsze pięć lata pracy nad filmem Lanzmann nie przyjeżdżał do Polski. Wydawała mu się miejscem wyzutym z pamięci. Jedyne, co spodziewał się tam zobaczyć to nicość, pustka. W końcu zmienił zdanie. Tłumaczył, że dotarł nad Wisłę naładowany wiedzą jak bomba, ale brakowało mu zapalnika.

Polska stała się jego zapalnikiem. Bomba eksplodowała, kiedy Lanzmann przekonał się, że życie w pobliżu obozów zagłady toczyło się i toczy nadal, pomimo wszystko. Kiedy usłyszał: „można było podejść, można było oglądać z daleka”. Albo: „kiedy Chrystus chodził po ziemi, to Żydzi go ukrzyżowali, zamęczyli. Musieli odpokutować za ten grzech”.

Lanzmann trafił z kamerą do Chełmna, Grabowa i Treblinki, wchodził na podwórka i do zagród, rozmawiał i wypytywał. Chłopom, mieszkającym najbliżej miejsc zagłady, którzy widzieli, czuli i słyszeli Zagładę, zadawał to samo pytanie: „czy są zadowoleni, że nie ma już Żydów, czy smutni”. Chłopi nie kryli niechęci do żydowskich sąsiadów: „mi tam nie przeszkadzali, ale jak wiadomo żyli z wyzysku Polaków, z tego głównie żyli”, „Co ja mogę wiedzieć, to mnie nie interesuje, jestem zadowolona, bo teraz jest mi dobrze”.

Jeden z chłopów spod Grabowa mówi, że cieszy się, że Żydów już nie ma, ale byłoby lepiej, żeby udali się dobrowolnie do Izraela zamiast trafić do pieca.

OBOJĘTNOŚĆ I OBOJĘTNOŚĆ

Sprawa „Shoah” zdążyła wzbudzić ogólnonarodowe poruszenie zanim film trafił do Polski i ktokolwiek zdążył go zobaczyć.

– Różne siły próbują dziś zniekształcić historię, znieważać Polskę. Jedni składają hołdy esesmańskim oprawcom. Inni rzucają wobec naszego narodu ohydny potwarz, która ma przesłonić wstydlive karty ich własnej przeszłości. Cel jest jeden i ten sam: zrehabilitować kata i poniżyć jego ofiary. Tylko na taką moralność stać dzisiejszy imperializm – przemawiał Wojciech Jaruzelski podczas obchodów 1 maja w 1985 roku.

Następnego dnia „Trybuna Ludu” napisała, że „Shoah” to „antypolska propagan-

da”; próba przeniesienia odpowiedzialności Niemców za wojenne krzywdy na Polaków. Nagonka na Lanzmanna miała znaczenie propagandowe, a kontrowersje wokół filmu – ocieplić relację między Polakami a rządem Jaruzelskiego. 30 października 1985 roku Telewizja Polska pokazała skróconą przez Lwa Rywina, sprowadzoną do kilku wyciągniętych z kontekstu fragmentów wersję filmu. Lanzmann nazwał ją „masakrą”.

Ale i ci, którzy widzieli nieokaleczoną wersję filmu, i raczej trudno byłoby pośądzać ich o wrogość i antysemityzm, byli krytyczni. Gustaw Herling-Grudziński w „Dzienniku pisanym nocą” ubolewał, że Lanzmann dowiódł jedynie „Obojętności Polaków” wobec Zagłady, a nie „Obojętności Świata”. Jerzy Turowicz na łamach „Tygodnika Powszechnego” nazwał „Shoah” „dziełem wielkim”, ale jednocześnie „nieobiektywnym, tendencyjnym i w ostatecznej wymowie antypolskim”. Władysław Bartoszewski sugerował, że Lanzmann wybierał rozmówców „pod tezę” – nigdy nie skontaktował się ani z nim, ani z Markiem Edelmanem. Przepytywał także wyłącznie chłopów. „Co by szkodziło, żeby była choć jedna osoba z technicznym średnim wykształ-

Simone de Beauvoir wskazywała, że do zrozumienia „Shoah” potrzeba skupić się na trzech elementach:

miejscach, słowach i twarzach

eniem czy jeden z pięciu tysięcy polskich Sprawiedliwych?” – dociekał Bartoszewski.

ANTYPOLSKI CZY NIE?

Filmu bronili m.in. Jacek Kuroń w podziemnym „Tygodniku Mazowsze”, czy Jan Karski, który zresztą w „Shoah” też się wypowiada (Lanzmann nagrał ok. 8 godzin rozmowy, w „Shoah” wykorzystał 40 minut, po latach wykorzystał resztę materiału w innej produkcji, „Le Rapport Karski”).

Karski mówił dla Chicago TV, że nie dostrzega w filmie antypolonizmu. „Pierwsza fala polskich reakcji była historyczna [...] Większość nigdy tego filmu nie widziała, a nawet jeżeli widzieli, to widocznie nie zrozumieli albo nie chcieli zrozumieć jego intencji. Lanzmann jest zainteresowany tylko i wyłącznie mechanizmem Zagłady, nie interesują go stosunki polsko-żydowskie. Nie interesuje go, czy ludzie pomagali Żydom czy nie pomagali. W całym tym filmie tylko raz wspomina, że była wojna. Jego wojna nie interesuje. [...] A Polacy są w nim tacy, jacy są. Wstydzilem się słuchając niektórych wypowiedzi”.

Jednocześnie jednak w paryskiej „Kulturze” pisał, że to szkoda, iż nie pokazano cierpień nieżydowskiej ludności ani tych, którzy Żydom pomagali.

– Jeżeli chodzi o polski antysemityzm, to nie ja go wymyśliłem, od słów wypowiadanych przez niektórych mieszkańców Treblinki czy Chełmna zimno się robi, ale nie podlegałem ich do tego, wypowiadali się szalenie naturalnie i trudno mi było uwierzyć w to, co mówili – tłumaczył Lanzmann w autobiografii. Po latach w rozmowie z Anną Napiórkowską doda: „Nie mam nic przeciwko Polakom i Polsce. Nic nie mogli zrobić. Było kilku, którzy cierpieli, widząc tragedię Żydów, ale większość była obojętna. Taka jest natura ludzka” [...]. Nie twierdzę, że wszyscy Polacy są antysemitami, ale polski antysemityzm istniał. »Szoah« nie jest filmem antypolskim. Pokazałem w nim, że byli w tym czasie także wspaniali Polacy”. Ale to nie wyciszyło kontrowersji.

WSKRZESIĆ I ZABIĆ PO RAZ DRUGI

– Dzień, w którym zrozumiałem, że tematem filmu będzie śmierć sama w sobie, a nie przetrwanie, było objawieniem tak intensywnym, że od razu zrozumiałem, że nic mnie nie powstrzyma – powtarzał Lanzmann. – Byłem jak koń z kłapkami na oczach. Nie mogłem patrzeć ani w prawo, ani w lewo, tylko prosto przed siebie. Prosto w czarny krąg Shoah.

Po dwunastu latach brakowało tylko jednego: tytułu. Lanzmann zostawił sobie tę kwestię na ostatnią chwilę.

„Wiedziałem jedno: »Holokaust« przez swoją sztuczną konotację [słowo holokaustos oznacza z greckiego ofiarę całopalną składaną bogu – przyp. red.] nie wchodzi w grę, zresztą został już wykorzystany [...] Jak mogła istnieć nazwa na coś, co było absolutnie bezprecedensowe w dziejach człowieka?” – zanotował w autobiografii.

Ostatecznie różnie tłumaczył swój wybór: „Shoah to krótkie niejasne słowo nie do przeniknięcia, nie do rozbicia. Tego właśnie chcę, żeby nikt go nie rozumiał”. Albo: „Shoah to oczy, które widziały”.

Słowo weszło do słowników większości języków europejskich. Zastąpiło „ludobójstwo”, „Holokaust”, „ostateczne rozwiązanie”.

Ale dlaczego Shoah? Dlaczego tak mu zależało? Dlaczego każdego wieczora, przez dwanaście lat, myślał tylko o jednym? Lanzmann unikał odpowiedzi na te pytania, ale zostawił ją na taśmach, w swoich dźwiękowych pamiętnikach.

„Zawsze prześladowały mnie wspomnienia tych wszystkich ludzi, którzy umarli w samotności, porzuceni przez wszystkich. Chciałem nakręcić ten film, żeby ich wskrzesić i zabić po raz drugi. Żebyśmy mogli umrzeć razem z nimi; żeby nie umierali w samotności”. ●

Claude Lanzmann

● Rocznik 1925, urodził się i żył we Francji, ale jego dziadkowie byli Żydami ze sztetla pod Mińskiem na Białorusi. Jego pradziad miał koszerną jatkę i trzynaścioro dzieci. Dziadek wyjechał do Berlina, gdzie został krawcem, ostatecznie zakotwiczył się we Francji. W liceum wstąpił do Młodzieży Komunistycznej, w trakcie wojny zaciągnął się do Ruchu Oporu, jak ojciec. Ten wyrobił im fałszywe papiery w razie niespodziewanej tapanki. Po wojnie studiował filozofię na uniwersytetach w Tybindze i Berlinie, potem pracował jako dziennikarz. Pojechał do NRD i napisał reportaż „Niemcy za żelazną kurtyną”. Po publikacji odezwał się do niego Jean-Paul Sartre i zaprosił do redagowania lewicowego pisma „Les Temps Modernes”. Jeden z przygotowanych przez niego numerów liczył tysiąc stron i był



FOT. JOEL SAGET / AFP/EAST NEWS

poświęcony konfliktowi izraelsko-arabskiemu. Lanzmann był zapalonym syjonistą, wyrażał poparcie dla powstania państwa żydowskiego na historycznym terytorium Palestyny. Był krytykowany za apoteozę Tsahal, czyli Izraelskich Sił Zbrojnych.

● Na podstawie 350 godzin materiałów zebranych do „Shoah” Lanzmann nakręcił

jeszcze „Sobibór, 14 października, 1943, godzina czwarta” (2001), „Raport Karskiego” (2010), „Ostatni z niesprawiedliwych” (2013), „Cztery siostry” (2017).

● Zmarł w 2018 roku. Pięć lat później „Shoah” zostało wpisane na Listę Programu Pamięć Świata UNESCO, w uznaniu za cenny wkład w dziedzictwo ludzkości. ●

TOWARZYSZ *Alek*

Z MICHAŁEM SUTOWSKIM
ROZMAWIA
ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI

W latach 80. Jolanta Kwaśniewska na pewno zarabiała więcej od męża.
Choć to on był ministrem.



• Wybory parlamentarne w 1993 roku. Aleksander Kwaśniewski z żoną Jolantą przed oddaniem głosu w komisji przy ul. Gubinowskiej w Warszawie FOT. SŁAWOMIR KAMIŃSKI / AGENCJA WYBORCZA.PL

1 RP

ARKADIUSZ GRUSZCZYŃSKI: Dlaczego Aleksander Kwaśniewski w 1980 roku nie zapisał się do „Solidarności”? Nie dość, że był związany z Gdańskiem, to jeszcze jego drogi przecinały się z działaczami antykomunistycznej opozycji.
MICHAŁ SUTOWSKI: Na Wybrzeżu faktycznie studiował, tam też zaczął karierę w ruchu studenckim. Dużo bliżej było mu jednak do gdańskiego KW PZPR, z „liberałem” Fiszbachem na czele, niż do zbuntowanych związkowców. Po raz pierwszy i ostatni poszedł na zwarcie z władzami wiosną 1974, jeszcze jako pierwszorocznik. Chciał zorganizować na uczelni spotkanie z Kisielem, publicystą legalnym, ale źle widzianym przez władzę. Kiedy się nie udało, uznał chyba, że nie będzie kopać się z koniem. Potem opozycjonistów widywał sporadycznie, najczęściej kolegów narzeczonej, potem żony Jolanty, z Wydziału Prawa UG. To ona była na półlegalnych spotkaniach z różnymi niepokornymi, jak np. Leszek Moczulski.

Sam Kwaśniewski mógł podczytywać „bibulę” z przemytu, ale w relacje towarzyskie z rewolucjonistami nie wchodził. Choć wyratował od wojska, korzystając ze swoich wpływów, wyrzuconego ze studiów działacza Ruchu Młodej Polski.

Latem 1980 zdawał sobie sprawę, że zaczęła się w Polsce nowa epoka, widać to wyraźnie w manifestie Socjalistycznego Związku Studentów Polskich, który wtedy napisał – ale był jednak człowiekiem systemu. Sam potem tłumaczył, że z PZPR do NSZZ „S” nie zawsze zapisywali się ci najwybitniejsi. Ale przede wszystkim chyba nie wierzył, że ruch oddolny może w Polsce przejąć władzę czy nawet zdemokratyzować system, głównie ze względów geopolitycznych, i że na dłuższą metę nawet kompromis będzie trudny do osiągnięcia.

Czym się wtedy zajmował Kwaśniewski?
– Pracował w SZSP, wtedy już w Warszawie, na odcinku kultury. Dla jego organizacji karnawał „Solidarności” to był trudny czas: kultura studencka, zwłaszcza teatry, była już jawnie opozycyjna. Powstało Niezależne Zrzeszenie Studentów, czyli oddolna, autentyczna konkurencja; kiedy NZS strajkowało na początku roku 1981 z ambitnymi postulatami politycznymi, wielu działaczy SZSP chciało się przyłączyć. Władze oczekiwały jednak, że oficjalny ruch studencki będzie hamował „radikalizm”, a nawet dezintegrował środowisko.

Między innymi dlatego NZS-owcy uważali tych drugich za bezideowych karierowiczów przywiązanych do synekur, wyjazdów za granicę i innych przywilejów. Kwaśniewski spotykał się nieoficjalnie z działaczami tej drugiej strony, m.in. Maciejem Kuroniem i Teodorem Klincewiczem, według wspomnień Kuronia juniora był bardzo zdziwiony, że jego koledzy nie są zatrudnieni na etatach.

Przyszły prezydent szukał porozumienia z NSZ?
– Negocjatorem zawsze był zdolnym, ale wtedy polaryzacja była już bardzo ostra, a wzajemna nieufność tylko narastała. Oprócz postulatów politycznych i ogólnych resentymentów organizacje dzieliła też kwestia budżetu, wpływu na różne spółdzielnie czy studenckie biura podróży – SZSP nie chciał wypuścić tego z rąk. Wypili więc parę razy winiak w Domu Chłopa – to było pośrodku drogi między ul. Ordynacką a siedzibą NZS na Szpitalnej – i tyle. SZSP próbował się jeszcze reformować, demokratyzować, częściowo pod autentyczną presją szeregow, częściowo z obawy przed ostateczną utratą wiarygodności, bo masowo tracił członków, ale to wszystko było „too little, too late”. Od wiosny 1981 roku i kryzysu bydgoskiego, kiedy milicja poabiła kilku działaczy „Solidarności”, atmosfera robiła się coraz bardziej konfrontacyjna.

I nawet w tym momencie nie pomyślał: a po co mi to wszystko, skoro historia dzieje się gdzie indziej?
– Tyle że historia nie zapowiadała się wtedy pomyślnie: Jacek Kuroń słusznie prze-

powiadał, że jak pociąg, czyli „Solidarność”, jeździ poza rozkładem jazdy, to albo się dostosuje do niego rozkład, albo dojdzie do zderzenia. Skłonności Kwaśniewskiego do koncyliacji, niewątpliwe talenty rozjemcze po prostu przestawały się sprawdzać w warunkach, gdy robotnicy i studenci domagali się większego wpływu na ustrój, większej wolności i krótszych kolejek po mięso, a władza domagała się ograniczenia żądań materialnych, powstrzymania strajków i przede wszystkim spokoju, czyli ogólnego przymknienia dzioba przez społeczeństwo.

Te rozterki przecięło wprowadzenie stanu wojennego 13 grudnia 1981. Chwilę wcześniej Kwaśniewski jednak awansował i został redaktorem naczelnym tygodnika „itd”.
– Mam wrażenie, że przejście z Komitetu Wykonawczego SZSP do gazety studenckiej, bardzo zresztą zasłużonej, pozwoliło mu zejść z linii strzału. Okręt SZSP-owski wyraźnie tonął, atmosfera była coraz bardziej niepewna, a redakcja „itd” okazała się i wygodną niszą, i kolejnym przystankiem w karierze. Kwaśniewski dzięki wsparciu kolegów z ruchu studenckiego został następcą Zdzisława Pietrasika, zwolnionego latem 1981 roku za przyzwalanie na prosolidarnościowe i pro-NZS-owskie sympatie w redakcji oraz ogólną niesterowność. Dla zespołu nowy naczelny był wtedy najmniejszym złem, bo pewnie woleliby kogoś ze swego grona, niemniej jesienią, przed stanem wojennym, nie było już miejsca na takie fanaberie: żeby dziennikarze sobie wybierali szefa. On sam nie zdążył nawet poprowadzić własnego numeru, bo wiadomy generał odebrał dzieciom „Teleranek”, paru tysiącom ludzi wolność, a czytelnikom prasę – nie licząc dwóch najsłuszniejszych gazet.

O wprowadzeniu stanu wojennego młody Aleksander Kwaśniewski pisał, że to „ulepszanie metod działania państwa”. Ale raczej sam w to nie wierzył

Wiosną 1982 roku doprowadził jednak do przywrócenia tygodnika, któremu groziła zupełna likwidacja – odwołał się do sentymentów tow. Olszowskiego, twardegołowego odpowiedzialnego za prasę, który ćwierć wieku wcześniej sam figurował w stopce redakcyjnej „itd”.

Jak Kwaśniewski oceniał stan wojenny?
– Na własny użytek, to pewnie jako smutną konieczność, względnie fatum, a to w związku z dość powszechną wtedy wiarą w groźbę sowieckiej interwencji. A oficjalnie, no cóż... W jego rocznicę pisał, że to był „czas tworzenia konkretnych faktów, społecznie oczekiwanych”, a także o „powolnym, ale systematycznym postępie w gospodarce, uspokojeniu rynku, porządkowaniu wielu sfer życia społecznego, ulepszaniu mechanizmów działania państwa”. W te ostatnie raczej sam nie wierzył.

Zaskoczyły mnie w twojej książce wspomnienia Kwaśniewskiego o tamtym czasie. Wspomina, że po 13 grudnia sporo grał w piłkę, imprezował i spotykał się z przyjaciółmi.
– No, wiadomo, że go nie internowano ani się nie ukrywał, choć już godzina milicyjna obowiązywała w zasadzie wszystkich, podobnie jak kartki na cukier i mięso, ale też alkohol, czekoladę i benzynę. A jeśli cho-

dzi o imprezowanie, to wprawdzie aprowizacja nie sprzyjała, ale atmosfera stanu wojennego jak najbardziej, to był czas ucieczki wielu Polek i Polaków w prywatność, rodzinność, życie towarzyskie i erotyczne. Oczywiście, Aleksander Kwaśniewski był uprzywilejowany na tle przeciętnych obywateli: w wieku 25 lat dostał przydział kawalerki w Warszawie, co prawda bez telefonu, ale dla większości w tym wieku to było nieosiągalne marzenie. Akurat mieszkanie zawdzięczał SZSP, ale dobrze sytuowany był przecież z domu – dziś się zapomina, że nierówności ekonomiczne w PRL wcale nie były małe, a te wynikające z kapitału kulturowego może nawet większe niż dziś. On się wychował w domu lekarza, czyli w klasie, mówiąc dzisiejszymi kategoriami, wyższej średniej. Co prawda na prowincji ziem zachodnich, ale jednak skończył dobre liceum, w domu miał tysiące książek, a rodzice wozili go z siostrą do teatru, posyłali na języki obce, podróżowali za granicę. Po naszej stronie żelaznej kurtyny, co prawda, ale w latach 60. wycieczki do Pragi czy Budapesztu nie były powszechnie dostępne. Na studiach mieszkał na stacji, a nie w akademiku, a to też nie było częste. W wakacje od pierwszego roku studiów wyjeżdżał na Zachód – trochę tam zarabiał, w RFN nawet więcej niż trochę – ale pierwsze podróże wspierali rodzice, do stał też od nich malucha.

Jak się zachowywał jako naczelny „itd”?
– Lidia Ostalowska, wybitna reportażystka „itd”, a po latach „Gazety Wyborczej”, wspominała, że zasiadał w komisji weryfikacyjnej, która de facto usunęła ją z zawodu. Miała nawet pretensje, ale raczej o to, że nie powiedział jej o decyzji prosto w oczy: „O nic więcej. Siedział w komisji, bo musiał. Wtedy role były rozpisane”, mówiła

cą, dialogiem”. Słusznie czy nie, Jaruzelski uwierzył, że ta gazeta – i jej naczelny ze swoim językiem, swoim przekazem – dociera do młodego pokolenia, do którego PZPR nijak dotrzeć nie potrafi. Stąd szybki awans Kwaśniewskiego do wyższej ligi.

Jakie Kwaśniewski miał wtedy poglądy?
– Linią jego „itd” była merytokracja jako pomysł na reformy PRL. Trochę w duchu głośnego tekstu Rakowskiego z „Polityki”: „Dobry fachowiec, ale bezpartyjny”. Innymi słowy: awansujmy ludzi w gospodarce, nauce, w rządzie – o partii czy wojsku ryzykownie było wspominać – podług kwalifikacji, a nie osadzenia w sieci układów. W praktyce tygodnik pod Kwaśniewskim bronił interesu klasowego studentów i absolwentów szkół wyższych, zasadniczo wykształciuchów: w reportażach piętnowano sytuacje, w których wykształcony specjalista zarabiał mniej niż osoba po zawodowce. Pisano o problemach z uzyskaniem mieszkania czy miejsca w akademiku, gdzie asystenci gnieździli się z rodzinami, o bardzo niskich stypendiach, trudnościach z wyjazdem za granicę, no i przede wszystkim o niskich płacach na starcie.

Niewiele się zmieniło.
– Tak, choć ówczesne problemy, jak niedostępność mieszkań czy niskie nakłady na naukę, w większym stopniu niż dziś wynikały z zapaści gospodarczej, a nie tylko decyzji politycznych. Wtedy niemal wszyscy zarabiali mało lub średnio, dziś rozwarstwienie jest większe. Co ciekawe, jako środek zaradczy w „itd” postulowano, oprócz odblokowania ścieżek awansu dla młodych, także większe zróżnicowanie płac według kompetencji i zasług. To był trochę kryptoliberalizm, choć jeszcze bardzo ostrożny – język jawnie wolnorynkowy, wspierania inicjatywy prywatnej zaczęto w debacie tolerować mniej więcej od połowy lat 80. Niemniej „itd”, a potem „Sztandar...” mogły się podobać reformatorsko zorientowanym technokratom w PZPR i okolicach.

Czy w biografii Kwaśniewskiego widać te wszystkie aspiracje lat 80.? Czy zwykli ludzie widzieli w nim młodego, energicznego polityka, który ma dobre ubrania, modny sprzęt audio-wideo i fajny samochód?
– Te aspiracje miały początek w czasach Gierka: zamiast na dawne czasy, nędzę międzywojnia czy powojnia Polki i Polacy zaczęli oglądać się na tu i teraz, tyle że na Zachodzie. Jasne, że nie każdy wyjechał, ale w każdej rodzinie był jakiś szwagier na kontrakcie dolarowym w Libii, ciocia w Ameryce czy kuzyn na zbiórce szparagów w Szwecji, a do tego jeszcze w Studiu 2 wystąpiła Abba. Tylko przywiezione stamtąd wzorce konsumpcyjne nawet w czasach prosperity były mocno na wyrost; w Polsce stanu wojennego z zamkniętymi granicami i reglamentacją wszystkiego to był jakiś kosmos. Mniej więcej w połowie lat 80. władze zaczynały rozumieć, że zamordyzm i odcięcie od świata może i duszą „Solidarność”, ale też rodzą poczucie beznadziei, zwłaszcza w młodym pokoleniu, nie mówiąc już o gospodarce. Jednocześnie Jaruzelskiemu brakowało wizji i woli głębszych reform. W takim kontekście pomysły Kwaśniewskiego czy jego zastępcy Waldemara Siwińskiego w „Sztandarze...”, np. promowanie młodych wynalazców i innowatorów, wyróżnianie ich w plebiscytach niczym Mistrzów Sportu, wydawały się jakimś światłem w tunelu. Niedługo potem już jako minister ds. młodzieży Kwaśniewski zaczął promować wymiany studentów i uczniów, zarówno w ramach bloku wschodniego, jak i z krajami kapitalistycznymi. Organizował też obozy letnie dla zdolnej młodzieży, Awangardy XXI wieku. To miała być kuźnia przyszłych elit PRL – skończyło się na tym, że trochę młodych ludzi spędziło wakacje w fajniejszych

niż zwykle ośrodkach i chodziło na spotkania z ciekawymi ludźmi, niemniej i Kwaśniewski, i jego koledzy z ruchu młodzieżowego zyskali trochę kompetencji i kontaktów.

Jeszcze więcej przy okazji nagród i stypendiów, które wręczał minister: załapało się na to sporo artystów, od Grzegorza Ciechowskiego po zespół Kombi. Te działania były obliczone na pozyskanie poparcia czy ocieplenie wizerunku władzy, miały też pokazać, że w PRL jest miejsce dla młodego pokolenia.

Czyli do końca w PZPR wierzono, że awans społeczny jest w Polsce możliwy? – Raczej indywidualny, czyli w innym sensie niż w latach 50.: chodziło nie o awans całych klas – chłopskiej i robotniczej, przejście z fabryk na politechniki – tylko o to, że ludzie ambitni, rzutcy i zdolni też mogą coś osiągnąć i nie muszą koniecznie wyjeżdżać za robotą do Niemiec zachodnich czy USA. Ale jednak wyjeżdżali, drenaż mózgów był w latach 80. ogromny, bo przecież kilka sensownych gazet i fajny minister w rządzie wiosny nie uczynią.

Sam Kwaśniewski wyrobił sobie wtedy markę człowieka z otwartą głową – w sam raz na twarz reformatorskiego rządu pod koniec dekady.

Nie odpowiedziałeś na moje pytanie o to, czy Kwaśniewski żył modnym życiem. – Na pewno robił się znany – wystąpił nawet w „Teleranku”, niedzielnym programie dla dzieci, potem już jako człowiek od sportu w rządzie i szef Polskiego Komitetu Olimpijskiego zjeździł całą Polskę, pokazywał się przy okazji igrzysk olimpijskich w Seulu. Mówił innym językiem i tonem niż starzy towarzysze. Nosił porządne garnitury, regularnie bywał na Zachodzie, znał języki, nie tylko rosyjski.

I miał pieniądze.

– Oczywiście, wcześniej był redaktorem naczelnym dużego dziennika, potem członkiem rządu – z tego tytułu Kwaśniewscy dostali przydział wygodnego mieszkania na Wilanowie III, mało elegancko zwanym „zatką czerwonych świń”. Jego żona Jolanta dobrze zarabiała w spółce polonijnej, mogli sobie pozwolić na podróż poślubną po Morzu Śródziemnym i odwiedzanie siostry, która po stanie wojennym została w Szwajcarii.

Kwaśniewska zarabiała więcej od męża?

– Na pewno, bo też i pensje w administracji w latach 80., nawet na wysokim szczeblu, były spłaszczzone, choć ministrowie cieszyli się różnymi przywilejami, od samochodu służbowego po wczasy w ośrodkach rządowych.

Jednocześnie pani Jolanta wychowywała córkę, robiła zakupy, gotowała obiady, sprzątała w domu i jeszcze dyrektowała polsko-szwedzkiej firmie handlującej sztuczną biżuterią z ZSRR. Dwa etaty kobiet – zawodowy i domowy – to była norma w PRL, choć wysokie zarobki na pewno sporo ułatwiały.

Jest rok 1988, komuna się wali, gen. Czesław Kiszczak siada do rozmów z Lechem Wałęsą, rozpoczynają się obrady Okrągłego Stołu. Jak znalazł się przy nim Kwaśniewski? Miał aż tak silną pozycję w PZPR?

– W partii nie miał, bo całą karierę robił w systemie, ale obok PZPR – miał czerwoną legitymację, ale awansował przez ruch studencki, prasę i rząd. To mu wyszło na dobre, bo w końcówkę systemu wchodził z raczej czystą kartą, po prostu trudno go było nazwać aparatchykiem. Władze PRL decydowały się na te rozmowy z desperacji: gospodarka się waliła, Zachód nie spieszył się z nowymi kredytami, społeczeństwo domagało się zmiany, a rząd Rakowskiego nie miał, mimo sporych ambicji, wystarczającej legitymacji do głębokich zmian, które generowały przecież koszty społeczne.

Próbowano jeszcze kluczyć, zamiast „Solidarności” rozmawiać z Kościołem o częstokowych reformach – ale kiedy szef OPZZ Alfred Miodowicz wyzwał Wałęsę na telewizyjny pojedynek, a potem dostał łomot, Okrągły Stół był już nieunikniony. I to stworzyło Kwa-

śniewskiemu wielką szansę: zasiadł do rozmów jako zaufany człowiek Rakowskiego. I tę szansę wykorzystał na 150 procent.

Adam Michnik opowiadał mi ostatnio, że spotkał przy Okrągłym Stole komunistów, którzy mówili ludzkim głosem. Miał na myśli Kwaśniewskiego.

– Kwaśniewski przy Okrągłym Stole zrobił trzy wielkie rzeczy. Po pierwsze, bardzo zrećcznie prowadził negocjacje przy stoliku ds. reform związkowych – obok Tadeusza Mazowieckiego za partnerów miał jeszcze OPZZ, który twardo grał o własne interesy. To była gra na kilku poziomach naraz: broził interesów ekipy Jaruzelskiego, zwłaszcza w kontekście oceny stanu wojennego, pacyfikował oficjalne związki zawodowe, najbardziej wrogie „Solidarności”, ale też przesądził już na wstępie – mimo niechęci aparatu PZPR – o legalizacji NSZZ „S”.

Po drugie, w Magdalence zaproponował, bez konsultacji z górą, wolne wybory do Senatu. Przełamał w ten sposób impas rozmów, a jednocześnie zapewnił Jaruzelskiemu to, co generał uważał za najważniejsze, czyli prezydenturę – a generał ten pomysł ex post zaakceptował. To był przełom w jego karierze, bo z uśmiechniętej twarzy reżimu stał się współtwórcą porozumienia narodowego. No a po trzecie, zakumplował się tam z Michnikiem i Kurokiem, a to niesłychanie zaprocentowało w przyszłości.

Kwaśniewski startował do Senatu z Koszalina.

– Michnik na miesiąc przed wyborami zalegitymizował go wspólną debatą w Gdańsku, a sam kandydat zrobił pierwszą nowoczesną kampanię III RP, zanim ta jeszcze powstała. Mówił językiem nowej epoki o stawianiu gospodarki z głowy na nogi i mechanizmach rynkowych. Kalibrował przekaz w zależności od odbiorców: kadrze kierowniczej miejscowych fabryk obiecywał racjonalność i koniec placowej urawniłowki, pracownikom kombinatów ogrodniczych i fabryki zapalek zaś – gospodarność i zdrowy rozsądek. Sprowadził największe gwiazdy sportu i telewizji, z Ireną Szewińską i Markiem Sierockim na czele.

Objechał kilkadziesiąt miejsc w województwie: i przegrał, bo jak powiedział po latach, „nawet krowa by weszła do Senatu, gdyby się sfotografowała z Wałęsą”. A zdjęcie z wąsatym Lechem mieli jego przeciwnicy.

Zaczęliśmy od 1980 roku, kończymy na 1990. Czy w ciągu tych 10 lat Kwaśniewski się zmienił?

– Bardziej zmienił się system niż Kwaśniewski. Działacz studencki i naczelnny „itd” nie różnili się od ministra rządu Rakowskiego i przewodniczącego SdRP tak bardzo jak PRL u progu pierwszej Solidarności od III RP z czasów planu Balcerowicza.

Do jednej i do drugiej potrafił się jednak doskonale zaadaptować; inaczej niż wielu jego towarzyszy i kolegów nie bał się demokracji parlamentarnej. A gdybym miał wskazać ideę, w którą wierzył naprawdę przez cały czas, to byłaby to Polska bardziej zachodnia, a potem po prostu: Polska na Zachodzie. Zarazem potrafił wyczuć wiatr dziejów wcześniej od innych i odpowiednio ustawić żagle. Na szczęście dla niego i dla Polski w jego czasach ten wiatr powiał właśnie w zachodnią stronę. ●

Michał Sutowski



- (1985) politolog, tłumacz i publicysta związany z Krytyką Polityczną. Autor książek: „Rok dobrej zmiany”, „Fajny kraj do życia”, wywiadów rzek z: Agnieszką Graff, Agnieszką Bielik-Robson i Ludwiką Wujec.

Aleksander Kwaśniewski.
Biografia polityczna t. I

Michał Sutowski

Wydawnictwo Krytyki Politycznej

Maciejewska



To oczywiście prowokacja. Po pierwsze, w tegorocznym wyścigu do pałacu prezydenckiego startują kobiety, więc mamy szansę dostać „pierwszego dżentelmena” (albo kawalera) zamiast pierwszej damy. Po drugie, prezydent/prezydentka może być singlem/singielką, wdowcem/wdową. Po trzecie, może mieć więcej niż jedną kandydatkę na pierwszą damę.

Samotnego prezydenta Polska już miała – Gabriel Narutowicz był wdowcem. Jego żona, Ewa, zmarła dwa lata wcześniej w wieku 45 lat, osierociwszy dwoje dzieci. Z kolei Ignacy Mościcki stracił pierwszą żonę, Michalinę, w trakcie prezydentury i ożenił się po raz drugi po 10 miesiącach. Zdaniem opinii publicznej za wcześniej, brak żony byłby stosowniejszy niż pospieszne małżeństwo.

Z dwiema pierwszymi pierwszymi damami też nie mieliśmy problemu. Gdy Józef Piłsudski zostawał Naczelnikiem Państwa, miał żonę i konkubinę oraz nieślubne dzieci. Żoną była Maria, de domo Koplewska, primo voto Juszkiewiczowa. Małżeństwo z inżynierem Juszkiewiczem nie wytrzymało próby czasu i skończyło się rozwodem, „z winy męża”. Serce Marii zajął Piłsudski, wygrywając ponoć rywalizację z Romanem Dmowskim.

Maria miała klasę – urodę, inteligencję, obycie towarzyskie, umiejętność zjednywania ludzi – i na pierwszą damę się nadała, choć Ziuk był wtedy tylko skromnym socjalistą. Dwa lata młodszy od swojej wybranki, bez dwóch zębów (wybili mu je strażnicy w irkuckim więzieniu), imponował jednak brawurą odwagą i posiadał urok, który przez całe życie działał na kobiety, więc Maria powiedziała „tak”. Piękna Pani – bo tak ją nazywano – została Józefową Piłsudską w 1899. Małżonkowie musieli zmienić wyznanie, żeby do ślubu doszło, Ziuk przysiągł Marii miłość w kościele luterańskim, ale starczyło mu uczuć tylko na sześć lat.

Potem pojawiła się Aleksandra Szczerbińska o 19 lat młodsza od Marii i Piłsudski zaczął żyć w „tragicznym trójkącie”,

jak sam twierdził. Ola urodziła mu dwie córki, ale schorowana żona rozwodu dać nie chciała. W efekcie, gdy Piłsudski został Naczelnikiem Państwa, to Maria była pierwszą damą i przez prawie trzy lata do niej wysyłano zaproszenia na oficjalne uroczystości.

Nie pojawiała się na nich, mieszkała w Krakowie, ale Szczerbińska też nie występowała oficjalnie. Sytuacja się zmieniła dopiero po śmierci Marii – Piłsudski mógł wziąć drugi ślub i Aleksandra z dziećmi, wprowadziła się do Belwederu. Skandalu nie było, jednak zachowywano pozory.

Czasy się zmieniły, więc niko go nie dziwiło, że za prezydenturę Joachima Gaucka (2012-17), obowiązki pierwszej damy pełniła jego wieloletnia partnerka, Daniela Schadt. Z żoną nie miał rozwodu i nie zamierzał brać. Niemcom to nie przeszkadzało, choć prezydent miewał kłopotliwe sytuacje – na audyencję do papieża Benedykta XVI musiał iść sam, bo Watykanowi sytuacja rodzinna prezydenta (duchownego luterańskiego) nie bardzo się podobała.

Aleksandra Szczerbińska po ślubie nie miała już żadnych problemów, cieszyła się statusem pani Marszałkowej. „Była wytworną pierwszą panią w Polsce, bez sztuki, bez modnych ekstrawagancji. Niewiele zapewne kobiet oprócz mnie słyszało, gdzie kupiła i za ile kostium lub też, że elegancka koronka na wieczorowej sukni jest farbowana. Mąż nie dawał pieniędzy na stroje, a pani Piłsudska tych strojów nie pragnęła” – napisała we wspomnieniach jej wielbicielka, Janina Dunin-Wąsowiczowa.

Nie omieszkała dodać, że w latach 30., na wielkim balu w Kasynie Oficerskim w alei Szucha, Piłsudska pojawiła się w długiej, ciemnej sukni balowej z dużym dekoltem (a ten t zdaniem Dunin-Wąsowiczowej miała piękny), przy którym był przypięty liliowy, sztuczny kwiat. „Otoczyliśmy ją słowami zachwytu. »To mąż mi sprawił tę suknię« – pochwalila się pani Aleksandra”.

I to jest właśnie wyższość pierwszej damy nad pierwszym dżentelmenem: jeśli już z różnych powodów nie ma możliwości, żeby omawiać jej poglądy czy działalność, zawsze można skomplementować figurę, dekorację sukni lub hojność męża. W drugą stronę to nie działa. ●

Beata Maciejewska



Ambasador

Gazety Wyborczej

Dołącz do wyjątkowego grona **100 osób**, które wspierają wolność słowa i rzetelne dziennikarstwo

W świecie pełnym dezinformacji rzetelne źródła wiadomości mają wyjątkową wartość. Dlatego stworzyliśmy Pakiet Ambadorski – limitowaną propozycję dla 100 osób, które chcą wspierać niezależne dziennikarstwo.

To jednorazowa inwestycja we wspólne wartości – wolność słowa, prawdę i rzetelność. W „Gazecie Wyborczej” doskonale wiemy, ile kosztuje obrona tych wartości.

Przez osiem lat rządów PiS byliśmy zasypywani pozwami, zastraszano naszych partnerów, hejtowano piszących na naszych łamach dziennikarzy. Robiliśmy jednak to, co do nas należy – patrzyliśmy władzy na ręce i ujawnialiśmy kłamstwa. Przetrwaliśmy ten czas dzięki wsparciu osób takich jak Ty.

Bycie Ambasadorem „Gazety Wyborczej” to nie przywilej. To wybór tych, którzy chcą realnie wpływać na przyszłość wolnych mediów w Polsce.

Adam Michnik
i zastępcy redaktora naczelnego
„Gazety Wyborczej”: **Roman Imielski,**
Aleksandra Sobczak, Bartosz Wielński

Co zyskujesz jako Ambasador „Gazety Wyborczej”?

- ✓ Pełny dostęp na zawsze do treści Wyborcza.pl dla Ciebie i 2 osób
- ✓ Udział w kameralnym spotkaniu w redakcji z Adamem Michnikiem – wspólnie podsumujemy wybory prezydenckie
- ✓ **Tylko do 11 maja:** zaproszenie na galę Człowiek Roku Wyborczej, która odbędzie się 16 maja 2025 r.

Dowiedz się więcej na  **wyborcza.pl/ambasador**



Pokój na świecie nie mógłby być zachowany bez twórczych wysiłków na miarę grożących mu niebezpieczeństw.

Wkład, jaki zorganizowana i żyjąca Europa może wnieść w cywilizację, jest niezbędny dla utrzymania pokojowych stosunków. Głównym celem Francji, będącej od ponad dwudziestu lat liderem jednoczenia Europy, była zawsze służba pokojowi. Nie było Europy, mieliśmy wojnę.

Europa nie powstanie od razu ani w całości: będzie powstawała przez konkretne realizacje, tworząc najpierw rzeczywistą solidarność". (za <http://european-union.europa.eu>).

Te słowa, 9 maja 1950 roku, niemal równo pięć lat po zakończeniu II wojny światowej, wygłosił francuski minister spraw zagranicznych Robert Schuman. Schuman urodził się, co ciekawe, w Luksemburgu, ale jako obywatel Niemiec. Jego ojciec, Jean-Pierre Schuman, był wprawdzie rodowitym Francuzem, ale pochodził z Lotaryngii, którą, wraz z Alzacją, Niemcy odebrały Francji w 1871 roku. Schuman na powrót stał się Francuzem po zakończeniu I wojny światowej, ale wychował się w Luksemburgu, a jego ojczystym językiem był luksemburski właśnie.

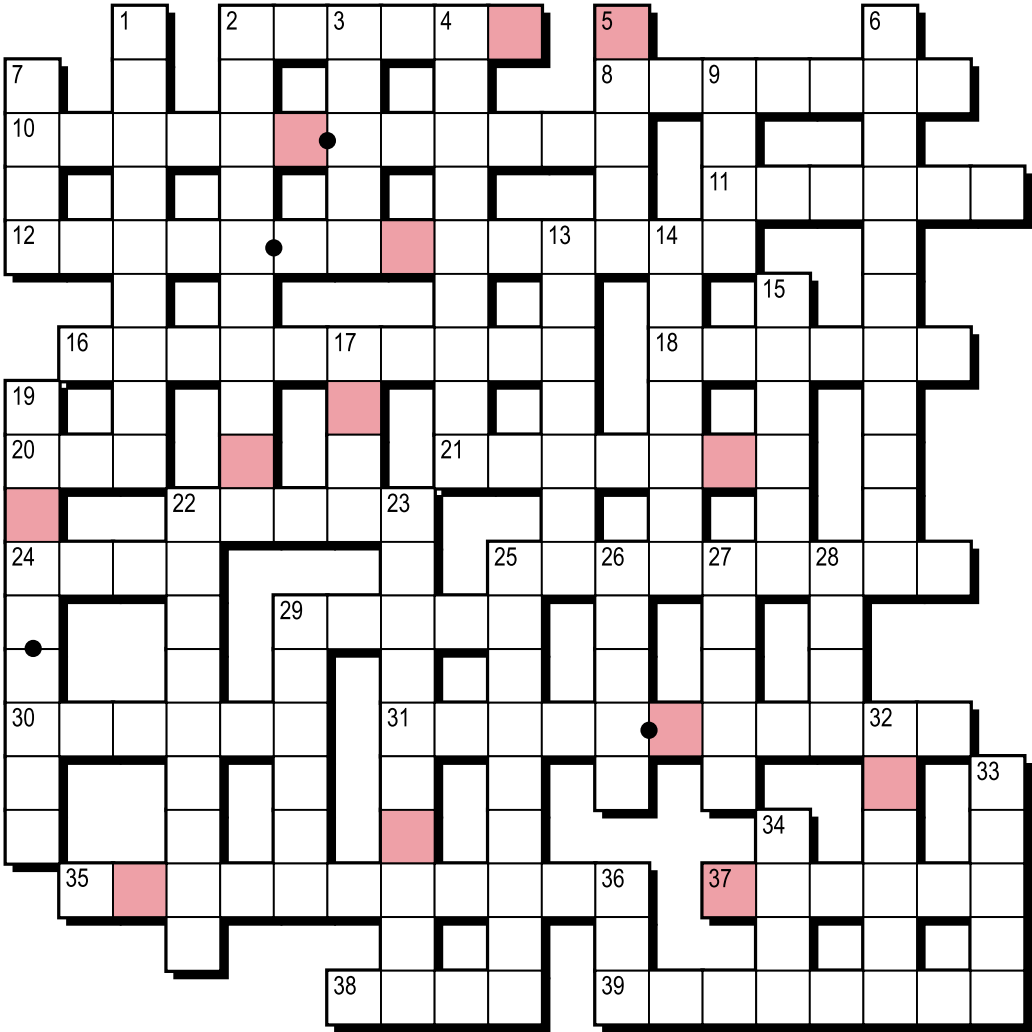
Iście europejskie korzenie, prawda? Co więcej, choć Schuman walczył przeciwko Niemcom w szeregach francuskiego ruchu oporu, a za jego głowę wyznaczono 100 tys. marek Rzeszy nagrody, rozumiał, że „zgromadzenie narodów europejskich wymaga, by usunięta została odwieczna wrogość Francji i Niemiec: podjęte działanie musi w pierwszym rzędzie dotyczyć Francji i Niemiec”.

Dlatego inicjatywa, z którą wystąpił, w pierwszej kolejności dotyczyła RFN, choć Schuman podkreślał rzecz jasna otwartość swego projektu. Reakcja ze strony Niemców, rządzonych przez kanclerza Konrada Adenauera, była pozytywna, podobnie jak rządów Belgii, Holandii, Luksemburga i Włoch. Niespełna rok później, 18 kwietnia 1951 roku te sześć państw podpisało tzw. traktat paryski, powołujący do życia Europejską Wspólnotę Węgla i Stali.

Schuman pomógł więc Staremu Kontynentowi zrobić pierwszy, zjednoczeniowy krok. Europa zaczęła ich stopniowo stawiać coraz więcej (traktaty rzymskie i powołanie EWG, podpisanie traktatu w Maastricht czy traktatu lizbońskiego), ale to właśnie 9 maja celebrowany jest w krajach Unii Europejskiej Dzień Europy.

Z tej okazji zapraszamy Państwa na swoisty eurotrip, czyli do „Weekendówki” poświęconej Staremu Kontynentowi. W drogę!

Andrzej Kulasek
andrzej.kulasek@agora.pl



Rozwiązanie „Weekendówki”
nr 152 z 26.04:

Poziomo:

- 7) Wolna, Grupa, Bukowina,
9) wypieki, 10) bułka, 11) suchary,
14) kołacz, 15) zwrot, 16) pajdka,
17) Kutz, 18) katoliczka,
19) zapomoga, 20) Norwid,
23) worki, 24) jadło, 25) biskwit,
27) kwas, 28) usta, 31) warstwa,
33) chlebobudawca, 34) kradzież,
35) Mesjasz

Pionowo:

- 1) dożynki, 2) Jarema, Stępowski, 3) orkisz, 4) zboża,
5) skiby, 6) piekarnia, 8) piec,
12) Radzionków, 13) otrąbki,
15) zaczyn, 16) potrawa,
17) kanapki, 18) kromki,
21) wodzianka, 22) drożdże,
25) bochny, 26) tułacz, 27) kawa,
29) atlas, 30) sowa, 32) Rzym

HASŁO:

SMAK RAZOWCA

KRZYŻÓWKA EUROPEJSKA

Litery w kolorowych polach, czytane kolejno rzędami, utworzą rozwiązanie.

Poziomo:

- 2) miasto na Riwierze Francuskiej
8) jeden z braci – legendarnych założycieli Rzymu
10) film Agnieszki Holland, w którym wystąpiła Julie Delpy
11) kiltowy naród!
12) opisowo o Europie
16) „Europa” jako część mowy
18) stolica Czeczeni – republiki na południu europejskiej części Rosji
20) zwierzę w herbie Czech
21) stolica kraju, z którego pochodzili Vasco da Gama i Ferdinand Magellan
22) ... Warszawski, sojusznik istniejący w latach 1955–91

- 24) Aristotelis Onassis, Sokrates albo Vangelis
25) główni aktorzy hiszpańskiej korridy
29) dziesiąta litera greckiego alfabetu
30) ... Wschodnioeuropejska
31) jedna z najstarszych moskiewskich instytucji kultury
35) europ w tablicy Mendelejewa
37) szwedzki zespół znany z superhitu „The Final Countdown”
38) porto z Portugalii lub węgierski maślacz
39) kwiaty kojarzone z Holandią

Pionowo:

- 1) Michaił, na czele ZSRR w czasach pieriestrojki
2) mieszkaniec wyspy Afrodyty

- 3) „... nad Berlinem”, film Wima Wendersa
4) poprowadzony pod kanałem La Manche, łączy Francję z Wielką Brytanią
5) w Europie jest ich 46
6) program dotacyjny dla beneficjentów z obszaru UE
7) by uwieść Europę, przybrał postać byka
9) Karola – w Pradze, nad Sundem – łączy Danię ze Szwecją
13) stolica Cypru
14) Europejska ... Filmowa, w 1988 r. przyznana Krzysztofowi Kiesłowskiemu
15) miasto-państwo z Monte Carlo
17) w dolnym biegu płynie między Polską a Niemcami
19) z dwunastoma złotymi gwiazdami na lazurowym tle

- 22) Europejczyk z Mariupola, Charkowa
23) parlamentarzysty z Włoch
25) europejskie – reprezentowane m.in. przez Leonarda da Vinci, Picassa, Bruegla, Matejkę
26) pasmo górskie z Gerlachem
27) państwo z Zelandią i Fionią
28) Królewscy z Madrytu
29) nie od razu zbudowany, podobnie jak Rzym
32) jednostka monetarna Szwecji (SEK), Danii (DKK)
33) stolica i największe miasto Grecji
34) polskie tłumaczenie nazwy „The Beatles”
36) ... europejski krótkowłosek, zwany także celtyckim

Leszek Rydz

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY



Kraj/34354617